

## Krew i desperacja

– Gotuj się na spotkanie ze swym bogiem! – zakrzyknął herszt bandy, skoczył naprzód i zamachnął się „poranną gwiazdą”, by roztrzaskać Conanowi twarz. Cymmerianin szarpnął się, przekreślił i prawie uwolnił nogi z śmiertelnego uścisku, lecz zbyt późno...

Nagle pośród nocnej ciszy rozległ się dziwny świst, jakby strzała przecięła powietrze, tyle że głośniejszy. W plecach zbójcy utkwiał pal gruby niczym słupek palisady. „Poranna gwiazda” wypadła mężczyźnie z rąk i spoczęła na martwym ciele u stóp Conana.

Cymmerianin wytrzeszczył oczy. To nie pal przebił na wylot herszta, lecz włócznia! Ale jaka! Płaskie, dwustronne ostrze było dłuższe, grubsze i szersze niż ręka Conana, a drzewce potężniejsze od jego ramienia.

Któż mógł cisnąć tak ogromną dzidę?



## I

Drogą wiodącą od strony Gór Karpash ku siedlisku występku zwanego Shadizarem podążał młodzieniec z oksydowanym mieczem u lewego boku. Młody mężczyzna wyglądał potężniej niż większość ludzi; był wysoki, szeroki w ramionach, miał muskularne ręce i nogi. Opalona na brąz skóra połyskiwała, a niebieskie oczy błyszczały. Miał wystające kości policzkowe i silnie zarysowany podbródek.

Słońce prażyło bezlitośnie na zamorańskiej równinie. Rozgrzane powietrze falowało nad spękaną ziemią. Podmuch gorącego wiatru wzbijał w górę wirujące smugi kurzu, które po chwili zniknęły nie wiadomo gdzie. Potargał również grzywę czarnych włosów wędrowca, gdy ten przystanął, by pociągnąć łyk wody ze skórzanego bukłaka. Napój był ciepły, cuchnął żelazem i siarką, ale Conan z Cymmerii nie narzekał. Pijał już gorsze paskudztwa. Ugasił pragnienie i rozejrzał się wokół.

Niewiele zobaczył. Płaskowyż z rzadka porastały kępki zarośli, nic więcej. W miejscu oddalonym, może o trzy godziny drogi wznosiło się skalne wypiętrzenie – zbyt małe, by nazwać je wzgórzem, lecz porośnięte drzewami rzucającymi trochę cienia. Tyle przynajmniej dostrzegły bystre oczy Conana.

Droga do Shadizaru była długa i niebezpieczna. Mimo wszystko, Conan cieszył się, że jest sam. Dotychczas zdążył już napotkać wszelkie zagrożenie – od ludzi po dzikie bestie. Miał szczęście, że przeżył, choć wolałby wędrować lepiej wyposażony. Teraz żałował,

że jego spalonej słońcem skóry nie chroni jakaś szata; szłoby się przyjemniej, gdyby ciało nie dokuczał skwar.

Cymmerianin roześmiał się głośno.

– A tak... – powiedział sam do siebie. – Przydałby się jeszcze koń i niejeden worek pełen złota. Jak marzyć, to marzyć!

Pociągnął następny łyk wody, zatkał bukłak i ruszył dalej. Przy najmniej miał porządną broń; klinga miecza była ostra niczym brzytwa. Jego uda osłaniała para krótkich, skórzanych spodni, a biodra szeroki pas, przy którym wisiała sakiewka, co prawda pusta. Za to bukłak opróżnił dopiero w połowie. Co więcej, mocne stopy Conana obute były w wygodne sandały na grubej podeszwie. Nie jest najgorzej, pomyślał. Jego bóg, Crom Wojownik, obdarzył go przy narodzinach siłą, sprytem i pewną dozą mądrości. Potem Conan musiał radzić sobie sam. Crom nie dba o tych, co skamlą i dopominają się o więcej.

Conan widział raz swego boga, a przynajmniej tak mu się zdało. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Taaak... Co człowiek zrobi z tym, co mu ofiarowano, zależy tylko od niego. A Conan miał teraz życzenie dotrzeć do Miasta Złodziei, pobuszować w tej metropolii i stać się bogatym. Za kilka dni dojdzie do celu. A gdy się obłowi, skradzione monety i klejnoty pozwolą mu pławić się w zbytku i luksusie. Wino, kobiety...

Na razie czekała go dalsza marszruta.

Gdy noc okryła okolicę welonem zmierzchu, skwar na szczęście zelżał. Conan dobrnął w przyjemnym chłodzie w pobliże skalistych wzniesień. Trakt do Shadizaru zaczął się wic wśród iglastych drzew i gęstych krzewów. Cymmerianin dostrzegł ślady drobnej zwierzyny i postanowił sporządzić sidła, by upolować coś na kolację. Nadszedł czas, żeby zasiąść przy ognisku, a potem ułożyć się na spoczynek. Nie miał opończy ani futer, ale miękkie posłanie mogły mu zapewnić gałęzie porośnięte wonnym igliwem. Wieczór był dużo chłodniejszy od dnia, lecz od gór nie ciągnęło jeszcze zimno.

Cymmerianin przygotowywał trzecie sidła ze splecionych pnączy, gdy jego wprawne ucho złowiło dźwięk niepodobny do odgłosów ziemnych wiewiórek.

Ktoś kichnął. Conan nigdy nie słyszał kichającego królika, a tym bardziej takiego, który cicho klnie pod nosem.

Udając, że niczego nie zauważył, dalej przygotowywał pułapkę. Okręcił pnącza wokół pochylonego drzewka i umocował je do naciętych kołków. Jednak czujnie wyęczał słuch z nadzieją, że wychwyci inne dźwięki.

Znajdował się blisko skraju drogi. Stał okrakiem na wąskiej ścieżce wydeptanej przez zwierzęta i niknącej w gęstych, ciernistych krzewach. Na lewo miał małą polanę porośniętą suchą trawą. Po drugiej stronie traktu wznosiła się ściana lasu wyrastającego z bujnego poszycia. Kichnięcie dobiegło właśnie stamtąd.

Skończył zastawiać sidła i nadal nasłuchiwał. Rozległ się odgłos tarcia metalu o skórę – ktoś niewątpliwie wyciągnął miecz z pochwy. Potem chrzęst kolczugi i skrzypnięcie skórzanej zbroi. Jeszcze jedno kichnięcie i stłumione przekleństwo, wreszcie szept wzywający do zachowania ciszy. Ktoś mówił z silnym zamorańskim akcentem.

A zatem, wśród drzew Conan miał niewidoczne towarzystwo, którego zamiary nietrudno było odgadnąć. Ludzie nastawieni przyjaźnie nie kryją się po krzakach, nie uciszają wzajemnie i nie dobywają broni, lecz wychodzą śmiało na otwartą przestrzeń.

Conan rozejrzał się. Mógł przemknąć w stronę ciernistych krzewów. Tam nikt by go nie zaszedł z tyłu.

Jak pomyślał, tak zrobił. Mając za plecami zarośla, stanął twarzą do drzew i wyciągnął miecz. Dzień nie całkiem jeszcze ustąpił miejsca nocy i gasnące promienie słońca odbiły się w ostrzu, gdy wysunęło się z pochwy, wydając dźwięk tarcia zimnej stali o suchą skórę. Conan zacisnął na rękojeści obie dłonie – prawą wyżej, lewą niżej. Potem wykonał w powietrzu kilka cięć, by rozruszać nadgarstki i ramiona.

– Hej, nocne psy! – zawołał. – Wyłaście i pokażcie się!

Po dziesięciu uderzeniach serca na zakurzony, bity trakt wygramolili się z hałasem zbrojcy. Było ich sześciu. Conan nie miał wątpliwości, że to zwykle rzezimieszki, choć ich odzienie stanowiła osobliwa kolekcja strojów rycerskich: kolczugi, rękawice i płytkie, mosiężne hełmy podobne do misek. Może kiedyś służyli w armii lub po prostu napadli na jakiś zastęp i ograbili słabeuszy. Dwaj mężczyźni uzbrojeni byli w krótkie, zakrzywione szable, dwaj inni trzymali w dłoniach drewniane włócznie z ostrzami jak sztylety. Jeden miał parę szerokich noży, a ostatni dzierżył „poranną gwiazdę” – żelazną kulę najeżoną kolcami, osadzoną na trzonku długości ramienia Conana. W sumie, grupka złoczyńców przypominała raczej trupe wędrownych błaznów.

Na czoło wysunął się mężczyzna z „poranną gwiazdą”. Był niski, lecz krepy i muskularny, a niemal całkiem łysej czaszki nie chronił hełm.

– Nie masz powodu, by nas obrażać, barbarzyńco – przemówił. – Nie jesteśmy nocnymi psami, lecz zwykłymi... hę... biednymi pielgrzymami w podróż.

Conan parsknął śmiechem. Czyżby to zapewnienie miało go powstrzymać przed użyciem miecza?

– Pielgrzymami?!

– A jużci. I dlatego nie śmierzimy groszem. Przeto zdałoby się nam skromne wsparcie. Może przypadkiem znalazłbyś kilka miedzaków, by nas wspomóc?

– Nie.

– No cóż... Twój miecz, który dzierżysz tak groźnie, z pewnością jest coś wart.

Moglibyśmy go zamienić na brzezącą monetę.

– Nie zamierzam się go pozbywać.

Obcy zakręcił młynka „poranną gwiazdą”.

– Zważ, że nas jest sześciu, a ty jeden. Oddaj nam miecz i cokolwiek masz cennego, a puścimy cię wolno.

– Wybacz, że ci nie dowierzam, ale ta propozycja nie bardzo mi się podoba.

– Powtarzam: nas jest sześciu, a ty jeden.

– Ten stan rzeczy można zmienić. – Conan uśmiechnął się zło-wieszczo, pokazując mocne, białe zęby.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odwrócił się do kompanów.

– Widać bogowie każą nam walczyć o życie, bracia. Na niego!

Szóstka zbrojczyków rozproszyła się, próbując osaczyć Cymmerianina. Conan obserwował, jak się zbliżają i oceniał ich siły. Dwaj otyli włócznicy poruszali się ociężale. Nisko oszacował ich możliwości. Ci z szablami byli młodzi, lecz jeden kulał, a drugi nerwowo przebierał palcami dłoni zaciśniętej na rękojeści broni, jakby grał na flecie. Za to ten z dwoma nożami musiał być szybki i sprawny, jeśli przeżył podobne spotkania, posługując się jedynie tą bronią. A herszt bandy, uzbrojony w koltczastą, żelazną kulę, pewnie nie bez powodu został przywódcą. Widocznie władał nią lepiej niż jego przeciwnicy. Cała szóstka z pewnością potrafiła zabijać i ani chybi czyniła to już wiele razy. Prawdziwe zagrożenie stanowili jednak tylko dwaj: herszt i nożownik.

Napastnicy zapewne spodziewali się, że Conan poprzestanie na parowaniu ich ciosów, mając za plecami osłonę z ciernistych krzewów. Taka obrona byłaby zresztą całkiem roztropna.

Ale gdy otoczyli go półkolem, Cymmerianin postąpił inaczej. Wzniósł przeraźliwy okrzyk bojowy i skoczył naprzód.

Najbliżej miał dwóch włóczników. Obaj zostali zaskoczeni i spróbowali się cofnąć, zadając jednocześnie dźgnięcia. Nic im z tego nie wyszło. Miecz Conana odbił na bok pierwszą włócznię, zatoczył koło w powietrzu i opadł ze straszną siłą. Ostra klinga rozłupała mosiężny hełm i zagłębiła się w czaszce wroga, docierając do mózgu. Gruby włócznik padł, jakby ktoś odciął mu nogi.

Drugi rzucił się do ucieczki. Cymmerianin wyszarpnął miecz z głowy trupa i skoczył na zbiega. Ciął płasko z boku. Ostrze przeszło między żebrami rzeźmieszka, rozplątało płuco i przecięło serce. Zbój wrzasnął, upuścił włócznię i uchwycił zabójczą klingę tkwiącą w jego ciele. Kosztowało go to utratę czterech palców, gdy Conan gwałtownym ruchem pociągnął miecz ku sobie. Cymmerianin odwrócił się i strząsnął krew z ostrza prosto w oczy nerwowego szermierza zachodzącego go z tyłu.

– Na jądra Seta...! – wykrzyknął napastnik, ale nie zdążył dokończyć przekleństwa. Potężne kopnięcie obutej w sandał stopy Conana trafiło go w brzuch i odrzuciło wprost na nożownika.

Człowiek z nożami nie mógł się tego spodziewać. Odruchowo wyciągnął obie ręce i dwa ostrza ugrzęzły w nerkach kamrata aż po rękojeści. Szermierz runął twarzą w dół z jednym z noży tkwiącym w ciele.

Drugi mistrz fechtunku ruszył na Cymmerianina, poślizgnął się i upadł. Cofając się przed atakującym, Conan z kolei potknął się o ciało pierwszego włócznika i runął jak długi na ziemię.

– Na Croma!

Nożownik spróbował wykorzystać okazję i rozplątać go od góry do dołu. Lecz nawet leżąc, Conan zdołał odbić nóż. Broń ugodziła przeciwnika w kroczę. Łotr zakwilił dziewczęcym głosikiem, wypuścił z dłoni nóż i chwycił się za zranione miejsce. Słaniając się na nogach, zrezygnował z walki.

Utykający zbójca z szablą wstał z ziemi i natarł na leżącego Conana tylko po to, by nadziać się na ostrze miecza. Stało się dobrze i źle zarazem. Klinga uwięzła między kośćmi ofiary. Konający wróg wyrwał Conanowi broń z ręki. Zwalił się u stóp barbarzyńcy i w agonii chwycił się ich jak tonący brzytwy. Nogi Cymmerianina zostały unieruchomione w śmiertelnym uścisku. Znalazł się w pułapce!

– Gotuj się na spotkanie ze swym bogiem! – zakrzyknął herszt bandy, skoczył naprzód i zamachnął się „poranną gwiazdą”, by roz-

trzaskać Conanowi twarz. Cymmerianin szarpnął się, przekręcił i prawie uwolnił nogi, ale zbyt późno...

Nagle pośród nocnej ciszy rozległ się dziwny świst. Jakby strzała przecięła powietrze, tyle że głośniejszy. W plecach zbrojcy utkwił pał gruby niczym słup palisady. „Poranna gwiazda” wypadła mężczyźnie z rąk i spoczęła na martwym ciele u stóp Conana.

Cymmerianin wytrzeszczył oczy. To nie pał przebił herszta na wylot, lecz włócznia! Ale jaka! Płaskie, dwustronne ostrze było dłuższe, grubsze i szersze niż ręka Conana, a drzewce potężniejsze od jego ramienia.

Zbój zachwiał się i pochylił w tył, lecz pozostał w pozycji stojącej, kiedy tępy koniec ogromnej dzidy oparł się o ziemię. Po jednym uderzeniu serca martwy rzeźmieszek przewrócił się na bok.

Conan zgiął się i rozwarł palce trupa szermierza zaciśnięte na swoich nogach. Odepchnął zwłoki i oswobodził się. Spojrzał na herszta bandy. Czyje ramię mogło cisnąć tę wielką włócznię z tak ogromną siłą, by przeszła człowieka?

Gdy wstał i rozejrzał się za swym mieczem, wśród drzew zamajaczyły trzy sylwetki. W mroku dostrzegł, że to kobieta i dwaj mężczyźni odziani w skórzaną i wełnianą odzież z ręcznie tkanej przędzy. Mężczyźni dzierżyli włocznie, co oznaczało, że to zapewne broń rzucona przez kobietę uśmierciła przywódcę opryszków i zarazem ocalała Conana. Niesamowite!

Przyglądał się im z obawą. Wyglądali jak wszyscy ludzie, których spotkał w swoim życiu, z jedną wszakże, istotną różnicą. Nawet kobieta, najmniejsza z całej trójki, była pół raza wyższa od Conana i niewątpliwie ważyła dwakroć tyle co Cymmerianin.

Conan w milczeniu patrzył na trójkę olbrzymów.

## II

Mimo oszołomienia, Conan odnalazł swój miecz i począł czyścić klingę koszulą jednego z martwych rzeźmieszeków. Człowiek, który nie dba o broń, nie zasługuje, by ją posiadać.

– Zawdzięczam wam życie – rzekł do olbrzymów.

Trójka wielkoludów porozumiała się między sobą w nieznanym Conanowi języku. Minęła dłuższa chwila, zanim ogromna kobieta o kruczoczarnych włosach do ramion zwróciła się do Cymmeriani-



na. Mówiła tą samą zamorańską gwarą, w której on zagadnął do olbrzymów.

– Potrafisz walczyć. Nie należysz do żadnego z miejscowych plemion.

Pomimo wielkich rozmiarów, olbrzymka wyglądała na całkiem atrakcyjną niewiastę, która po prostu urosła niemal dwakroć ponad miarę. Była niebrzydka i zgrabna, a jej głos miał głębokie, dźwięczne i z pewnością kobiece brzmienie. Conan widywał już ludzi uchodzących za gigantów, lecz zbudowanych nieproporcjonalnie, z grubymi brwiami i wargami, zniekształconymi rękami i stopami.

– Jam jest Conan z Cymmerii, kraju leżącego daleko stąd na północ – odrzekł. – Zdążam do Shadizaru. – Obejrzał ostrze broni i z zadowoleniem stwierdził, że nie ucierpiało wskutek walki.

Na chwilę zapanowała cisza, potem kobieta zamieniła kilka słów z kompanami. Znów mówiła w tym niezrozumiałym języku, co przedtem. Po dłuższej przerwie z powrotem zwróciła się do Cymmerianina. Conan zauważył, że cała trójka podejmuje decyzje bardzo powoli.

– Niedaleko od drogi do Shadizaru jest nasza wioska. Może zechciałbyś nas odwiedzić?

– Czy mieszka tam więcej takich... olbrzymów jak wy?

– Z wyjątkiem dzieci, wszyscy podobnie wyglądamy.

Conan zastanowił się. Wioska gigantów! Bez wątplenia widok godny uwagi. Shadizar czekał tak długo, że mógł poczekać jeszcze dzień lub dwa.

– Chętnie skorzystam z zaproszenia.

Jeden z wielkoludów podszedł do martwego herszta bandy i wyciągnął z trupa włócznię kobiety. Wydobycie broni z ciała nie sprawiło mu najmniejszej trudności. Wielka dzida wysunęła się z młśnięciem przypominającym odgłos wyciągania buta z błota lub gwoźdźcia z mokrego drewna. Mężczyzna podał ją towarzyszcze.

– Dobry rzut – pochwalił dziewczynę Conan.

– Zwą mnie Teyle – powiedziała olbrzymka. – A nasze plemię to Jatte. Czasem trafiam tym do celu... – Oparła tępy koniec włóczni o ziemię. – Ale mam mało siły w porównaniu z większością naszych ludzi.

Conan przyjrzał się ranie na piersi zbója. W dziurze, którą zrobiła włócznia, zmieściłaby się jego pięść. Nawet najsilniejszy, zwykły człowiek miałby trudności z uniesieniem i rzuceniem takiej dziudy, a ta kobieta uważała się za słabą! Jatte sprawiali wrażenie powolnych, lecz bez wątplenia brak zwinności nadrabiali siłą.

– Masz pożywienie? – zapytała Teyle. – Możemy poczęstować cię winem, serem i mięsem. Przyłącz się do nas.

– Już jestem waszym dłużnikiem – odparł Conan.

Teyle popatrzyła na martwych opryszków.

– To hieny. Nie zasługiwali na nic innego niż śmierć. Zamierzaliśmy się ich pozbyć, a ty ułatwiłeś nam zadanie.

Cóż... Było w tym sporo racji, choć Cymmerianin stanął do walki z własnych powodów. A po takim zajęciu człowiek głodnieje.

– Wspomniałaś o winie?

– W istocie.

Conan spał dobrze. Po wybornym winie miał przyjemne sny. Mógł porządnie wypocząć, wiedząc, że przy ognisku towarzyszy mu troje gigantów. Z pewnością nie zamierzali zrobić mu nic złego, bo inaczej zabiliby go wraz z hersztem rzezimieszków.

Gdy blask poranka rozjaśnił bezchmurne niebo, Cymmerianin wstał rześki. Czekala go kolejna przygoda. Na szczęście zapowiadała się bezpieczniejszą niż te, które przeżył wcześniej podczas podróży. Nie obawiał się olbrzymów, w końcu miał być ich gościem.

Po obfitym śniadaniu ruszyli w drogę. Tylko Teyle potrafiła porozumieć się z Conanem i w czasie marszu opowiedziała mu co nieco o historii Jatte.

– Trzysta lat temu pewien potężny czarownik stworzył naszych przodków, bo potrzebował silnych robotników do budowy swego zamku. Był zacnym człowiekiem i po wykonaniu pracy ofiarował Jatte wolność. Od tamtej pory żyjemy mniej lub bardziej spokojnie w wiosce, skąd wywodzi się nasz ród.

Conanowi wydało się, że gdy Teyle wypowiadała ostatnie zdanie, przez jej twarz przemknął cień emocji. O nic się jednak nie dopytywał.

Przez kilka godzin szli w milczeniu. Czasem Jatte odzywali się do siebie, lecz kobieta nie zadawała sobie trudu, by tłumaczyć Cymmerianinowi ich słowa.

Koło południa dotarli do wąskiej ścieżki wijącej się na prawo w skalnej rozpadlinie. Conan cierpliwie podążał za trójką olbrzymów. Wkrótce przed wędrowcami pojawił się strumień płynący równoległe do dróżki. Nad brzegami rosły wierzby. Po godzinie marszu zbliżyli się do miejsca, gdzie roślinność gęstniała, a po następnej – znaleźli się na skraju bagien. Ziemia zrobiła się grząska, a korony

wysokich drzew tworzyły sklepienie przepuszczające niewiele światła. Wokół brzęczały owady i stała woda. Tu i ówdzie przenikał promień słońca, lecz nie doskwierał upał, który dał się Conanowi we znaki poprzedniego dnia.

Ścieżkę dawno pozostawili za sobą, ale trójka olbrzymów pewnie stawiała kroki. Wielkoludy najwyraźniej dobrze wiedziały, gdzie stapać, by nie utonąć w zdradliwym trzęsawisku. Cymmerianin nie podjąłby tej wędrówki, gdyby musiał iść tędy po raz pierwszy w pojedynkę. Zdawało się, że dookoła są tylko mokradła i grząskie piaszki. Niekiedy drogę przecinały piechurom węże grube jak nogi Cymmerianina. Długość niektórych gadów trzykrotnie przekraczała wzrost człowieka. Jednak dopóki szedł za olbrzymami, czuł się bezpieczny. Skoro grunt nie zapadał się pod ich ciężarem, to tym bardziej jemu nic nie groziło.

Zatrzymali się na stosunkowo suchym skrawku ziemi, by się posilić. Wtedy wprawne ucho Conana złowiło dziwny dźwięk dochodzący z oddali. Brzmiał niczym głośne kumkanie wielkiej gromady żab, które wyroiły się po ulewnym deszczu.

Olbrzymy też to usłyszały.

– Vargowie! – parsknął wyższy z mężczyzn i splunął.

Zdziwiony Conan spojrzął na Teyle.

– Vargowie?

Skinęła głową.

– Bagienne bestie zamieszkujące moczary. Są podobne do Jatte, lecz bardzo małe. Mniejsze nawet od ciebie. Mają zieloną, nakrapianą skórę i spiłowują sobie zęby w ostre szpice. To najgorszy rodzaj dzikich. Włóczą się stadami i żywią... naszym mięsem.

Conan zamyślił się. Stworzenia pożerające olbrzymy z pewnością nie gardziły też zwykłymi ludźmi. Odruchowo dotknął rękojeści miecza.

– To tchórze – uspokoiła go kobieta. – Atakują tylko wtedy, gdy jest ich tuzin, a ofiara jedna. Nie musimy się ich obawiać.

Conan pokiwał głową, ale postanowił mieć się na baczności.

Podążyli dalej krętym szlakiem przez błota. Kilka razy towarzysze Cymmerianina ostrzegli go w porę przed zrobieniem fałszywego kroku. Uświadomił sobie, że nikt nie mógłby natknąć się przypadkowo na ich wioskę. A gdyby nawet ktoś wiedział, gdzie leży osada, i zamierzał tam dotrzeć, wyprawa okazałaby się przerażająco niebezpieczna. Conan miał bystre oko i na długo zapamiętywał miejsca, które raz zobaczył. Mimo to, nie zapuściłby się w te tereny bez

zachowania dużej ostrożności. Musiałby się zastanawiać, zanim gdzieś postawiłby stopę.

Późnym popołudniem dobrnęli wreszcie na skraj wioski Jatte.

Widok był zaiste imponujący.

Domy pobudowano głównie z drewna. Miały dachy kryte strzechą i nawet najmniejsze z nich zdawały się ogromne przy zwykłych, ludzkich siedzibach. Conan zobaczył wielu Jatte pochłoniętych różnymi zajęciami. Tu kobiety meły ziarno na mąkę, tam mężczyźni cięli drewno na opał lub na budulec, ówdzie bawiły się dzieci. Cymmerianin sam poczuł się jak małe, gdyż potomstwo Jatte dorównywało mu wzrostem i budową ciała, lub nawet nad nim górowało. Nigdy nie spotkał się z niczym podobnym.

Niektórzy wieśniacy oderwali się od pracy i wyszli naprzeciw powracającej trójce. Pozdrawiali Teyle i jej towarzyszy, obrzucając Conana zaciekawionymi spojrzeniami. Gawędzili między sobą w swoim języku. Cymmerianin usłyszał, że Teyle wymieniła jego imię.

Trójka olbrzymów zaprowadziła gościa do okazałej budowli w środku wioski. Przy wejściu stało dwoje dzieci – chłopiec i dziewczynka. Przerastały Conana, choć nie wyglądały na więcej niż trzynaście wiosen. Nosiły wełniane koszule, krótkie kilty oraz zielone buty z cętkowanej skóry sięgające do połowy łydek. Miały włosy tego koloru co Teyle. Cymmerianin dostrzegł rodzinne podobieństwo.

Kobieta wskazała na chłopca.

– To Oren. – Trzynastolatek uśmiechnął się. – A to Morja. Są bliźniakami i moim młodszym rodzeństwem.

Conan pozdrowił dzieci skinieniem głowy.

– Wspaniały okaz, Teyle! – ucieszył się Oren.

Cymmerianin zerknął na olbrzymkę.

– Okaz?

– Uczylaam ich trochę języka, którym mówisz – wyjaśniła. – Ale robią dużo błędów.

Conan przyjął to do wiadomości. Cóż młodzi często się mylą.

– Mój ojciec czeka na nas – powiedziała. – Chce cię poznać.

– A skąd wie, że tu jestem?

– Bliźniaki z pewnością go uprzedziły.

We wnętrzu wielkiego budynku panował półmrok. Światło dzienne wpadało tu tylko przez kilka otwartych okien. Na środku izby stał olbrzym niemal dwakroć większy od Conana, a obok wielkoluda

widniała solidna, lecz pusta klatka. Pod ścianami ustawiono stoły i krzesła. Tu i ówdzie wałały się duże, wiklinowe kosze.

– Witaj, Teyle! – zawołał olbrzym.

– Witaj, ojcze.

Kobieta i Cymmerianin pozostawili innych z tyłu i podeszli do gospodarza. Oblicze pana domu zdobiła ciemna broda przyprószone siwizną, a nagie ciało okrywała jedynie zwierzęca skóra opasująca biodra i sięgająca do kolan. Mężczyzna był muskularny i opalony bardziej niż Conan. Cymmerianin miał wrażenie, że olbrzym złamałby go w pół z taką łatwością jak zwykły człowiek łamie kij od miotły.

– Oto Conan, ojcze – odezwała się Teyle. – Uśmiercił na płaskowyżu pięciu łotrów. Conanie, to mój ojciec imieniem Raseri, wódz plemienia Jatte i nasz główny szaman.

– Pięciu łotrów, he?! – zagrział olbrzym. Jego donośny bas zadudnił echem w pustej izbie. – Doskonale, moja córko! Przyprowadziłaś mi wspaniały okaz!

Co za okropne określenie, pomyślał Conan. Zaczął powątpiewać, że to przypadek. Poczuł nagle obawę i odwrócił się do Teyle.

Zdążył dostrzec jej ogromną pięść, przy której jego własna wydawała się mała, i usłyszał:

– Wybacz.

Zbyt późno się zorientował. Nawet szybki refleks nie mógł go już uratować. Potworny cios zwałił Conana z nóg. W oczach zawirowały Cymmerianinowi kolorowe plamy, a potem ogarnęła go ciemność. Stracił przytomność.

### III

Wóz wolno toczył się zaśnieżonym Traktem Korynthiańskim, zmierzając przez przełęcz w kierunku Zamory. Z trudem pokonywał górski szlak. Był ciężki, długi i szeroki. Miał solidną, drewnianą konstrukcję, wysokie burty i ustawioną w szpic plandekę z grubej, mocnej tkaniny, która chroniła pasażerów przed kaprysmi pogody. Sześć wielkich, drewnianych kół opasywały żelazne obręcze, a piasty obficie wypełniał czarny smar. Pasy miedzi wzmacniające szprychy pozieleniały ze starości, a wymyślnie rzeźbione boki pojazdu wyblakły od słońca. Ze względu na duże wymiary

wóz mógł poruszać się jedynie szerszymi drogami, choć sześć wołów idących w zaprzęgu nie wprawiało go w należyte szybki ruch.

Na koźle oddzielnym od wnętrza zasłoną siedział woźnica ukrywający twarz pod kapturem. W dłoniach chronionych rękawicami dzierżył lejce.

Z czeluści wozu wygramoliła się druga postać i usiadła obok powożącego. Przystojny mężczyzna miał włosy koloru słomy i gładko ogolone policzki. Podobnie jak woźnica, ubrany był w szarą, wełnianą oponczę. Klepnął towarzysza w ramię.

– Hej, Penz. Dake chce, żebyś stanął. Czas na posiłek.

Spod kaptura dobiegł nieartykułowany pomruk.

Blondyn pokazał w uśmiechu piękne zęby.

– Ponurak z ciebie, włochaczu. Powinieneś bardziej cieszyć się życiem!

Z tymi słowy przystojniak szarpnął kaptur i zdarł go z głowy Penza.

Woźnica parsknął i wyrznął zartownisia na odlew kułakiem. Cios był silny. Jasnowłosy mężczyzna zachwiał się i runął z kozła na zaśnieżoną drogę. Spadł z wysoka; siedzenie dzieliła od ziemi odległość równa wzrostowi dorosłego człowieka. Penz pospiesznie naciągnął kaptur z powrotem. Każdy, kto zobaczyłby, co pod nim ukrywa, w mig pojąłby powód rozdrażnienia.

Woźnica miał oblicze dzikiej bestii. Twarz wilka.

Tam, gdzie zwykłym człowiekowi wyrasta nos, sterczał długi pysk. Gdy Penz wpadał w złość, szczyrzył długie, ostre kły zdolne rozszarpać ciało. Głęboko osadzone ślepia zastępowały mu oczy, a całą zwierzęcą fizjonomię uzupełniała szorstka sierść.

Kiedy wóz przystanął, wilkołak uniósł się, by skoczyć na leżącego mężczyznę. Wtem mroźne powietrze przeciął czyjś głos, ostry jak smagnięcie bicza.

– Penz! Stój!

Człowiek o wilczej twarzy zamarł niczym rażony piorunem.

Zza zasłony wyłonił się trzeci podróżny. Był przeciwieństwem blondyna podnoszącego się właśnie ze śniegu. Miał smagłą cerę i kruczoczarne włosy, a jego oblicze zdołały sumiaste wąsy opadające poniżej kwadratowego podbródka. Kiedy zacisnął pięści, pod szatą opinającą krępa sylwetkę zadrgały mocne mięśnie ramion.

Jasnowłosy stanął na nogi.

– Rozwałę tę włochatą gębę!

Smagły mężczyzna spojrział na niego surowo.

– Zamilcz, Kreg!

Blondyn, wyraźnie wściekły, nie odezwał się. Popatrzył ze złością na mówiącego, potem spuścił wzrok i począł otrząpywać odzień. Wolał trzymać język za zębami, skoro tak mu kazano.

Ogorzały zwrócił się do Penza:

– Nie wolno ci uderzyć Krega. Ja wymierzam kary, rozumiesz? Ja tu rządę!

Wilkołak skinął głową.

– Powtórz!

Penz wykrztusił zrozumiałą odpowiedź:

– Ty tu rządzisz, Dake.

– Dobrze – pochwalił smagły mężczyzna, po czym nagle zamachnął się. Cios wielkiej pięści trafił włochacza w pierś. Wilkołak poleciał z wozu, ku ucieście Krega. Ale uśmiech zniknął z twarzy blondyna, gdy zwalisty Penz spadł i przygniótł go swym ciężarem.

– A ty nie masz prawa szydzić z niego, Kreg – warknął Dake. Odwrócił się i zniknął w głębi wozu, pozostawiając dwóch mężczyzn leżących na zmarzniętej ziemi.

Wewnątrz wóz był większy niż wydawał się z zewnątrz. Miał ławy do siedzenia, zamykane szafki i dość miejsca do spania dla tuzina rośliwych mężczyzn. Kobieta-kot imieniem Tro oraz Sab, człowiek o czterech rękach, siedzieli w milczeniu i trwożliwie wpatrywali się w Dake’a, który po powrocie zajął wyściełaną ławę zarezerwowaną wyłącznie dla niego. Przywódca spojrzał na kompanów spode łba. Nikt w całej Korynthii, Zamorze, ani nawet w Koth nie posiadał takiej kolekcji osobliwości jak on, a jednak nie był zadowolony. Tro tak przypominała kotkę jak Penz wilka, lecz pod miękką sierścią jej ciało miało bardzo kuszące kształty i wielu mężczyzn chętnie płaciło za sposobność zabawienia się z kobietą-kotem. Dake też ją wykorzystywał, choć ostatnio trochę odeszła mu na to ochota.

Druga para rąk Saba była mniejsza od pierwszej, ale służyła mu równie dobrze. Chętnie się nią popisywał, jeśli tylko ktoś sychnął groszem. Od pewnego czasu jednak okazy Dake’a nie wzbudzały już takiej ciekawości jak niegdyś. Musiał znaleźć coś lepszego, by przyciągnąć gawieź. Może coś większego?

Skromne umiejętności magiczne i trupa złożona z dziwołagów zapewniały mu byt, lecz marzyło mu się znacznie więcej. Chciał zostać nadwornym mistrzem rozrywki u jakiegoś króla i zgromadzić

takie bogactwa, by osiągnąć cel swego życia. Pragnął mianowicie tworzyć coraz dziwniejsze istoty, wyhodować tuziny, może nawet setki potworów, jakich nie widziały jeszcze ludzkie oczy, i stać się bogiem groteski. Wiedział, że najwięksi magowie potrafiliby zrobić to jednym machnięciem ręki, ale nie posiadał tak rozległej wiedzy czarnoksięskiej i nie mógł dorównać najlepszym cudotwórcom. Pozostawało mu zadowolić się tym, co umiał – jeśli nie czekała go sława wielkiego czarownika, to przynajmniej chciał zdobyć popularność jako kolekcjoner.

Wieść głosiła, że gdzieś w bok od drogi do Shadizaru żyje plemię olbrzymów. Ci, co o tym wiedzieli, utrzymywali też, iż w pobliżu zamieszkuje rasa karłów, a dorosłe osobniki nie są większe od dzieci. Karły nie były niczym osobliwym, lecz te miały podobno zieloną skórę jak żaby. Zdobyć dwóch takich okazów znacznie zwiększyłoby szanse Dake'a na pozyskanie możnego patrona. Dlatego wyruszył w kierunku Miasta Złodziei. Posiadał nawet przybliżoną mapę zakupioną od pewnego bywalca walącej się karczmy tuż za murami miasta Opkothard. Postawił pijaczynie flaszkę mętnego wina i ten oddał mu w zamian swój skarb. Za kilka miedziaków Dake poznał miejsce, które mogło dostarczyć mu niebywale cennych dziwów natury. Rzecz jasna, było wielce prawdopodobne, iż mapa jest fałszywa i nie warta nawet baraniej skóry, na której ją wyrysowano. Lecz Dake nie wierzył, by spotkał go taki zawód. Miał dobrego nosa. Szkic, starannie przechowywany, choć wygnieciony przez lata użytkowania, sprawiał wrażenie starego i autentycznego. A jeśli tak, wart był całej winnicy, a nie jednej butelki. I z pewnością nikt nie przepłaciłby, gdyby nawet wyłożył tuzin razy więcej.

Myśli o pokonaniu wszelkiej konkurencji i bogatym patronie nieco poprawiły Dake'owi humor. Przywódccę wzięła chęć na coś przyjemnego.

Uśmiechnął się do kocicy i ruchem głowy wskazał wielkie łożo. Tylko on miał prawo z niego korzystać, jeśli nie liczyć osoby, którą zapraszał na posłanie.

Tro wstała, westchnęła i poszła, gdzie jej kazał.

Dake dołączył do niej i wybuchnął śmiechem, gdy Sab odwrócił wzrok. Czteroreki kochał się w kocicy z wzajemnością. Oboje nie wiedzieli, że Dake zna ich sekret.

Mieli pecha. Nie należeli do gatunku ludzkiego, stanowili tylko parę dziwolągów. Ich pragnienia nie liczyły się. Ważne było jedynie to, czego życzył sobie Dake, ich pan i władca.



Gdy słońce dwakroć zatoczyło krąg po nieboskłonie i tyleż razy księżyc spowił ziemię swym blaskiem, pasażerowie wozu przybyli do miejsca, gdzie mieli opuścić bity trakt.

Penz, Kreg i Dake stali obok pojazdu i patrzyli na ścieżkę wijącą się między skałami w stronę widocznego w dole strumienia.

– Tam – ozwał się wilkołak i dłonią w rękawiczce wskazał na południe.

– Jesteś pewien? – spytał Dake.

– A jużci. Widzisz zieloność w oddali? To początek mokradeł.

Dake znów rozłożył mapę. Miał jej kopię, którą własnoręcznie odrysował na wypadek, gdyby stracił oryginał. Wyglądało na to, że Penz się nie myli.

– Musimy ukryć wóz – powiedział przywódca. – W lesie, o pół godziny drogi stąd. Mijaliśmy go, jadąc tutaj.

– A co z wołami? – zapytał Kreg.

– Wyprzęgniemy. Niech się pasą do woli. Nie odejdą daleko. Wrócą, gdy je przywołam – Dake skinął ręką, zginając palce, jakby kogoś przyzywał. Zaklęcie zmuszające zwierzęta domowe do posłuszeństwa nie było trudne, potrafił je rzucić bez wysiłku. Nie urodził się magiem, lecz życie go nauczyło, że nawet wielkim czarownikiem nie zawsze dobrze się wie. Kiedy znajdują się w potrzebie, gotowi są odsprzedać kilka mniej ważnych zaklęć za godziwą cenę.

– Czy nie powinniśmy zostawić kogoś do pilnowania wozu? – zauważył blondyn.

– Nie ma potrzeby. – Dake umiał zapewnić pojazdowi niewidzialną, magiczną ochronę. Każdy ciekawski nie znający się na rzeczy, który podszedłby zbyt blisko, pożałowałby tego. Ogarnęłaby go paskudna niemoc i zebrałoby mu się na wymioty. Ta przeszkoda naturalnie nie powstrzymałaby doświadczonego magika czy wiedźmy, ale też po co ktoś taki miałby kraść czyjś wóz, nawet wyjątkowo dobry?

– Wszyscy pójdziemy tą ścieżką. Mogą mi się przydać wasze umiejętności, gdy przydybiemy zdobycz.

Penz zawrócił wóz, by odjechać w stronę kryjówki. Dake przez chwilę wpatrywał się w odległe drzewa wyrastające z bagien. Minęły lata od czasu, gdy po raz ostatni zaszczylił Shadizar swoją obecnością. Wiedział jednak, że w tym mieście znajdzie się niejeden możny opiekun jego menażerii. Zwłaszcza, jeśli powiększy ją o olbrzyma i osobliwego karła.

Oczywa wyobraźni widział już przyszłe możliwości. Skrzyżować ze sobą dziwolągi! Gigantyczny człowiek-kot, kobieta lub mężczyzna... A może karłowaty wilkołak o zielonej sierści? Czteroręki karzeł albo wielkolud... To prawda, że nie wszystkie krzyżówki różnych gatunków się udają, ale za pomocą czarów pary powinny się połączyć. Dake znał kilka prostszych zaklęć, a za odpowiednią ilość złota mógłby pojąć więcej.

Odwrócił się z uśmiechem i wdrapał na tył wozu. Miał przed sobą mnóstwo ekscytujących perspektyw.

## IV

Conan ocknął się w klatce.

Bolała go głowa i zeszywniały mu mięśnie. Zdał sobie sprawę, że odretwiął od leżenia na ziemi. Kiedy po chwili przypomniał sobie powód bólu głowy, nie był zbyt uszczęśliwiony.

Olbrzymka zdzieliła go pięścią, wykorzystując jego nieuwagę. Cios zaprzeczwał jej twierdzeniu, że jest słaba. Żaden mężczyzna jeszcze tak nie powalił Conana.

Cymmerianin znalazł się w niewesołym położeniu. Usiadł i pomasaował bolącą czaszkę. Potem rozejrzał się. Pozbawiono go miecza i pochwy, ale nie zabrano mu odzienia, pasa ani sakiewki. Miał krzesiwo i hubkę, mógł zatem rozpalic ogień.

Ci, którzy go uwięzili, musieli przeoczyć ten fakt i popełnili błąd.

Nie zdążył wcześniej przyjrzeć się klatce. Teraz zobaczył, że jest zrobiona z twardego, białego materiału. Nie od razu rozpoznał budulec. Poprzeczki tworzące kraty miały dziwne kształty i różne wielkości. Połączono je jakąś zielonkawą substancją, bez wątpienia nieznanym rodzajem kleju. Próby wykruszenia go paznokciem i krzemieniem nie zdały się na nic. Równie dobrze Conan mógłby dłubać w skale. Kiedy uderzył w białe pręty kostkami palców, rozległ się metaliczny dźwięk, jakby postukał w brąz.

Kości!

Czyje, tego nie wiedział. Lecz sądząc po długości, pochodziły od stworzenia większego niż człowiek.

– A, widzę, że się obudziłeś.

Conan odwrócił się i zobaczył ojca Teyle, olbrzymia imieniem Raseri.

Wielkolud podszedł bliżej.

– Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś? Przychodzi ci do głowy jakiś powód?

Conan nie miał ochoty na pogwarki, ale tamten trzymał go w garści. Lepiej nie drażnić olbrzyma, kiedy siedzi się w jego klatce.

– Wiem tyle, że więzisz mnie za kratami z wielkich, mocnych kości – odrzekł. – Podejrzewam, że należały do twoich pobratymców. Ale nie pojmuję, po co mnie tu trzymasz. Może jesteście ludożercami?

Olbrzym roześmiał się, aż zadudniło.

– Bardzo dobrze! Co do klatki, wszystko się zgadza. Nasz Stwórca wiedział, że jeśli mamy mu się przydać, musimy być zbudowani inaczej niż mali ludzie. Dał nam mocniejsze kości. Mylisz się jednak, sądząc, iż jesteśmy kanibalami, choć tę ciekawą teorię usprawiedliwia twoja sytuacja. Nie należymy do dzikusów jak Vargowie. Uważamy się raczej za wyznawców filozofii naturalnej.

Conan nie znał tego terminu, więc milczał. Im więcej się dowie od giganta, tym łatwiej będzie mu uciec.

– Twoja mina świadczy o tym, że nasza doktryna jest ci obca – ciągnął Raseri. – Filozofia naturalna to poznawanie świata i jego tajemnic. Chcemy wiedzieć wszystko o wszystkim.

Olbrzym zbliżył się do klatki na odległość równą swemu wzrostowi i spojrzał z góry na Conana. – Jeśli mamy przetrwać w otoczeniu przeważającej liczby ludzi, którzy boją się nas i nienawidzą, musimy znać każdy szczegół o naszych wrogach. Przeto posłużysz nam za przedmiot dociekań.

– Nie jestem mędrcelem – zaprotestował Conan. – Niewiele wam powiem.

– Ale nie ty pierwszy siedzisz w tej klatce. Badaliśmy już tych, których zwiesz mędrkami. Wiemy, że mali ludzie różnią się od siebie, podobnie jak my. Teraz przyszedł czas, by przepytać wojownika z obcego kraju.

– Nie muszę tkwić za kratami, by udzielać odpowiedzi.

– Obawiam się, że musisz. Niektóre z pytań będą bolesne, bo to badania natury fizycznej.

Conan popatrzył na Raseriego. Błyszczące, niebieskie oczy Cymmerianina na moment pociemniały. Zamierzają go torturować! A więc, dobrze. Zobacz, jacy są silni, gdy otworzą klatkę, a on wpadnie w gniew. Dostrzegł swój miecz oparty o ścianę za plecami wielkoluda. Wiedział, że jest szybszy od Jatte. Jeśli zdąży dopaść broni, przekaże się, czy ciało olbrzymów okaże się twardsze od ostrej stali.

Lepiej zginać z mieczem w dłoni niż poddać się i cierpieć w męczarniach. Crom nie jest łaskawy dla wojowników unikających walki. A skoro zanosi się na rychłe spotkanie z bogiem, lepiej zabrać ze sobą tylu wrogów, ilu się da. Są gorsze rzeczy niż umieranie. Bez wątpienia jedna z nich to niegodna śmierć.

Mokradła gęsto porastała bujna roślinność, liczne rozlewiska pokrywała bagienna piana, a grunt był zdradliwy. Słońce tylko gdzieś tam przebijało się przez korony drzew i nawet w południe padał tu ponury półmrok.

Być może z powodu ciemności Kreg zmylił drogę i zszedł ze ścieżki, zamiast podążać śladami Tro, pewnie prowadzącej grupkę. Nagle zaczął tonąć w błotnistej mazi.

– Na pomoc!

Dake z niesmakiem pokręcił głową.

– Wyciągnij go, Penz.

Człowiek-wilk skinął łbem i zdjął z ramienia zwój liny. Trzymając sznur w lewej ręce, okręcił koniec w powietrzu, by rzucić go Kregowi.

– Szybciej, włochaty durniu! – Blondyn tkwił po uda w mule. Przy każdym ruchu zapadał się coraz głębiej.

Dake westchnął. Kreg był mu bezgranicznie oddany, ale równie głupi. Trzeba nie mieć rozumu, by miotać wyzwiska na swego wybacwcę, gdy człowieka wchłania bagno. Gdyby Dake nie rozkazał Penzowi wydobyć kompana z grzęzawiska, wilkołak z uśmiechem pozwoliłby Kregowi utonąć. Kto nie potrzebuje pomocnika, bo uważa się za zbyt sprytnego lub ambitnego, jest niebezpieczny. Ale lojalność Krega rekompensowała jego tępotę.

Penz cisnął linę. Od tonącego dzieliła go niewielka odległość, toteż rozwinął tylko kawałek zwoju. Gruby i ciężki koniec sznura mocno uderzył Krega w twarz i pierś, oplatając jego ciało.

– Auuu...! Niech cię Set porwie!

Dake nie widział twarzy Penza ukrytej pod kapturem, ale gotów był się założyć, że wykrzywił ją wilczy uśmiech.

Wokół brzęczały owady. Wilkołak pociągnął linę. Rozległo się głośne mlaśnięcie i nogi Krega zostały uwolnione z bagnistej pułapki. Gdy blondyn prawie całkiem wydobył się z grzęzawiska, Penz szarpnął trochę za mocno i Kreg stracił równowagę. Padł na twarz, rozpryskując błoto.

Za plecami Dake'a Tro i Sab wybuchnęli śmiechem.

Kreg wygramolił się na ścieżkę. Trząsał się z gniewu. Rzucił wilkołakowi wściekle spojrzeenie.

– Umyślnie mnie przewróciłeś! – Wyrwał zza pasa długi sztylet. – Obetnę ci za to uszy!

– Schowaj nóż – rozkazał Dake.

Blondyn był zbyt głupi, by zdawać sobie sprawę z ryzyka. Przeniósł płonący wzrok na swego pana.

– Widziałeś, co mi zrobił!

– Widziałem też, że to ty spadłeś ze ścieżki. Następnym razem pozwolę ci utonąć!

Penz spokojnie zwijał linę.

Kreg kipiał ze złości, ale wsunął sztylet do pochwy.

Dake odwrócił się. Pewnego dnia ci dwaj naprawdę skoczą sobie do gardeł! Szkoda byłoby stracić tak cenny okaz jak Penz, więc jeśli Kreg się nie pohamuje, zginie. Łatwo znaleźć nowego pomocnika, o wiele trudniej wilkołaka. To przykre, ale sama lojalność nie czyni człowieka niezastąpionym.

Tymczasem były ważniejsze sprawy: schwytywanie karła i olbrzyma.

Jakby w odpowiedzi na to, z głębi bagien doleciał dziwny dźwięk. Mag nigdy dotąd nie słyszał tak jednostajnego zawodzenia.

– Co to? – zaniepokoił się Kreg.

– Ruszajmy naprzód, to się dowiemy – odparł Dake.

W wysuniętych najdalej na południe dzikich ostępach mokradła, gdzie jeszcze nigdy nie zapuścił się człowiek, wśród najbardziej zdradliwych grząskich piasków i drzew rosnących miejscami gęsto jak palisada, żyło plemię Vargów. Na polanie przy chłodnej sadzawce siedział jego wódz imieniem Fosull. Spomiędzy spiczastych, przednich zębów wydłubał ostrym paznokciem kawałek mięsa i przeżuł go w zamyśleniu. Fosull był najsilniejszy i najwyższy ze wszystkich Vargów; wysokość jego ciała sięgała niemal ćwierci wzrostu przeciętnego Jatte. Biegał i wspinał się szybciej niż o połowę młodszy pobratymcy. Nakrapiana, zielona skóra wodza nosiła tu i ówdzie ślady zmarszczek, a oczy nie widziały już tak dobrze jak tuzin wiosen wcześniej, lecz wciąż nikt nie śmiał odebrać mu władzy. Nawet najstarszy syn, Vilken, choć Fosull wiedział, że ten dzień zbliża się nieuchronnie. Chłopak musi jeszcze nabrać doświadczenia. Ale następnego lata, lub może trochę później, trzeba będzie ustąpić mu miejsca.

Niech młodzieniec się przekona, jak ciężko jest rządzić. Fosull usunie się w cień i zazna zasłużonego spokoju w otoczeniu swych dziewięciu żon. Lepiej dożyć starości jako były wódz niż nie dożyć jej wcale.

Począł zdejmować skórzane odzienie, by zanurzyć się w wodzie, gdy nadbiegł Brack, jeden ze strażników strzegących ścieżki.

– Hej, wodzu!

Fosull wciągnął ze świstem powietrze i zrobił znudzoną minę.

– Dzień jest gorący i zamierzam zażyć przyjemnej kąpieli. Co tam znowu?

– Ktoś nadchodzi, wodzu.

– Jatte?

– Nie. Ludzie pozabagienni. Jacyś dziwni.

– Jak to?

– Jeden ma cztery ręce. Drugi twarz dzikiej bestii. Jest jeszcze kobieta o wyglądzie kota. Dwaj inni są zwyczajni.

– Ciekawe. Gdzie ich widziałeś?

– Na Dolnym Żółtym Szlaku.

Fosull zamyślił się. Prawda, że ludzie spoza bagien byli dużo mniej smacznymi od Jatte, ale mięso to zawsze mięso. Lepsze takie niż żadne. Dieta Vargów ograniczała się ostatnio do dzikich świń i gryzoni. Uczta złożona z pięciu pozabagiennych ludzi, nawet dziwacznych, nie trafiała się co dzień. Kąpiel musiała poczekać.

– Dobrze. Zbierz wojowników na Wysokim Żółtciu. Złapiemy przybyszów na zakręcie przy torfowisku.

– Tak jest, wodzu.

Brack biegiem zniknął w zaroślach. Fosull sięgnął po włócznię opartą o rozłożyste drzewo ocieniające sadzawkę. Może dziwaczność obcych doda im smaku?

Conan samotnie przesiedział w klatce większość poranka. Wciąż piekły go oczy od cuchnącego płynu, którym Raseri chlusnęły na niego przed odejściem.

Ciecz wylana z małej drewnianej miski śmierdziała niczym zdechły szczur leżący przez trzy dni w palącym słońcu. Ale poza szczypaniem pod powiekami i przykrym zapachem, Cymmerianin nie zauważył innych skutków prysznic. Olbrzym po opryskaniu więźnia przyglądał mu się przez chwilę, potem pokiwał głową w zamyśleniu i wyszedł.

Conan jeszcze nie słyszał o takiej torturze.

Do izby weszła Teyle. Kiedy zbliżyła się do klatki, posłał jej wściekłe spojrzenie, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Widzę, że *koughmn* pogorszył ci nastrój – powiedziała.

Conan milczał.

– Musisz zrozumieć... – ciągnęła – że osobiście nic do ciebie nie mam. Ojciec kazał mi sprowadzić okaz wojownika rasy małych ludzi. Przypadkiem natknęłam się na ciebie.

Conan uznał to wyjaśnienie za mało pocieszające. Nadal trzymał język za zębami.

– Nas jest garstka, a małych ludzi wielu. Musimy poznać naszych wrogów, by przetrwać. Chyba to pojmujesz?

– Dopóki tu nie przybyłem, nie byłem waszym wrogiem – orzekł w końcu Conan.

– Lecz twój gatunek jest. Żałuję, że zwabiłam cię tu podstępem, ale mam swoje obowiązki.

– Przebaczyłbym ci, gdybyś wypuściła mnie z tej klatki.

– Ależ nie mogę. Chciałam tylko, żebyś wiedział, iż nie powinienś brać tego do siebie.

– Wygląda na to, że przyjdzie mi umrzeć w waszej niewoli. Wybacz więc, ale muszę brać to do siebie.

Teyle nie wiedziała, co odpowiedzieć. Odwróciła się i odeszła.

Conan znów przyjrzał się klatce. Spojenia drzwi zasmarowano takim samym klejem jak resztę krat. Już wcześniej sprawdził, że nie da się go zeskrobać paznokciem lub krzemieniem, ani też podpalić. Kości były niepalne jak metal.

Cymmerianin począł ostrożnie napierać na wszystkie pręty, szukając słabego punktu. W rogu więzienia znalazł kość długości i grubości mniej więcej swego ramienia. Zaskrzypiała lekko, gdy ją mocno pociągnął. Wyjęcie jej nie otworzyłoby mu drogi ucieczki, ale przynajmniej zdobyłby narzędzie do obluzowania pozostałych. Ponadto, miałby maczugę. Gdyby Raseri podszedł dość blisko, Conan mógłby spróbować zgruchotać czaszkę olbrzyma. Albo cisnąć w niego kością. Lepsze to niż nic.

Cymmerianin uchwycił pręt i zaczął go ciągnąć z całej mocy. Kość zatrzęszczała i poruszyła się trochę. Odpoczął chwilkę i powrócił do pracy.

Na myśl o rozłupaniu Raseriemu głowy uśmiechnął się ponuro. Uśmiercenie jednego z wielkoludów choć częściowo wynagrodziłoby mu to, że tak lekkomyślnie dał się zwabić w pułapkę.

Dalej zmagał się z klatką.  
W tej chwili i tak nie miał nic lepszego do roboty.

## V

Atak zupełnie zaskoczył grupkę Dake'a.

Cała piątka brnęła przez podmokłą polanę, gdy nagle z gęstych krzaków na wprost wypadła z wrzaskiem horda zielonych ludków potrzęsających włóczniami.

W jednej chwili, która ciągnęła się niczym żywica spływająca po korze drzewa, Dake uświadomił sobie, że on i jego dziwna trupa zostaną otoczeni przez przeważające siły wroga. Napastników było co najmniej dwudziestu. Musiał coś zrobić i to szybko, jeśli chciał uratować siebie i swoją menażerię.

Pospiesznie wymówił słowa zaklęcia. Powietrze za jego plecami rozbłysło, rozległ się huk grzmotu i pojawił się olbrzymi, czerwony demon. Potwór po trzykroć przerastał wysokiego mężczyznę. Groźnie wyszczerzył lśniące kły i zamachał łapami uzbrojonymi w pazury zdolne rozplątać wołu.

Karły natychmiast przyhamowały i ślizgając się na mokrej trawie, stanęły jak wryte.

Dake skinął ręką; demon postąpił krok naprzód.

Zielone ludki rzuciły się do ucieczki, szukając schronienia w zaroślach. Popiskiwały coś między sobą; bez wątpienia wzywały na pomoc swych bogów.

Mag uśmiechnął się. Rzecz jasna, demon był tylko iluzją. Mógł rozwiać się równie łatwo jak dym z ogniska. Ale z pewnością wyglądał naturalnie. A kto przy zdrowych zmysłach zaryzykowałby sprawdzenie tego na własnej skórze?

Kiedy karły rozpierzchły się, Dake zawołał do Penza:

– Złap mi jednego!

Wilkołak skinął łbem i ruszył przez siebie, rozwijając linę. Okręcił ją w powietrzu i cisnął. Pętla na końcu sznura opasała umykającego ludzika. Penz szarpnął łąso i schwytna zdobycz zwałyła się z nóg.

Świetnie. Jeśli równie łatwo da się pojmać olbrzymia, wkrótce wyruszą w dalszą drogę do Shadizaru.

Zielony karzeł miotał się i próbował wstać. Nic z tego. Wilkołak naprzężył sznur i jeńcowi nie udało się podnieść. Dake podbiegł do ofiary.



Czerwony demon zniknął. Spełnił swoje zadanie i przestał być potrzebny. Groźba ataku została zażegnana.

Penz przyciągnął bliżej karła usiłującego uwolnić się z więzów. Mag rzucił najpotężniejsze ze swych zaklęć i więzień uspokoił się nagle. Czar obezwładnił karzełka.

– Teraz należysz do mnie – rzekł Dake. – Wobec mojej mocy jesteś bezsilny.

Trudno było orzec, czy zielony ludek zrozumiał jego słowa. Ale został spętany niewidzialną, magiczną siecią i podobnie jak inne okazy Dake’a, nie mógł już zagrozić ani uciec swemu nowemu władcy.

– Rozluźnij linę – rozkazał wilkołakowi czarodziej.

Penz posłusznie wykonał polecenie.

Jeniec patrzył na prześladowców. Mag gestem nakazał mu wstać. Karzeł podniósł się niechętnie. Wyraźnie zmagął się z krępującym go zaklęciem. Dake uśmiechnął się. Na początku wszyscy próbowali walczyć. Ale ten czar miał wyjątkową moc i naprawdę doskonale działał. Lepiej znać jedno dobre magiczne zaklęcie niż kilka marnych, a ta sztuczka jeszcze nigdy nie zawiodła Dake’a.

– Ruszajmy – powiedział mag.

– A co... a co z jego współbraćmi? – zapytał niepewnie Kreg.

– Widziałeś, jakiego stracha napędził im demon. Zostawia nas w spokoju.

Kreg nie był o tym do końca przekonany, ale wolał nie spierać się ze swym mistrzem. Grupka podążyła dalej.

Do izby wkroczył Raseri w towarzystwie czterech innych olbrzymów uzbrojonych w długie, proste kije. Grube tyki przypominały wielkością włócznie wielkoludów. Na znak wodza mężczyźni otoczyli klatkę.

Raseri rzucił krótki rozkaz i jego ludzie wyciągnęli kije przed siebie.

Pierwszy spróbował dźgnąć więźnia w plecy. Conan wyczuł ten zamiar i odwrócił się, by stawić czoło napastnikowi. Wyrzucił potężną pięścią w tykę i odtrącił ją w dół. Uniknął pierwszego ciosu, ale nie zdążył obronić się przed następnym. Drugi olbrzym wbił mu kij w kręgosłup.

Cymmerianin zamruczał i zrobił unik przed trzecim atakiem.

Klatka była na tyle wysoka, że mógł w niej stać. Ale gdyby chciał podskoczyć, uderzyłby głową w kratę z kości. Pozostawało mu za-

tem schylać się lub uskakiwać na boki. Niestety, miał ograniczone pole manewru, broniąc się przed trafieniami z czterech stron naraz.

Jeden cios trafił go w udo. Conan upadł na bok. Wtedy drugi kij ugodził go w brzuch.

Musiał szybko znaleźć jakiś sposób obrony. Czterej napastnicy byli zbyt silni; jeśli czegoś nie wymyśli, lada chwila załkują go na śmierć!

Jedno szturchnięcie chybiło. Chwycił kij i mocno szarpnął, by wyrwać go z rąk wielkoluda. Ale olbrzym pociągnął broń z taką siłą, że Conan nie zdołał jej utrzymać.

W oczy zajrzała mu śmierć. Lecz wtem dostrzegł nikłą nadzieję.

Gdyby przywarł bokiem do środka jednej ze ścian kwadratowej klatki, trzej prześladowcy nie dosięgnęliby go bez zmiany pozycji; dotychczas stali na swoich miejscach. Naturalnie taki manewr ułatwiłby zadanie czwartemu olbrzymowi, ale jeden napastnik to już nie czterech.

Gdy najbliższy stojący olbrzym wyprowadził dźgnięcie w jego brzuch, Conan skoczył naprzód, odwracając się bokiem. Koniec kija ledwo go musnął. Dopadł kraty i przycisnął do niej ramię i biodro. Uchwycił tykę dwiema rękami, oplótł ją nogami i przyciągnął do piersi.

Nawet wielkolud nie mógł utrzymać ciężaru Cymmerianina na drugim końcu kija. Olbrzym wypuścił tykę i Conan runął na ziemię, ale poderwał się natychmiast. Zdobył broń!

Jatte był zaskoczony. Zanim zdążył coś zrobić, Conan przykucnął i dźgnął z całej siły.

Dobrze wycelował. Kij trafił wielkoluda w czoło. Rozległ się dźwięk, jakby drewniany młotek uderzył w kołek namiotu. Ogromny mężczyzna przewrócił oczami, opadł na kolana i legł na boku. Klatka zadrżała, gdy jego ciało zważyło się na ziemię.

Conan szybko wciągnął broń za kraty. Za ciężka, żeby wziąć dobry zamach, ale może uda mu się jeszcze kogoś dzielić, zanim padnie trupem. Uśmiechnął się złowieszczo.

– Wspaniale! – wykrzyknął Raseri i zaczął klaskać. Powiedział coś do swych towarzyszy. Opuścili kije.

Cymmerianin przyjrzał się wodzowi olbrzymów. Krew kipiała w Conanie z wściekłości. Chętnie dałby wielkoludowi nauczkę, lecz mimo małego zwycięstwa wciąż pozostawał więźniem na łasce Raseriego.

– Jesteś wielce zaradny – pochwalił wódz. – Zważywszy charakter ataku, tylko tak mogłeś zareagować.

– Wypuść mnie stąd, a zobaczysz jeszcze inne reakcje – warknął Conan i potrząsnął tyką.

Raseri uśmiechnął się. – Och, nie mogę. To chyba jasne. Czeka cię jeszcze wiele prób. Oddaj kij.

– Ani myślę. Wolę go zatrzymać. Jeśli chcesz, spróbuj mi odebrać.

– Nie pozwolę ci zatrzymać tej broni, bo mógłbyś jej użyć jako dźwigni. *Ekad* to mocny klej, lecz jesteś silny i zapewne potrafiłbyś utorować sobie drogę ucieczki.

Conan nie ruszył się.

– Każę im ponowić atak – ostrzegł Raseri i skinął na trzech gigantów.

– Lepiej zginąć w walce niż iść na rzeź potulnie jak koza.

– Ach tak... Kodeks honorowy wojownika. Doskonale. Ale jeszcze nie czas, byś zginął. Oddaj kij.

– Ani mi się śni.

Raseri zanurzył dłoń w sakiewce u pasa.

Conan przygotował się. Uniósł kij i odchylił ramię do tyłu. Tyka miała tępy koniec, ale rzucona z dużą siłą mogła porządnie uszkodzić przeciwnika. Lepsza taka włócznia niż żadna.

Lecz zanim Cymmerianin zdążył jej użyć, Raseri cisnął do klatki zawartość sakiewki. W powietrzu zamigotał czarny proszek. Conan za późno uskoczył na bok. Wstrzymał wprawdzie oddech, ale nie ustrzegł się przed wchłonięciem gryzącego pyłu. Oczy zasnuła mu mgła i poczuł, że nogi uginają się pod nim. Ostatnim wysiłkiem rzucił przed siebie kij. Zbyt słabo, tajemnicza substancja pozbawiła Cymmerianina sił. Tępa dzida ledwo przeleciała przez kraty i z łoskotem upadła na podłogę, u stóp Raseriego.

Conana ogarnęła ciemność.

Raseri był zachwycony. Córka przyprowadziła mu chyba najcenniejszy okaz, jaki dotychczas badał. Mały człowiek z obcego kraju odznaczał się siłą, odwagą i sprytem. Mógł dostarczyć wielu ważnych informacji.

Wódz Jatte podniósł wzrok znad zapisków i przyjrzał się nieprzytomnemu więźniowi. Dobry humor psuła szamanowi świadomość, że tacy osobnicy jak ten stanowią poważne zagrożenie dla jego plemienia. Miejscowi ludzie nie posiadali umiejętności cudzoziemca i nie stawiali tak zacieklego oporu. Większość z nich wpadała w popłoch na sam widok Jatte i poddawała się bez walki. Umiera-

li szybko i wielu błagało o litość. Gdyby wszyscy byli tacy, plemię olbrzymów nie musiałyby się ich obawiać.

Lecz jeśli obcy miał sobie równych wśród małych ludzi, to istnienie takich śmiałków stwarzało prawdziwy problem. Prędzej czy później świat dowie się o Jatte. Już nieraz różnym ryzykantom udało się pokonać bagna i nawet Vargów, by dotrzeć do wioski. Na szczęście żaden stąd nie wrócił. Ale to tylko kwestia czasu; w końcu komuś się powiedzie.

Teyle nie nadawała się do prowadzenia badań, miała za miękkie serce. To, co uznawała za tortury, Raseri postrzegał jako konieczność. Nie widziała w małych ludziach wrogów, Raseri zaś przewidywał, że będą im zagrażać. Nie zastanawiała się nad przyszłością, podczas gdy on myślał perspektywicznie. Dziesięć lub sto wiosen może minąć spokojnie, lecz co czeka jego wnuki? Bez poznania przeciwnika i sposobów obrony przed nim, plemię zginie. Raseri już dawno wyzbył się wyrzutów sumienia – robił, co musiał, dla ratowania swego ludu. W końcu, życie jest trudne, a bogowie najchętniej pomagają tym, którzy sami chcą sobie pomóc. Ten Conan w klatce umrze, lecz jego śmierć przyniesie korzyść Jatte. Tylko to się liczy. Wiedza daje siłę, a im większą, tym lepiej.

Raseri pochylał się nad pergaminem i zaczął opisywać ostatni eksperyment. Czynił to nadzwyczaj starannie. Jeśli skomplikowane wnioski miały się na coś przydać, musiały być przedstawione we właściwej formie, by potem nikt ich fałszywie nie zinterpretował.

W głębi bagien Fosull zebrał wstrząśniętych wojowników na naradę. Zgromadzili się na polanie, gdzie czasem pod jego przywództwem dokonywano uroczystego obrządku zgładzania pojmanych wrogów. Słońce przeświecało przez gałęzie i w jego blasku wódz zobaczył więcej, niżby sobie życzył. Nawet Vargowie, przywykli do walki z trzykrotnie większymi Jatte, byli przerażeni pojawieniem się czerwonego demona, przy którym ludzie-olbrzymy wydawali się mali. Wciąż nie mogli dojść do siebie po spotkaniu z koszmarną zjawą i wspominali ją z trwogą.

- Spotkaliście kiedy takiego potwora?!
- Te kły zgruchotałyby żółwią skorupę!
- Patrzył prosto na mnie!
- Cisz! – zagrzmiał Fosull. – Przestańcie paplać jak dzieci!
- Przecież sam widziałeś, wodzu...

– Widziałem, że był wielki, ale jeden, a nas wielu. Tymczasem moi wojownicy pierzchali jak myszy przed kotem!

– A co mieliśmy zrobić? Zginąć pod ciosami tych szponów? To magiczny stwór, nie z tego świata!

Fosull nie odezwał się. Nie ulegało wątpliwości, że nagle znikąd wyłonił się przerażający potwór. Żadna magia Vargów nie potrafiłaby tego dokonać. Szaman mógł wyleczyć dreszcze, czasem nawet uzdrowić bezpłodne łono przy pomocy zaklęć, ale nie wyczarowałby z powietrza takiego monstrum. Włócznia zapewne nie wyrządziłaby tej bestii większej szkody niż cierń.

– Mamy tu odbyć naradę wojenną – przypomniał. – Musimy postanowić, jak poradzić sobie z tymi pozabagiennymi ludźmi. Gdzie jest mój syn? Vilken, do mnie!

Vargowie nagle zauważyli, że brakuje wśród nich najstarszego potomka wodza.

– Vilken! Gdzie jesteś?

Ale Vilken przepadł. Fosull poczuł skurcz w żołądku, gdy przypomniał sobie, że nie widział syna od chwili ataku na obcych.

Czy to możliwe, by jego następca – przyszły wódz plemienia, padł ofiarą potwora? Może czerwona bestia rodem z najgłębszych czeluści piekieł przeżuwa właśnie zwłoki jego dziecka?

Fosull odpędził straszne myśli.

Mimo wszystko, wodzowi nie przystoi okazywać emocji w obecności wojowników. To podrywa jego autorytet. Nie zdradził się ze swymi podejrzeniami.

– Zaczynamy naradę – oznajmił.

– Ludzie pozabagienni mogą uciec – zauważył jeden z wojowników.

– Nie uciekną. Podążyli ku wiosce Jatte – odparł Fosull. – Lecz nawet czerwony demon nie pokona wszystkich olbrzymów, daję za to głowę. A kiedy obcy będą stamtąd pierzchać, zagrodimy im drogę.

– Ale jak zwyciężymy magiczną bestię?

– Znajdziemy sposób – mruknął wódz. – Zawsze istnieje jakies rozwiązanie.

## VI

Grupka Dake'a przycupnęła w gęstych zaroślach nie opodal ścieżki. Ktokolwiek przemierzałby szlak, nie dostrzegłby nikogo

wśród bujnej roślinności o dziwacznych kształtach. Nikt też z pewnością nie zapuściłby się bez potrzeby w gąszcz krzaków. Odzienie maga bardzo ucierpiało wskutek przedzierania się przez cierniste krzewy rosnące dziesięć kroków dalej, toteż Dake wątpił, by ktoś zaryzykował wyprawę w kolczastą gęstwinę.

Brakowało tylko Penza. Wilkołak po chwili dołączył do reszty ze zwinnością pasującą do jego wyglądu. Przykucnął obok Dake'a.

– No i...? – zapytał mag.

– Wioska leży o dziesięć minut drogi stąd.

Zatem plotka okazała się prawdą!

– Widziałeś jakiegoś samotnego olbrzyma?

– Nie. Pracują w grupach.

Dake zamyślił się. Miał prosty plan pochycenia wielkoluda. Gdyby natrafili na pojedynczy okaz, towarzysze maga odwróciliby jego uwagę, żeby Dake mógł podkraść się do niego i rzucić obywatelną zaklęcie. Wielkość ofiary nie miała wpływu na moc czaru, ale odległość tak. Dopóki nie zbliży się do olbrzyma, nic z tego. Najlepiej byłoby wypatrzeć drwala ścinającego drzewo na uboczu, samotnego myśliwego lub zbieracza. Ich nieobecności nikt by przedko nie zauważył. Zanim ktoś zacząłby szukać pojmanego współplemieńca, grupka Dake'a byłaby daleko. Mag nie miał ochoty na walkę z hordą gigantów. Czerwony demon z pewnością nie napędziłby im takiego stracha jak karłom.

Władca dziwołagów rzucił okiem na swą ostatnią zdobycz. Małe, paskudne stworzenie. Zęby spiłowane w szpic, zielona skóra nakrapiana jak u żaby... Ale w przeciwieństwie do innych karłów, ten był proporcjonalnie zbudowany. Nie miał za dużej głowy, ani zbyt małych rąk czy stóp. Przypominał po prostu niskiego, zielonego człowieczka. Mimo to, Dake cieszył się ze zdobyczy. Nawet gdyby nie złapał wielkoluda, wyprawa opłaciła się. Żabowaty wart był zachodu.

– Jak duże są te olbrzymy? – zapytał Penza.

Wilkołak rozpostarł ramiona.

– Mężczyźni prawie dwa razy tacy jak my. Kobiety trochę niższe.

Po dwakroć przewyższają zwykłych ludzi! Wspaniale!

– Bardzo dobrze. Musimy podejść bliżej i zaczekać na okazję.

Dake rozmarzył się. Ależ sensacja! Moźni patroni będą się bili o niego. Każdy zapragnie roztoczyć opiekę nad jego menażerią i sfi-

nansować hodowlę dziwów natury. Zyska sławę, pozycję i szacunek. Stanie się bogaty!

Conan ocknął się i usiadł. Wokół panowała cisza, ale wyczuł czyjąś obecność. Odwrócił się. Zobaczył dwoje dzieci.

Rozpoznał młodsze rodzeństwo Teyle. Przedstawiła mu bliźniaki jako Orena i Morję, o ile te imiona były prawdziwe. Ale po co miałyby kłamać?

– Na co się gapicie? – zapytał. – Nigdy nie widzieliście zwykłego człowieka?

– To my jesteśmy zwykli – odrzekł Oren. – Ty należysz do rasy małych ludzi.

– Widzieliśmy tylko kilku takich jak ty – dodała Morja. – Zwyczaj szybko umierali po eksperymentach naszego ojca.

Conan uznał to za niezbyt krzepiącą wiadomość.

– Ty też długo nie wytrzymasz – zapewnił Oren.

Rozległ się odgłos kroków.

– To ojciec!

Bliźniaki rozejrzały się w panice.

– Musimy się ukryć! – ponagliła Morja.

Pod przeciwległą ścianą, z dala od drzwi wały się wielkie kosze. Dzieci pobiegły w tamtą stronę i schowały się wśród wiklinowych pojemników.

Do izby wszedł Raseri i zbliżył się do klatki. Popatrzył na boki, jakby czegoś albo kogoś szukał.

– Nie było tu moich młodszych dzieci? – zapytał. – Chłopca i dziewczynki, którzy liczą sobie trzynaście wiosen? Nie widziałeś bliźniaków?

Conan był wojownikiem i kłamanie nie leżało w jego naturze. Nigdy nie uciekał się do oszustwa. Lecz nie widział nic sprzecznego z honorem w zatajeniu prawdy przed człowiekiem, który zamierzał go torturować i pozbawić życia. Każdy sposób wyprowadzenia wroga w pole wydawał się dobry.

– Nie.

Raseri mruknął pod nosem i wyszedł.

Oren i Morja ostrożnie wyrzeli z kryjówek. Potem podeszli do więźnia.

– Ojciec nie pozwala nam tu wchodzić, kiedy prowadzi badania nad małymi ludźmi lub Vargami – wyjaśniła dziewczynka. – Gdyby

nas przyłapał, spuściłby nam lanie i zabronił bawić się w chatkach dla dzieci przez cały cykl księżycowy. Dlaczego nas nie wydałeś?

– A po co? Wasz ojciec to mój wróg. Nie zamierzam mu pomagać.

– Chodźmy – powiedział Oren. – Lepiej, żeby nas tu nie znalazł, kiedy wróci.

Chłopiec ruszył ku drzwiom.

– Skoro uważasz naszego ojca za wroga, to nas też powinieneś traktować jak nieprzyjaciół – stwierdziła Morja. – Mogłeś sprawić, że zostaniemy ukarani.

– Nie zależy mi na tym. Nie walczę z dziećmi.

– Nie jesteśmy mniejsi ani słabsi od ciebie – wtrącił Oren. – Założę się, że rzucę włócznią tak daleko jak każdy mały człowiek!

– Mimo to, nie wojuję przeciw dzieciom.

Dziewczynka poszła za bratem, ale nagle odwróciła się i szepnęła, żeby chłopiec jej nie usłyszał – Dziękujemy ci, mały człowieku.

– Zwą mnie Conanem.

– Więc dziękujemy ci, Conanie.

Po wyjściu bliźniaków Cymmerianin zabrał się do pracy. Kość, którą wcześniej z niemałym wysiłkiem trochę obluzował, ruszała się coraz bardziej. Nie wiedział, ile czasu mu zostało, ale musiał próbować odzyskać wolność. Lepiej coś robić, niż beczynn timer czekać na śmierć.

Na przemian pociągał i popychał kościany pręt klatki, odpoczywał i wracał do swego zajęcia. Nikt mu nie przeszkadzał. Najwidoczniej Raseri nie zamierzał go karmić ani poić. Bez wątplenia chciał sprawdzić, jak długo więzień wytrzyma bez pożywienia i wody. Conan wiedział, że jeśli prędko nie ucieknie, straci siły z głodu i pragnienia. Cokolwiek go czekało, nie miał ochoty umierać z wycieńczenia. Człowiek może doprowadzić do własnego końca na wiele różnych sposobów, zwłaszcza zamknięty w klatce. Albo żyć tak długo, jak długo sięga zębami do swego ciała.

Wierzył jednak, że do tego nie dojdzie. Jeśli oprawcy z kijami znów zostaną sprowadzeni, wtedy stawi im czoła i zginie w walce śmiercią wojownika.

Noc rozbrzmiewała przeróżnymi dźwiękami: popiskiwaniem nietoperzy, skrzekiem żab, wraskiem kotów polujących w oddali. W ciemności bzyczały owady. Tysiące drobnych stworzeń pokrytych



łuską rozchłapywało stojącą, bagienną wodę wokół szóstki przyczajonej w zaroślach na obrzeżach wioski Jatte.

Dake klepnął się w szyję i zabił komara dobierającego mu się do skóry. Niech szlag trafi te mokradła! Jeszcze nigdy nie widział tyle fruującego i pełzającego świństwa. Jeśli prędko nie złapią olbrzyma, chmary owadów wypiją z nich całą krew!

Ale wciąż nie nadarzała się sposobność pochwycenia wielkoluda. Nikt nie opuszczał wioski; przynajmniej mag i jego towarzysze nie dostrzegli żadnego samotnego olbrzyma.

Dake rozważał różne możliwości. Poruszanie się nocą w tej okolicy było ryzykowne. Wprawdzie nikt by ich nie zobaczył, ale z drugiej strony groziła im niebezpieczna kąpiel w bagnie. Może ranek okaże się szczęśliwszy? Jakiś gigant wyjdzie wreszcie z wioski i... A jeśli nie?

Kolejny latający mieszkaniec moczarów spróbował pożywić się krwią maga. Tym razem przysiadł na gołej ręce. Dake trzasnął go otwartą dłonią.

Chmary dokuczliwych komarów w końcu pomogły czarodziejowi podjąć decyzję. Wioska nie była pilnowana przez strażę; widocznie mieszkańcy czuli się bezpiecznie w swych domostwach. Dziwolągi zakradną się więc do którejs z chat i uprowadzą śpiącego olbrzyma! Dzięki zwierzęcemu instynktowi Penza i Tro nie powinni zgubić ścieżki. Gdy wstanie świt, zdołają już uciec daleko.

Mag gestem przywołał trupe, by wyłożyć swój plan.

Conan znów szarpnął kość i usłyszał w ciemności cichy trzask. Pręt przesunął się. Wprawdzie tylko o włos, ale na razie to wystarczyło Cymmerianinowi do szczęścia. Conan uśmiechnął się szeroko. Nie mógł dostrzec spojenia pokrytego zielonkawym klejem, więc po omacku odnalazł je palcami. Dotyk powiedział mu wszystko – skorupa była twarda niczym skała, lecz łamliwa; popękała od wielokrotnego naginania kości. Wyraźnie wyczuwał drobne rysy.

Podwoił wysiłki. Usłyszał następne trzaski. Poczul, że na ręce sypią mu się odpryski stwardniałego kleju. Kościany pręt siedział coraz luźniej. Conan przesunął dłoń bliżej złącza; skrzypiało przy każdym ruchu. Kość poddawała się!

Wreszcie puściła – trzymał jeden koniec w rękach.

Conan roześmiał się głośno i bez namysłu wygiął pręt do góry. Drugi koniec wciąż tkwił w spojeniu. Klej rozprysnął się niczym kamyk roztrzaskany kowalskim młotem.

Cymmerianin uniósł oswobodzoną kość i przekonał się, że ten element konstrukcji sporo waży. Był długi jak jego ramię i grubszy od nadgarstka. Wspaniała maczuga! Conan z uśmiechem zamachnął się nią w ciemności. Zdobył nie tylko broń, lecz doskonale narzędzie. Mógł obluźować inne złącza, może nawet odłupać klej. Na razie otwór w kracie klatki nie umożliwiał ucieczki, lecz gdyby jeszcze przez kilka godzin nikt nie przyszedł, więzień powiększyłby dziurę i wydostał się. Drugi raz Jatte nie schwytaliby go tak łatwo. Miał krzesiwo, a kosze leżące pod ścianą świetnie nadawały się na podpałkę. Jeśli wznieciłby pożar i ogień ogarnąłby kilka domów, mieszkańcy wioski zapomnieliby o jeńcu – mieliby co innego na głowie. Zasługiwali na to, by spłonął ich cały dobytek.

Conan uniósł maczugę i walnął w kratę. Posypał się zeschnięty klej.

Vargowie smacznie spali pod osłoną nocy, odgradzeni od świata nieprzebytym, kolczastym gąszczem. Czuwał tylko oddział straży i Fosull. Wódz siedział z włócznią na kolanach tuż za linią krzaków i dumiał. Zapowiedział wojownikom, że kiedy nadejdzie czas, ujawni im swój plan pokonania wielkiego, czerwonego demona.

W istocie nie miał żadnego pomysłu, jak tego dokonać. Owszem, coś przyszło mu do głowy. Stało się to wtedy, gdy wśród ludzi pozabagiennych pojawiła się magiczna bestia. Fosull przyglądał się smagłemu, krępemu osobnikowi z czarnymi włosami i dziwnym zarostem na twarzy. Bez wątpienia był przywódcą i to on przywołał potwora. Gdyby przeszło go kilka włóczy, zanim zdążyłby zażewzać demona, być może jego towarzysze pozostałoby bezradni. A jeśli nawet demon by przybył, to po śmierci swego władcy mógłby się zwrócić przeciwko reszcie towarzystwa.

Po namyśle Fosull uznał, że własna strategia niezbyt trafia mu do przekonania. Jednak, o ile atak na czerwonego demona wydawał się całkiem głupi, o tyle ta taktyka miała w jego mniemaniu przynajmniej nieco więcej sensu. Gdyby nie to, że obcy porwali Vilkena, pozwoliłoby im odejść. Po co ryzykować i narażać się na nieznane niebezpieczeństwa? Ale wódz, który nie spróbowałby uwolnić potomka, niedługo stałby na czele plemienia. Vargowie szanowali siłę, nie tolerowali słabości. Wojownicy już niemal zdołali sobie wmówić, że demon wcale ich nie przeraził, a jedynie zaskoczył. Przyznawali się do strachu oznaczałoby upadek Fosulla.

Jak odzyskać Vilkena? To w końcu najstarszy syn. Wprawdzie wódz miał jeszcze pół tuzina męskiego potomstwa i prawie tyle samo córek, lecz żaden Varg nie pogodziłby się z uprowadzeniem pierwotnego. Ani przez inny szczep Vargów, ani przez Jatte, ani nawet przez potwora z piekła rodem. Trzeba coś zrobić!

Fosull westchnął i począł obracać w palcach włócznię. O świecie wyruszą w kierunku wioski olbrzymów, żeby zobaczyć, jak sprawy stoją. A jeśli jego pomysł okaże się bezużyteczny, trudno – każdy kiedyś umiera. O wszystkim zadecydują bogowie.

Może powinien poprosić ich o przychyłność? Nawet, jeśli pozostaną głusi na jego prośby o pomoc w nadchodzącej bitwie, jak to często bywało, nie zaszkodzi spróbować. A nuż tym razem go wysłuchają? Byłby głupcem, gdyby nie wypowiedział kilku słów skierowanych pod właściwym adresem.

Wódz wstał i poszedł poszukać świętego kamienia.

## VII

Dake, władca dziwołagów, ostrożnie wprowadził swą grupkę do wioski olbrzymów. Nowy nabytek, zielony człowieczek, niechętnie wyjawiał swoje imię; posługiwał się niezbyt wyraźną, lecz zrozumiałą odmianą miejscowego dialektu. Zwał się Vilken. Szedł niby z ociąganiem, ale mag od razu zauważył, że bliskość wielkoludów podnieca Varga. Zapytał karła, dlaczego.

– Zjadamy ich, gdy wpadną w nasze ręce – brzmiała prosta odpowiedź.

Dake uniósł brwi, lecz nie odezwał się. Co za strata, pomyślał. Z drugiej strony, gdyby do świata zewnętrznego przedostało się więcej olbrzymów, upolowany okaz byłby niewiele wart. Jedyne egzemplarz to co innego.

– Tamten dom – wskazał mag.

– Dlaczego akurat tamten? – spytał Kreg.

Co za dureń! Przecież to bez różnicy. Dake nie raczył mu odpowiedzieć.

Podeszli do budowli. Wilkołak i kocica zostali na czatach, Dake i Kreg podkradli się do drzwi. Czteroręki Sab i zielony Vilken podążyli za mężczyznami. Mag dojrzał ich dwa cienie tańczące na ścianie wielkiego domu.

Zaraz... Tańczące cienie? Coś tu jest nie tak!  
Zrozumiał, gdy noc rozświetlił pomarańczowy blask; jednocześnie usłyszał trzaski i poczuł dym.  
Odwrócił się w pół kroku.  
Budynek za nimi stał w ogniu. Z dachu buchnęły płomienie i wokół zrobiło się jasno jak w dzień.  
Uśpiona wioska nagle ożyła. Zewsząd rozległy się krzyki.

Ucieczka z klatki była jednym z najbardziej satysfakcjonujących doświadczeń Conana. W życiu zdarzają się niepowodzenia, ale najgorsze jest zaniechanie prób wydostania się z pozornie tylko beznadziejnej sytuacji. W każdej bitwie są zwycięzcy i pokonani, taka już kolej rzeczy. Przegrana w uczciwej walce nie hańbi; nie godzi się jedynie poddawać, dopóki szansa na wygraną wciąż istnieje.

Gdy trzeci pręt kościanej kraty ustąpił pod ciosami prowizorycznego młota, Conan roześmiał się na całe gardło. Nie na darmo pochodził z kowalskiego rodu, nauka w kuźni ojca nie poszła w las. Rodzic z pewnością by go pochwalił. Droga do wolności stała otworem. Cymmerianin natychmiast wyśliznął się z klatki i podbiegł do ściany, gdzie stał miecz. Kiedy przypasał pochwę, od razu poczuł się lepiej.

Podszedł do sterty koszy, wśród których wcześniej schowały się dzieci. Przekucnął i wy dobył krzesiwo. Sucha wiklina zatliła się od snopu iskier. Conan rozdmuchał żar. Pojawiły się pierwsze języki ognia. Wkrótce całą izbę wypełnił blask, dym i gorąco.

Conan z zadowoleniem przyglądał się płonącym koszom. Pożar zaczął powoli trawić drewnianą ścianę i sięgnął strzechy. Oswobodzony jeniec dobył miecza i pobiegł ku drzwiom. Już nikt nie będzie więźniem tego budynku i stojącej w nim klatki.

Uśmiechając się z satysfakcją, młody Cymmerianin wypadł na zewnątrz w chłodne, bezpieczne objęcia nocy.

Mimo że Fosull ciągle siedział poza linią ciernistych krzewów chraniających śpiących wojowników, zapadł w lekką, niespokojną drzemkę. Ocknął się, gdy usłyszał krzyk wartownika.

– Co się dzieje? – zapytał, przecierając oczy.

– Pożar, wodzu! Tam, chyba w wiosce Jatte!

Fosull zerwał się na równe nogi. W oddali niebo przybrało pomarańczową barwę. W rzeczy samej, coś się pali!

– Wszyscy wstawać! – wrzasnął. – Do mnie!

Poczuł dreszcz podniecenia. Kłopoty Jatte mogły przynieść Vargom same korzyści. Może nawet plemię będzie miało gotową pieczeń z olbrzyma lub dwóch!

– Szybciej, durnie! Bogowie pokarali naszych wrogów i uśmiechnęli się do nas!

Diabli wzięli mój plan, pomyślał Dake, pospiesznie kierując swą grupkę za mały budynek stojący obok domu, do którego zamierzali wejść.

Niewielka budowla okazała się dość duża, by pomieścić całą szóstkę, więc schronili się w środku. Mag początkowo sądził, że to szopa na narzędzia, ale smród świadczył, że czarnoksiężnik się omylił.

– Fu! – Kreg zatkał nos. – Chyba trafiliśmy do wychodka olbrzymów!

– Zamilcz, głupcze! – ofuknął go szeptem Dake. – Ktoś może cię usłyszeć! Wychodki same nie mówią!

Mag ostrożnie uchylił drzwi i popatrzył na płonący dom. Wiśniacy zgromadzeni wokół pożaru próbowali ugasić ogień wodą z wiader.

Dake otrząsnął się z paniki, która ogarnęła go w pierwszej chwili. To zdarzenie mogło okazać się korzystne. Pewnie cała wioska zajęła się walką z płomieniami. Czy to nie najlepszy moment, by pochwycić jednego wielkoluda? Zamieszanie bez wątplenia potrwa wiele godzin.

– Wychodzimy – rozkazał.

– Ale... ale pali się! – zaprotestował Kreg.

– Pożar odwróci ich uwagę, durniu! Złapiemy olbrzyma i w nogi. Szybko!

Sześć postaci poczęło przemykać wokół wioski, kryjąc się za domami i trzymając z dala od blasku.

Większość ludzi gasiła ogień. Dwa wielkie, żywe łańcuchy ciągnęły się od studni do pożaru i z powrotem. Wiadra wody wędrowały z rąk do rąk po czym wracały puste. W pobliżu stały grupki po krzykujących gapiów. Nikt nie był sam.

Niech ich bogowie przeklną! Dake potrzebował jednego!

– Znajdź mi kogoś! – polecił Kregowi.

Blondyn rozejrzał się.

– Tam ktoś stoi jakiś gigantyczny osobnik – oznajmił po chwili. – Jest sam... ale to tylko kobieta.

Mag spojrział we wskazanym kierunku. Kobieta? Co z tego? Olbrzymka jest równie dobra jak olbrzym, czyż nie? Może nawet lepsza! Gdyby skojarzyć mężczyznę-wielkoluda ze zwykłą kobietą, nie wiadomo, jaki byłby efekt. Ale odwrotnie powinno być łatwiej.

– Bardzo dobrze. Okrążysz ją z lewej. Kiedy spojrzy w moją stronę, odwrócisz jej uwagę.

Kreg zrobił, co mu kazano. Dake ruszył ku swej zdobyczy.

Kobietę zbyt pochłaniał widok płonącego domu, więc dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że ktoś się do niej podkrada. Zanim zobaczyła maga, zdążył wypowiedzieć słowa zaklęcia. Zamarła, niemno wpatrując się w niego. Nie mogła wydobyć z siebie nawet szepetu, by wszcząć alarm.

Dake omal nie roześmiał się głośno. Udało się! Pojmał olbrzymkę!

Czas uciekać. Dał swoim znak do odwrotu.

Gdy cała siódemka wybiegała z wioski, z mroku naprzeciw wyłoniła się para ludzi normalnej wielkości. Po chwili mag uświadomił sobie, że to dwójka dzieci-wielkoludów!

Pomyślał, że któremuś z bogów musi zależeć na powodzeniu tej wyprawy. Któż nie wykorzystałby takiej okazji? Szybko wymamrotał zaklęcie. Nieświadome niczego dzieci próbowały stawiać opór magii, ale bezskutecznie. Czar Dake'a omotał je niewidzialną siecią. Cóż za szczęście – schwytał nie jednego, a trójkę olbrzymów! Prawda, że upłynie trochę czasu, zanim tych dwoje dorośnie, ale można zaczekać. A mając mężczyznę i dwie kobiety, z pewnością uda się rozmnożyć rasę gigantów.

Mag odwrócił się do kocicy.

– Wyprowadź nas stąd, Tro. Byle prędko.

Dziewięć postaci zniknęło wśród bagien.

Conan miał wielką ochotę skorzystać z zamieszania wywołanego pożarem i wypróbować ostrze miecza na jednym lub dwóch olbrzymach. Wolał jednak nie ryzykować. Tylko głupiec mógłby w pojedynkę rzucić wyzwanie całej wiosce wielkoludów. W surowym kraju, jakim była Cymmeria, niewielu durniów dożywało pełnoletności, a Conan nie należał do tych bezmyślnych zuchów, którym się wydaje, że okpią śmierć. Uciekł z niewoli i zniszczył swoje więzie-

nie wraz z drogocenną pisaniną wodza olbrzymów na temat „filozofii naturalnej”. Gdyby w panującym zamięcie mógł odnaleźć Rase-riego, z przyjemnością posiekałby go na drobne kawałki. Ale czy warto narażać życie? Gigantyczne postacie biegały tam i z powrotem, krzyczały, nosiły wodę i próbowały ugasić ogień. Na ścianach domów płaśły cienie, wokół unosił się dym i zapach zwęglonego drewna, syczała para.

O tak, bardzo chętnie usiekłby wodza Jatte, ale to nie najlepsza chwila. Ponadto, szaman bez wątpienia dysponuje większą ilością tego zdradliwego, usypiającego proszku. A kto wie, czy inni też nie mają magicznego pyłu?

Nie, pomyślał Conan, wymykając się na bagna. Lepiej uważać się za szczęściarza, któremu się udało, a w przyszłości być bardziej ostrożnym. Dostał nauczkę, że nie należy zbyt ufać obcym, czy to zwykli ludzie, czy olbrzymy. Crom może wybaczyć człowiekowi jedną omyłkę; powtarzanie tych samych błędów z pewnością ściągnie gniew boga. Cymmerianin niezbyt drogo zapłacił za tę lekcję, zważywszy, ile mogła go kosztować.

Conan w skupieniu przypominał sobie niebezpieczną drogę przez mokradła. Przebycie jej nocą było nie lada wyczynem. Zaraz... przy tamtej rozłożystej paproci ścieżka powinna skręcać w tę stronę...

Łuna pożaru wciąż jeszcze oświetlała szlak. I nie tylko. W pomarańczowym blasku Cymmerianin zobaczył nagle tuzin małych ludzi o połowę niższych od niego. Wymachiwali włóczniami i szczyrzyli ostre zęby; białe kły połyskiwały groźnie na tle ciemnych twarzy.

Na Croma! A to co?!

Odgłosy gorączkowej krzątanimy w wiosce olbrzymów coraz słabiej dochodziły do uszu Dake’a. Grupka prowadzona przez kocięcę oddalała się w głąb bagien. Mag nie posiadał się z radości. Nawet komary wydawały mu się mniej dokuczliwe. Może poleciały do ognia i spłonęły? Zanim ktoś podejmie pościg, on i jego trupa będą w połowie drogi do wozu. Za kilka dni wjadą do Shadizaru, gdzie czeka sława i majątek. Ech, życie jest piękne!

Conan wycofałby się, gdyby miał dokąd. Ale za nim leżała wioska, a nie zamierzał tam wracać. Po bokach rozciągały się zdradliwe grzęzawiska, gdzie z pewnością by utonął. Przed nim zaś stały karły

z włócznieami. Żadna perspektywa nie była pociągająca, więc mógł zrobić tylko jedno.

Dobyl miecza. Przeciwnicy zdawali się równie zaskoczeni spotkaniem jak Conan. Jedyne szansa w tym, że zdąży się przebić, zanim przyjdę do siebie. Rzucił się na nich z bojowym okrzykiem.

Szyki wroga natychmiast stopniały; połowa karłów pierzchła ze ścieżki. Inni nie wpadli w panikę. Najodważniejszy albo najgłupszy, a może jedno i drugie, stawiał czoło Conanowi i dźgnął włócznią, celując w pachwinę.

Cymmerianin zrobił unik, miecz zatoczył łuk i ostrze gładko przecięło drzewce. Siła ciosu odrzuciła karła na bok.

Drugi śmiałek spisał się lepiej. Obsydianowy szpic krótkiej dzidy rozorał Cymmerianin skórę nad lewym biodrem. Cymmerianin ciął w dół i klinga przeszła przez szyję karła. Odrąbana głowa odpadła od tułowia. Z otwartych ust napastnika nie zdążył nawet wyrwać się okrzyk grozy.

Conan bez namysłu skoczył naprzód. Nadepnął stopą obutą w sandał na trzeciego, przykucniętego karła i wybił się wysoko do góry jak z trampoliny. Oślupiały przeciwnik zamarł, śledząc jego lot nad następnym oniemiałym Vargiem.

Cymmerianin wylądował na ścieżce za zdumioną bandą i puścił się pędem przed siebie. Dopóki dobrze pamiętał drogę, nie powinien zboczyć ze szlaku. Zdołał oddalić się na sporą odległość, gdy nagle potknął się i upadł. W tej samej chwili w powietrzu zafurkotała krótka włócznia i wbiła się w drzewo dwa kroki od niego.

Conan wstał i pobiegł dalej. Rzucona dzida świadczyła, że jest ścigany, choć nie słyszał za sobą pogoni.

Najpierw olbrzymy, potem karły... Pomyślał, że świat jest pełen tajemnic.

## 8

Tro widziała w ciemności jak każdy kot, toteż bezbłędnie prowadziła grupkę Dake'a ścieżką przez bagna. Przed zrobieniem fałszywego kroku chronił uciekinierów również zwierzęcy wzrok i instynkt Penza, który nocą wyczuwał niebezpieczeństwo na odległość. Nie biegli, lecz posuwali się naprzód szybkim marszem. Żaden zwykły człowiek, nawet o bystrych oczach, nie potrafiłby



ić w takim tempie bez narażania się na ryzyko utonięcia w grzęzawisku.

Ale czy potrafili to Jatte i Vargowie, mag nie wiedział.

Dake był zmęczony, lecz strach przed olbrzymami i karłami dodawał mu sił. A skoro on nie odpoczywał, jego niewolnicy musieli za nim podążać. Nie mieli wyboru.

Tylko Krega nie kępowała moc zaklęcia, które zniewalało pozostałych.

– Czy nie moglibyśmy stanąć i odsapnąć? – spytał. – Chyba nikt nas nie ściga? Nie nadążyłby.

Mag pokręcił głową.

– Nie wiadomo.

– Więc zapytajmy naszych jeńców.

Dake zwolnił. Dlaczego sam na to nie wpadł. Kreg zaskakiwał go czasami tak prostymi, ale mądrymi pomysłami, że dziwił się, czemu nie powstały w jego głowie. Mag nigdy nie chwalił asystenta, nie miał tego zwyczaju. Prawienie komplementów uważał za bezcelowe, chyba że mogło przynieść jakąś korzyść. Bez słowa zbliżył się do olbrzymki.

– Jak ci na imię? – zagadnął w tym samym języku, w którym porozumiewał się z karłem.

Kobieta próbowała wyzwolić się z więzów czaru. Napięła mięśnie ramion, oblicze stężało jej z wysiłku, szarpała głową z boku na bok. Oczywiście nadaremnie. Po chwili wyrzuciła z siebie – Zważ mnie Teyle!

– Czy twoi współplemieńcy mogli ruszyć za nami w ciemności? Znów miotła się przez moment.

– Tak, ale... – Za późno ugryzła się w język.

Dake uśmiechnął się szeroko. Miał doświadczenie w takich sprawach.

– Potrafią dotrzymać nam kroku?

– Nie.

– Jak szybko zdołają iść?

– Dużo wolniej niż wy.

Mag uśmiechnął się jeszcze szerzej. Bardzo wątpił, by przed ugaszeniem pożaru lub całkowitym spłonieniem budynku ktokolwiek zauważył zniknięcie trójki olbrzymów. A jeśli nawet, pościg nie wydawał mu się groźny.

Zwrócił się do karła z tymi samymi pytaniami. Zielony mikrus wyraźnie pogodził się ze swym losem i już się nie ciskał. Od razu

wyznał, iż Vargowie nie byliby w stanie dogonić zbiegów w nocy. Ponadto, obawialiby się czerwonego demona.

Zatem przerwa w marszu nie stwarzała ryzyka.

– Stójcie – rozkazał Dake. – Odpoczniemy chwilę.

Grupka zatrzymała się.

Mag spojrział na Teyle.

– Zdejmij odzienie.

Długo zmagala się ze zniewalającą ją mocą, wreszcie dała za wygraną i ściągnęła prosta, ręcznie tkaną koszulę.

Nawet w nikłym blasku gwiazd i księżyca ledwo przesączającym się przez gęste korony drzew można było dostrzec wielce pojętne, niewieście kształty. Tyle, że dużo większe niż zwykłych kobiet. Dake musiał przyznać, iż w przeciwieństwie do niektórych zdeformowanych olbrzymów zrodzonych z normalnych rodziców, Teyle jest całkiem zgrabna. Miała smukłą figurę, jędrne piersi wielkości melonów, szerokie biodra i typowo kobiece, choć muskularne nogi i ramiona.

– Odwróć się.

Zrobiła, co kazał.

Tak, stwierdził mag, równie atrakcyjna z tyłu jak z przodu. Nie ma żadnej skazy. Wyda na świat wspaniałe potomstwo. Ciało wprost stworzone do rodzenia dzieci.

Jakie one będą, to już inna sprawa.

– Odziej się.

Teyle posłusznie włożyła koszulę, lecz ten rozkaz wykonała dużo szybciej.

Dake nie potrafiłby powiedzieć, czy się zarumieniła. Dostrzegł jednak, że chłopiec-olbrzym wlepia wzrok w ubierającą się kobietę. Czarodziej nie widział dokładnie wyrazu jego twarzy. Zainteresowanie? Może jest już na tyle dorosły, by zapłodnić niewiastę?

– Ruszamy – powiedział. – O świcie musimy być daleko stąd.

Grupka znów podążyła bagiennym szlakiem.

Dake zachichotał pod nosem. Zapewne już umknęli pogoni, a zanim wstanie dzień, oddalą się jeszcze bardziej. Gdy dotrą do wozu, małe zaklęcie sprawi, że pojadą szybciej niż porusza się piechur, nawet olbrzym. A kiedy znajdą się w cywilizowanym świecie, ani wielkoludy, ani karły już im nie zagrażą. Jatte i Vargowie nie odważą się ścigać uciekinierów tam, gdzie żyją normalni ludzie. Nie zaryzykują, bo wnet zostaliby schwytyani i uwięzieni lub zabici.

Mag roześmiał się cicho; był z siebie zadowolony. Sława to tylko kwestia czasu. Widział swą przyszłość w różnych kolorach.

Conan wolno kroczył krętą ścieżką, bacznie wypatrując miejsc, które zapamiętał. W mroku niewyraźnie majaczyły drzewa i gęste zarośla. Nocą na bagnach było chłodniej niż za dnia, lecz równie wilgotno. W powietrzu krążyły roje brzęczących owadów. Choć Cymmerianin widział w ciemności lepiej niż większość znanych mu ludzi, szedł bardzo ostrożnie. Kształty, łatwo dostrzegalne w świetle dziennym, teraz kryły się za zasłoną nocy. Kilka razy źle postawił stopę i tylko szybki refleks uratował go przed zapadnięciem się w grzęzawisku. Brak czujności mógł mieć fatalne skutki.

Podczas marszu przez moczary nie wykrył bliskiej obecności olbrzymów ani małych, zielonych ludzi. Z wyjątkiem włóchni rzucanej za nim tuż po spotkaniu z Vargami, nic nie wskazywało na pościg.

Zastanawiał się, czy nie przystanąć, by sporządzić pochodnię, ale porzucił ten zamiar. Wprawdzie oświetlając sobie drogę szedłby szybciej, lecz blask mógłby go zdradzić. Więcej szkody niż pożytku, pomyślał. Człowiek siedzący nocą przy ognisku nie widzi, co kryje się za kręgiem światła, bo oślepiają go płomienie. W ciemności czuł się bezpieczniej. Przyspieszy, gdy się rozwidni.

Był głodny i spragniony. Zaryzykował krótki postój przy strumyku szemrzącym cicho w pobliżu jednego z zakrętów ścieżki. Woda miała zaskakująco słodki smak. Odświeżony, ruszył dalej. Kiszki grały mu marsza coraz głośniejsze, ale próbował nie zwracać na to uwagi. Wiedział, że może wytrzymać bez jedzenia nawet kilka dni. Lepiej iść naprzód z pustym żołądkiem niż dać się złapać i zginąć.

Z każdym krokiem oddalał się od wioski Jatte, ale od czasu do czasu między drzewami dostrzegał jeszcze łunę na niebie i uśmiechał się. Może palą się wszystkie domy olbrzymów? Z pewnością ich mieszkańcy zasłużyli sobie na taką karę.

Gdy stało się jasne, że płonącego budynku nie da się uratować, Raseri rozkazał swym ludziom, by odstąpili od gaszenia pożaru. Wyglądało na to, że stracił więźnia i niezwykle cenne zapiski, ale trudno; nie mógł już temu zaradzić.

Wódz i szaman Jatte dał mieszkańcom wioski nowe zadanie – zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia na najbliższe stojące domy. Wiadra z wodą poczęły wędrować w inną stronę. Polewano ściany i dachy, by nie zapaliły się od przypadkowej iskry. W okamgnieniu pobliskie budowle przemokły, niczym po rześkiej ulewie. Wokół unosiły się kłęby pary buchające z rozgrzanego drewna. Gorące ściany szybko wysychały, więc studzono je nieprzerwanie.

Minęły godziny, nim ogień zaczął dogasać. Strawił wszystko, co ogarnął, ale dalej nie pozwolono mu sięgnąć. Nie podsycany, począł słabnąć jak wyczerpany starzec. Tu i ówdzie strzelały jeszcze iskry z dopalających się belek, gdzieś pojawił się płomień liżący zwęglone krokwie, lecz pożar nie zajaśniał nowym blaskiem. Strumienie wody dobiły w końcu ognistą bestię zdychającą wśród pogorzelska.

Raseri patrzył na tłące się ruiny. Jakimś cudem klatka z kości ocalała. Stała pośród szczątków budowli. Poczerniała i przechyliła się, lecz nie uległa zniszczeniu.

Kiedy żar bijący od zgliszczy nieco zelżał, wódz podszedł bliżej, szukając spalonych zwłok. Szkoda. Uwięziony wojownik wykazywał się dużą odpornością. Mógłby wiele wytrzymać. Więcej niż którykolwiek z pojmanych dotąd...

Na Wielkie Słońce!

Raseri począł biegać wkoło, nie zważając na to, że parzy sobie stopy dymiącymi podeszwami sandałów.

Ani śladu ciała! Więzień zniknął!

Olbrzym przystanął i oniemiały wpatrywał się w pustą klatkę. Wtem jeden z jego sandałów zapalił się. Wódz zaklął i podskoczył, po czym pospiesznie opuścił pogorzelsko.

Zadeptał ogień na obuwiu, schylił się i zerwał z nóg gorące sandały. Nie przestawał kłać w żywy kamień.

Jeniec uciekł! Teraz przyczyna pożaru stała się oczywista. Niech Stwórca przeklnie go do końca świata!

Szaman odwrócił się. Jatte przyglądali mu się ze zdumieniem. Pokręcił głową. Co się stało, to się nie odstanie – budynek nie wzniesie się z popiołów. W jaki sposób małemu człowiekowi udało się oswożyć bodźców, wiedział tylko on sam. Raseri wątpił, by miał jeszcze okazję zapytać go o to – zbieg z pewnością utopił się w bagnie. Ale lepiej sprawdzić. Jeśli jakimś cudem Conan odnalazł drogę przez mokradła, nie można mu pozwolić dotrzeć do pobratymców. Niektórzy zapewne domyślają się, gdzie leży wioska olbrzymów, lecz dotąd

nie przeżył nikt, kto widział ją na własne oczy. Dopóki obcy nie wiedzą, jak tu trafić, nie są groźni.

Noc dobiegała końca; błądy świt zwiastował rychłe nadejście dnia. Gdy tylko się rozwidni, wyruszą na poszukiwania uciekiniera. Muszą go schwytać!

Raseri zwrócił się do młodego mężczyzny: – Przygotuj diabłopsy! Młodzieniec był zaskoczony.

– Wiezień wydostał się z pożaru i umknął – wyjaśnił wódz. – Trzeba go wytropić i złapać.

Szaman rozejrzał się za córką; najlepiej ze wszystkich radziła sobie z piekielnymi bestiami gończymi. Przywiązały się do swej opiekunki. – Teyle! – zawołał głośno.

Nie odpowiedziała. Szukał jej przez kilka chwil, ale bez skutku. Zniknęła, a wraz z nią bliźniaki.

Jakże wielkim czarownikiem musi być ten Conan, skoro potrafił wydostać się z klatki i jeszcze uprowadził jego ukochane dzieci?

– Dawać diabłopsy! – wrzasnął.

Daleko na moczarach, w bezpiecznej odległości od wioski Jatte, zebrali się zbici z tropu Vargowie. Najgorzej czuł się Fosull.

Wódz stał oparty o grube drzewo, a chłód gładkiej kory przenikał mu plecy. Poddani przyciągnęli poległych wojowników – trzy ofiary oszalałego stwora, który nie mógł być niczym innym jak tylko człowiekiem pozabagiennym. Vargowie mieli jeszcze ciężko rannego; nieszczęśnik dogorywał i lada chwila wybierał się na spotkanie ze swymi przodkami.

Kim był ten obcy? Ani Fosull, ani jego wojownicy nie rozpoznali w napastniku członka grupki widzianej wcześniej na szlaku wiodącym przez bagna. Nieznajomy zaatakował Vargów znienacka, rozprawił się z nimi krwawo i zniknął tak szybko, że z pewnością przypłacił ucieczkę życiem, tonąc w grzęzawisku.

– Wodzu!

Fosull odwrócił się.

– Co znowu?

– Jatte! – odrzyknął wojownik stojący na straży. – Spuścili diabłopsy!

Jakby na potwierdzenie tych słów, rozległo się mrozące krew w żyłach wycie jednego z potworów. Bardziej przypominało głos ogromnego, drapieżnego kota niż psa lub wilka.

Na Wielkiego Boga Lasu! Diabłopsy!

– Kryć się! Szybko!

– A ciała naszych towarzyszy?

– Zostawcie je! Może odwrócą uwagę bestii...

Fosull nie skończył wydawać rozkazów, gdy na ścieżce pojawił się pierwszy stwór. Z pyska najeżonego kłami ciekła piana.

Ledwie świtało, lecz nawet w pierwszym brzasku dnia łatwo było rozpoznać potwora. Po dwakroć przewyższał wodza Vargów i bez względu na to, czy z piekła rodem czy nie, ani trochę nie przypominał zwykłego psa.

Zatrzymał się na polanie, dając ukrytym Vargom okazję, by przyrzekli się, potwornemu przeciwnikowi. Miał łeb niedźwiedzia, głęboko osadzone, czarne ślepia i rozdęte nozdrza. Strzygł małymi, okrągłymi uszami i szczyrzył długie, ostre zębiska, zdolne rozszarpać ofiarę na strzępy. Wilczy tułów pokrywało grube, czerwone futro. Dzięki szerokim, płaskim łapom z krzywymi pazurami diabłopies z łatwością poruszał się po moczarach; pływał równie szybko, jak biegał. Na bagnach nie było przed nim ucieczki.

Fosull uniósł włócznię. Vargowie kilka razy ubili taką bestię, gdy odłączyła się od innych. Lecz teraz byli osłabieni liczebnie i mogli przegrać walkę, jeśli pojawi się więcej potworów. Jatte rzadko spuszczała diabłopsy; w gęstwinie zagrażały im trujące kolce. Ale na otwartej przestrzeni...

Bestia zaczęła węszyć, głośno wciągając powietrze. Nagle zawróciła i popędziła dalej.

Fosull z niedowierzaniem patrzył w ślad za potworem. Cóż to, na wszystkich znanych bogów...?

W polu widzenia zamajaczyło siedem czy osiem diabłopsów. Gnały tropem przewodnika stada.

Wódz Vargów patrzył bezmyślnie na porykujące bestie, mijające jego kryjówkę. Kiedy zniknęły, jeszcze długo trzymał włócznię w górze. Spodziewał się, że przyjdzie mu ją rzucić po raz ostatni.

W końcu opuścił broń. Zatem Jatte nie szukają Vargów, to jasne. W takim razie... kogo?

Nagle go oślnięło. Człowieka spoza bagien, zabójcę jego trzech wojowników!

Musi być w zмовie z tamtymi, którzy uprowadzili Vilkena. Pozabagienni podpalili wioskę Jatte i teraz olbrzymy ich ścigają.

Ale gdzie się podziała tamta grupka? Może poszła inną ścieżką? Lecz bez wątpienia też uchodzi przed wielkoludami, Fosull był tego pewien.

Jeśli diabłopsy dopadną zbiegów, Vilken zginie razem z innymi. O ile bestie gończe pokonają czerwonego demona, rzecz jasna. Taką walkę warto zobaczyć.

– Za nimi! – rozkazał.

– Straciłeś rozum, wodzu?! – nie wytrzymał któryś z wojowników. – Mamy gonić diabłopsy?!

– One nie polują na nas – odparł Fosull. – Za to zaprowadzą mnie do syna. Szybciej, ruszać się!

Vargowie przywykli do słuchania rozkazów. Bez szemrania wyszli na ścieżkę i podążyli za wodzem. Wokół robiło się coraz widniej.

Cała ta awantura bardzo nie podobała się Fosullowi; zbyt wiele go kosztowała. Czas to zmienić, trzeba wziąć sprawę w swoje ręce. Przyspieszył kroku i uśmiechnął się złowrogo. W pierwszych promieniach słońca groźnie załśniły jego ostre zęby.

## IX

Poranek zastał Conana w części mokradeł gęsto porośniętej niskimi, dziwnymi drzewami. Miały gładkie liście długie jak ludzkie ramię i szerokie na dwie dłonie. Mimo wczesnej pory zrobiło się gorąco. Nagle gdzieś w oddali rozległ się dziki wrzask i po chwili zawtórowały mu inne. Cymmerianin nie znał bestii wydających takie dźwięki. Wprawdzie dochodziły z daleka, lecz od razu pomyślał, że to odgłosy pogoni.

Niedobrze. Do kresu bagien pozostał jeszcze kawał drogi. Tymczasem wycie zbliżało się szybciej, niż szedł.

Cokolwiek go ściga, niedługo na pewno dosięgnie celu. Nie uśmiechało mu się spotkanie z nieznanym niebezpieczeństwem na wąskim szlaku pośrodku grzędawiska. Potrzebował kawałka wolnej przestrzeni, by się bronić.

Zaczął biec. Ufał swojej pamięci i miał nadzieję, że nie złądzi. Niedaleko powinno być miejsce nadające się do odparcia ataku. Przy odrobinie szczęścia zdąży tam dotrzeć.

Hm... Gdyby szczęście mu sprzyjało, to przede wszystkim nie znalazłby się tutaj. Prawda, że uciekł z klatki, ale uśmiech losu ode-

grał w tym małą rolę. Jeśli ma umrzeć w kilka godzin po odzyskaniu wolności, trudno mówić o sprzyjającej fortune.

Mimo to, Conan zawsze pamiętał, że Crom najchętniej pomaga tym, którzy nie załamują rąk. Człowiek z północy powinien bardziej ufać ostrej klindze niż opiece bogów. Mieczem można kierować – bogowie robią, co im się podoba. Conan nigdy nie słyszał o modlitwie skuteczniejszej od ostrej stali.

Pościg zbliżał się. Cymmerianin przyspieszył.

Widok wozu ukrytego na małej polanie w bok od traktu ucieszył Dake'a. Odetchnął z ulgą – wszystko poszło gładko. Szybko odwołał zakłęcie chroniące pojazd i wezwał do powrotu pasące się woły. Nigdzie nie zauważył śladów na wpół przetrawionego jedzenia, zatem podczas jego nieobecności nie było tu żadnego intruza.

– Zaprzęgać! – polecił podwładnym.

Gdy zabrali się do pracy, uśmiechnął się szeroko. Teraz do Shadizaru z czwórka nowych dziwów natury. Po drodze jest kilka miasteczek i wsi, gdzie będzie mógł pochwalić się swoją menażerią. Występy niecodziennej trupy przyniosą jaki taki zysk. Do celu podroży z pewnością nie dotrze z pustą sakiewką.

Tak, jeśli człowiek ma głowę na karku, może daleko zajść. W Shadizarze zadziwi bogatych kupców i złodziei władających miastem. Bez wątpienia wszyscy będą się ubiegać o wyłączność na sfiansowanie jego planów.

Mag popatrzył na Saba. Czteroreki szybko i zgrabnie zaprzęgał jedno ze zwierząt pociagowych. Czyż sam Sab nie jest wystarczająco zadziwiający? Któż inny ma na pokaz kogoś takiego? Kto oprócz Dake'a posiada mężczyznę o czterech rękach, kobietę-kota, wilkołaka, trójkę olbrzymów i zielonego karła? Oczywiście nikt – odpowiedział sobie mag.

Wreszcie środek transportu był gotowy do odjazdu. Dake zastanawiał się przez chwilę, co zrobić z Teyle. Choć we wnętrzu wozu mieścił się dość wygodnie tuzin roślących mężczyzn, pojazdu nie zaprojektowano do przewozu olbrzymki. Mogłaby podróżować leżąc na podłodze, co najwyżej siedząc, ale nie zdołałaby poruszać się na stojąco. W takiej pozycji nawet Dake miał niewiele przestrzeni nad głową, a na wybojach uderzał czasem o dach. Trudno, będzie musiała chodzić na czworakach. Ciekawy widok. Żeby tylko nie pokaleczyła sobie kolan.



Mag nie chciał, by jej ciało ucierpiało wskutek niewygód. Nie z litości; w razie potrzeby bez wahania zarznąłby swoje dziwolągi. Ale po co narażać na szwank cenny okaz. Uszkodzony towar traci na wartości. Nie, lepiej niech jedzie z Penzem na koźle. Siedzenie woźnicy było zadaszone, żeby na powożącego nie padało, ale daszek znajdował się dość wysoko, by dziewczyna mogła się pod nim zmieścić.

Jak zechce się przespać, wczołga się do środka.

Uporawszy się z tym niewielkim problemem, Dake kazał wszystkim wsiadać. Na zewnątrz zostali tylko Penz i Teyle. Kiedy wóz wytoczył się wolno na drogę, mag wskoczył na tylny stopień. Trzymając się ramy drzwi, popatrzył w kierunku niewidocznej wioski Jatte. Dobrze zapamiętał jej położenie. Kto wie, gdyby trójce olbrzymów coś się stało, może kiedyś wróci tam po nowe okazy.

Uśmiechnął się. U celu podróży czeka sława i fortuna. Już nie daleko.

Raseri i jego trzech najlepsi myśliwi podążali bagiennym szlakiem za diabłopsami. Gdy dotarli do drzew o wielkich liściach, bestie gończe były daleko z przodu. Do uszu Jatte dochodziło tylko ich niewyraźne wycie.

Wódz olbrzymów nie wierzył w szczęście ani pomoc bogów. Wolał ufać swym badaniom i zgromadzonym zapiskom; uważał, że są bardziej przydatne od pobożnych życzeń i modlitw. Stracił w pożarze dokumentację dotyczącą barbarzyńcy sprowadzonego przez córkę, lecz nie wszystko przepadło. Raseri pobrał próbki włosów i odzienia jeńca, a nawet skóry z pochwy miecza. Porównywał je z materiałem zdobytym na poprzednich więźniach klatki. Trzymał to w najgłębszej i najzimniejszej piwnicy, gdzie czasem nawet w upalne dni tworzył się szron. Dawno odkrył, że niektóre rzeczy przechowują się dłużej w niskiej temperaturze.

Teraz diabłopsy tropiły zbiega, kierując się nikłym zapachem próbek. Raseri wiedział, że dopóki go czują, nie zaprzestaną pogoni i w końcu dopadną ofiarę. Sprawdził kiedyś, że potrafią wywęszyć ślady jeszcze po pięciu dniach. Żadne zwierzę żyjące na bagnach nie mogło ich przechytrzyć. Gdyby Conan zmylił drogę i utonął w grzęzawisku, odnalazłyby ciało; gdyby pożarł go wielki, drapieźny kot, przyniosłyby w zębach choćby drobne szczątki.

Raseri szedł równym krokiem. Nie spieszył się. I tak nie mógł nadażyć za psami, podobnie jak Conan nie mógł im uciec. Był pe-

wien, że stworzenia przybiegną, jak tylko coś znajdą. Jeśli rozszarpia barbarzyńcę, powrócą z tym, co z niego zostanie.

Wódz martwił się jednak o dzieci. Nie pojmował, jakim sposobem mały człowiek zdołał porwać trzy istoty, z których najmniejsza dorównywała mu wzrostem i budową. Miał nadzieję, że wkrótce się tego dowie.

– W lewo! – zawołał Lawi, najmłodszy z tropicieli, idący na przedzie.

Raseri skinął na dwóch Jatte kroczących z tyłu. Byli braćmi i jego siostrzeńcami. Jeden zwał się Kouri Starszy, drugi Hmuo Młodszy.

– W lewo – powtórzył.

Czterej mężczyźni skręcili na rozwidleniu szlaku. Tędy wcześniej pobiegły psy, zostawiając wyraźne ślady.

W oddali rozlegały się ledwo słyszalne głosy polujących bestii. Wódz pomyślał, że z pewnością już zbliżają się do ofiary.

Conan dobiegł do polany, którą pamiętał. Leżała na lewo od ścieżki, obok stawu pokrytego zieloną pianą i zarośniętego liliami wodnymi. Za nią opadało strome zbocze odgradzone półkolistą ścianą grubych drzew, po prawej gęsto było od kolczastych krzewów. Prowadziło tu tylko wąskie przejście wprost ze szlaku. Przedostanie się na tę niewielką przestrzeń inną drogą nie należało do łatwych zadań.

Prześladowcy musieliby wchodzić na polanę gęsiego, co dawało Conanowi pewną przewagę. Chyba że woleliby przeprowadzić się przez wodę lub przedzierać przez ciernie. Bestie mogły okrążyć go i wdrapać się zboczem, o ile miały dość sprytu, by wykonać taki manewr. Lecz wspinaczka znacznie spowolniłaby pogoń. Jeśli potrafiły pływać, pokonałyby staw, ale to też zajęłoby sporo czasu. Nie wiedział, ile i jakich stworzeń go ściga. Nie znał ich wielkości ani możliwości. Sądząc po odgłosach, zbliżały się szybko.

Przedostał się na polanę i dobył miecza. Stanął plecami do krzaków, niewidoczny ze ścieżki. Wziął kilka głębokich oddechów, zacisnął dłonie na rękojeści broni i uniósł ją nad prawym ramieniem niczym drwał siekierę. Był gotów, nic więcej nie mógł zrobić. Uśmiechnął się lekko. Jeśli wybiła jego godzina, zginie jak na wojownika przystało. Zanim to nastąpi, zatopi zimną stal w ciałach zabójców. Można umrzeć gorszą śmiercią, a nikt nie żyje wiecznie.

A zatem, Cromie...? Czy to dziś mam do ciebie dołączyć?

Bóg Gór nie raczył się odezwać. No i dobrze, pomyślał Conan. Lepiej nie znać odpowiedzi, dopóki nie nadejdzie.

Fosull i jego wojownicy maszerowali pustą ścieżką. Omijali grząskie piaski i okrążali stawy przylegające do szlaku. Daleko z przodu słyszeli wycie diabłopsów. Wódz Vargów podziękował już ulubionym bogom za cudowne ocalenie przed bestiami, lecz ich łaska nie przywróciła mu na razie syna i nie pomogła pomścić poległych. Znając naturę psów Jatte, Fosull obawiał się, że dopadną i rozszarpią pozabagiennych na strzepy, zanim Vargowie zdążą wkroczyć na scenę. Szkoda. Wódz miał wielką ochotę wymierzyć im sprawiedliwość po swojemu, żeby zaznali bólu i cierpienia. Ale cóż... W końcu martwi to zawsze martwi. Skoro bogowie wybrali na mścicieli diabłopsy, Fosull był daleki od tego, żeby się z nimi spierać. Wystarczy, jeżeli odzyska Vilkena. Nie obrazi się również, jeśli bogowie pozwolą zgarnąć resztki z pańskiego stołu – przydałoby się kilka kawałków ludzkiego mięsa, choć nie za cenę spotkania z psami czy ogromnymi demonami.

Tak, pomyślał wódz: ja i moi ludzie z wdzięcznością przyjmie-my wszystko, co bogowie zechcą nam ofiarować.

Dogonił go zwiadowca z tylnej straży. Ledwo dyszał.

– O co chodzi? Melduj.

– Jatte... wodzu... – wysapał wojownik.

– Gdzie?

– Za... nami...

– Ilu ich? Jak daleko?

Zwiadowca uniósł otwartą dłoń i zagiął kciuk.

– Czterech... Godzinę drogi... stąd.

Fosull zastanowił się. Jego czternastu wojowników mogłoby pokonać czterech Jatte, choć wolałby mieć większą przewagę liczebną. Ale skoro dzieliła ich godzina drogi, walka nie była konieczna. Gdyby psy dopadły ludzi pozabagiennych, możliwe, że Vargowie zdążyliby odbić Vilkena, a potem umknąć szlakiem uczęszczanym jedynie przez drobną zwierzynę i zbyt wąskim dla olbrzymów. Plan wydawał się dobry, o ile nie dogonią ich Jatte.

– Prędzej! – ponaglił Fosull.

Piętnastu Vargów przyspieszyło.

Pogoń była już blisko. Conan słyszał tupot. Znów wziął głęboki oddech i do połowy wypuścił powietrze. Miecz nieruchomo zawisł w górze.

Pierwsza bestia wpadła na polanę tak szybko, że ostrze przecięło jej zad zamiast karku. Siła ciosu wstrząsnęła napiętymi mięśniami ramion Cymmerianina. Omal nie wypuścił broni z rąk, gdy stał trafiła na kość ogonową zwierzęcia. Stwór zawył i przysiadł. Conan mocniej ścisnął rękojeść. Ranne stworzenie pośliznęło się i zatrzymało dwa kroki dalej. Otrząsnęło się i spróbowało wstać, ale za podporę miało już tylko przednie łapy.

Paskudna bestia, pomyślał Conan. Brzydka i większa od wielkiego psa; czegoś takiego jeszcze nie widział. Zamachnął się, sieknął ją w kark i prawie odrąbał łeb od tułowia. Stwór dostał drgawek, a po chwili skonał.

Za przywódcą stada podążały następne. Cymmerianin przygotował się do starcia. Stał w wąskim przesmyku z uniesionym mieczem.

Druga bestia zobaczyła go i rzuciła się naprzód. Conan pozwolił się jej zbliżyć.

Ciął z prawej do lewej, uskakując w bok. Ostrze rozorało łeb stwora. Pies, czy cokolwiek to było, przekoziołkował, po czym znieuchomiał.

W polu widzenia pojawił się trzeci. Przystanął i węszył, zanim podniósł ślepią na Conana. Widocznie zwiertzył krew pobratymców, bo zaskomlał żałośnie i nie poruszył się.

Nagle dołączyły do niego trzy inne. Też powęszyły w powietrzu, potem zakreśliły się w kółko, zbite z tropu.

– No dalej, psie juchy! Podejdźcie bliżej, a poczęstuję was stałą!

Pierwszy z czwórki psów skoczył naprzód. Reszta poszła w jego ślady.

Conan rzucił się powstrzymać szarżę. Ten gwałtowny ruch musiał zaskoczyć atakującą bestię, bo raptownie przyhamowała i pozostałe wpadły na nią z tyłu. Jeden pies zsunął się do stawu. Wrzasnął niczym kot i począł gramolić się z wody.

Widząc, że psy skołowaciały i zmuszone są posuwać się jeden za drugim, Conan wykorzystał przewagę i natarł na czworonożne diabły.

Przeciwnik chciał zawrócić, ale inne zagradzały mu drogę. Klinga dosięgła jego boku. Rozpłatała go od łopatki po brzuch. Buchnęła

krw. Zwierzę odwróciło łeb i kłapnęło zębami, próbując zacisnąć szczęki na zabójczym ostrzu. Zbyt późno.

Conan zdążył wyszarpnąć miecz i dźgnął między żebra, gdzie powinno być serce bestii. Śmiertelnie ugodzony zwierz ryknął i podskoczył, spychając innego w cierniste krzewy. Próbował jeszcze rzucić się na Cymmerianina, lecz ten szybko postąpił krok do tyłu. Pies zwałił się na ziemię i zablokował przesmyk między krzakami a stawem.

Jedna z trzech pozostałych bestii wycofywała się. Druga usiłowała wydostać się z cierni, lecz grzęzła wśród kolców coraz głębiej. Trzecia już prawie wylazła z wody.

Conan w trzech susach wspiął się na leżące cielsko, skąd skoczył na psa szykującego się do odwrotu.

Bestia zakreśliła się i uciekła.

Przyszedł czas, by rozprawić się z tą wylażącą ze stawu. Uniosła grubą łapę, jakby chciała zasłonić się przed ciosem, ale na próżno. Ostra stal odrąbała wielką kończynę.

Stwór zawył i znów wpadł do wody. Próbował odplłynąć, lecz bez jednej łapy nie mógł utrzymać równowagi; kręcił się w kółko.

Ostatni przeciwnik wciąż miotał się w klującym gąszczu. Cymmerianin gotował się do ataku, gdy nieoczekiwanie umykający pies zawrócił. Najwidoczniej zebrał się na odwagę, bo rzucił się na Conana, chcąc dosięgnąć jego gardła. Błysnęły ociekające śliną kły. Barbarzyńca zrobił w tył zwrot, by stawić mu czoło. Wtedy pośliznął się na krwi i oparł na jednym kolanie. Ten przypadkowy unik go uratował. Rozpędzony pies przeleciał nad schylonym człowiekiem i wylądował na grzbiecie swego towarzysza uwięzionego pośród setek kolców. Ciężar obu bestii wgniół je głębiej w cierniste krzaki.

Pies bez łapy ciągle zataczał kręgi w stawie; nie zdołał się oddalić. Ostrze miecza przebiło mu kark. Zielona woda przybrała barwę purpury. Bestia jeszcze walczyła o życie, lecz przegrała. Utonęła, gdy Cymmerianin znów odwrócił się ku zwierzętom w kolczastej pułapce.

O dziwo, jednemu stworowi udało się oswobodzić. Tylko po to, by spotkać się z zabójczą stalą.

Drugi potwór wściekle kłapał pyskiem. Rwał się, by zatopić zakrwawione kły w ciele człowieka. Ale tysiące małych haczyków wbiły się zwierzowi w zad i nie puszczały. Lśniący klinga po raz ostatni odśpiewała pieśń śmierci.

Conan otarł z twarzy pot i posokę. Uspokoił się i rozejrzał. Wokół walało się sześć martwych bestii. Nagle poczuł zmęczenie. Po walce często się to zdarzało, lecz nie było czasu na odpoczynek. Pokonał diabelskie potwory, jednak ich władcy musieli być niedaleko. Psy, nawet tak przerażające, to jedno; olbrzymy, to co innego.

Wytań ostrze miecza o futro zabitego stwora, wsunął broń do pochwy i wyszedł na szlak. Podążył przed siebie, by jak najszybciej oddalić się od Jatte. Przynajmniej pokazał wielkoludom, na co go stać. Chociaż częściowo im odpłacił za uwięzienie go w klatce. Wolałby pozostawić za sobą trupa Raseriego, ale trudno. Wódz olbrzymów będzie zaskoczony, gdy znajdzie swoje psy gończe.

Cymmerianin uśmiechnął się z zadowoleniem.

## X

Zwiadowca Fosulla wyprzedzający zastęp przybiegł z meldunkiem, który brzmiał wprost nieprawdopodobnie.

– Wodzu! Diabłopsy są martwe!

– Wszystkie?!

– Co do jednego!

Fosull zastanowił się. O nic więcej nie spytał. Wolał, by wojownicy nie widzieli, jakie wrażenie wywarła na nim tak niecodzienna wiadomość.

Vargowie doszli wkrótce do miejsca, gdzie rozegrała się walka. Istotnie, psy nie żyły. Pół tuzina najbardziej krwiożerczych bestii na bagnach padło zapewne od miecza. Nie do wiary!

Wódz obejrzał pole bitwy i zbadał ślady. Każdy Varg z jednym okiem i połową mózgu odkryłby, że bestie zaszlachtował pojedynczy człowiek. Któryś z pozabagiennych. Zapewne ten sam, półnagi mężczyzna, który zabił kilku Vargów na obrzeżach wioski Jatte. Odciski stóp ani żadne inne znaki nie wskazywały na grupkę ludzi władających demonem.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Sześć psów zarżniętych przez jednego człowieka. Fosull zafrasował się. Takiego wojownika należy omijać z daleka, chyba że jest sprzymierzeńcem. A tymczasem idą za nim, zamiast ścigać tych, co porwali Vilkena. Zupełnie niedobrze.

Vargowie patrzyli wyczekująco na Fosulla. Mimo strachu, nie mógł pokazać, że się boi. Ba, powinien wręcz zlekceważyć niebezpieczeństwo. Od tego jest głowa plemienia.

– Myślałem, że psów było więcej – stwierdził z nonszalancją. Zwiadowca, szybkonogi Olir liczący sobie dziewiętnaście wiosen, zamrugał oczami.

– Nie rozumiem, wodzu...

– Sądziłem, że było ich osiem albo dziewięć. Zabić taką zgrają, to dopiero coś!

Ale tylko sześć...? – Wzruszył obojętnie ramionami i sprawdził zrogowaciałym kciukiem ostrość obsydianowego szpica swej włóczni. Podtekst tego gestu był jasny: – on, Fosull, położyłby trupem sześć diabłopsów i nawet by się porządnie nie spoił.

Przez zastęp przebiegł pomruk niedowierzania, jak domyślił się wódz, ale uśmiechnął się. Kto chce przewodzić, musi uchodzić za odważnego. Od dwunastu wiosen nikt nie rzucił mu wyzwania. Ostatni przeciwnik nie zdążył zrobić kroku i unieść broni, gdy przeszła go włócznia Fosulla. Większość z obecnych wojowników była wtedy jeszcze dziećmi. Opowieść o tym mężnym czynie długo przekazywano sobie z ust do ust. Przez lata obrosła legendą i wielu młodszych Vargów uważało Fosulla za niezwyciężonego. Mimo wszystko, woleli nie lekceważyć kogoś, kto w pojedynkę usiekł stado diabłopsów i po prostu poszedł sobie dalej.

– Nic tu po nas – oświadczył wódz Vargów.

– Ruszymy za tym, kto to zrobił? – zapytał Olir.

– Jasne. Założę się, że zaprowadzi nas do pozostałych. Zapomniałeś, że Vilken jest w ich rękach?

– Nnnie... wodzu.

– Więc chodźmy. Idź przodem i bądź czujny, żebyś nie wpadł znieścacka na naszą ofiarę.

Fosull popatrzył za oddalającym się zwiadowcą. Chłopak szedł wolniej niż zwykle. Wódz był więcej niż pewien, że młody Varg zrobi wszystko, byle tylko uniknąć spotkania z tym, co zarażał psy. Na jego miejscu postąpiłby tak samo.

Lawi był błąd jak płótno, kiedy wrócił tam, gdzie Raseri i dwaj inni Jatte kończyli popołudniowy posiłek. Czterech olbrzymów zatrzymało się na odpoczynek w płytkim zagłębieniu otoczonym wielkimi gałęziami zwalonego piorunem drzewa. Pień leżący tu co najmniej od pięciu wiosen porósł już grubym mchem.

– Ustaliłeś, dlaczego psy ucichły? Dogoniły zbiega?

Lawi pokręcił głową i przysiadł na dużej kłodzie wystającej z błota obok ścieżki.

– Owszem, dogoniły, ale...

– To dobrze... – przerwał mu Raseri.

– Niedobrze – wtrącił szybko Lawi. – Psy nie żyją.

– Co?! Niemożliwe! – wykrzyknął Kouri.

– Nie może być! – zawtórował Hmuo.

Raseri powstrzymał się od uwag.

– Chodźcie i sami zobaczcie.

Gdy wszyscy czterej doszli do miejsca krwawej rzezi, pierwszy przemówił Kouri: – Ślady Vargów! To oni zabili psy. Był tu duży zastęp karłów!

Raseri schylił się. Obejrzał jedno zwierzę, potem drugie i trzecie.

– Nie. Tych ran nie zadały włócznie Vargów.

– Zatem kto...? – zdziwił się Hmuo.

– Conan, nasz zbiegły więzień. Widzicie? – Wódz wskazał głębokie cięcia. – To od miecza. Obejrzyjcie trzy pozostałe psy, a znajdziecie to samo.

– Chcesz powiedzieć, że wszystkie sześć ubił jeden mały człowiek?

Raseri odwrócił się do Kouriego.

– A owszem. Ucieczką z klatki i dalej przez bagna dowiódł swej nieprzeciętnej zaradności. Nigdy nie mieliśmy do czynienia z tak zadziwiającym okazem małego człowieka. Chyba pamiętacie?

Kouri potarł czoło. Podczas znęcania się nad Conanem, to właśnie on stracił kij i został ugodzony tak, że padł nieprzytomny. Jakże mógłby zapomnieć?

– Ale co robili tutaj Vargowie? – spytał Lawi.

Raseri wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Może przyszli się pożywić?

– Ślady wskazują, że podążyli za tamtym człowiekiem, choć widzieli jatkę. Chyba nawet oni nie mogą być aż tacy głupi?

Wódz zastanawiał się przez chwilę. – To dziwne – przyznał. – I wielce ciekawe. Musieli mieć nie lada powód. My też widzimy krwawą dzieło zbiega i również zamierzamy dalej go ścigać, czyż nie?

– Rozważmy wszystko – powiedział Hmuo. – Dokładnie zbadałem szlak i nie dostrzegłem śladów Jatte. Co zatem z Teyle, Orenem i Morją? Wygląda na to, że nie towarzyszą naszemu uciekinierowi.

Raseri pomyślał, że to jeszcze dziwniejsze. Ale bez wątpienia musi istnieć jakiś związek między barbarzyńcą i porwaniem dzieci.



Samodzielna ucieczka Conana z klatki była niewiarygodnym wyczynem. Może ktoś mu pomógł? Czyżby miał kompanów, których przeczyła Teyle, gdy go zabierała do wioski? Oswobodzili przyjaciela i z zemsty uprowadzili trójkę Jatte, a teraz uciekają innym szlakiem niż Conan?

Wódz stwierdził po namyśle, że ta hipoteza jest nieco naciągana. Jednak fakty mówiły same za siebie: Conan i dzieci zniknęły z wioski w tym samym czasie. Trudno było mieć pewność, co naprawdę zaszło, ale rozum podpowiadał, że nic nie stało się przypadkowo. Tak czy inaczej, należało ująć barbarzyńcę. Tylko on znał odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Chodźmy – rozkazał Raseri. – Tutaj nie dowiemy się niczego więcej. Trzeba złapać Conana.

– W takim razie, musimy zostawić Vargów z tyłu – zauważył Kouri.

– Tak zrobimy, jeśli zajdzie potrzeba.

Conan przebył szlak w dobrym tempie. Bagna ustępowały miejsca coraz większym połaciom suchego gruntu. Trakt do Shadizaru był już blisko.

Cymmerianin cieszył się z odzyskanej wolności. Po wydostaniu się na drogę zamierzał kontynuować podróż bez dalszych niebezpiecznych przygód, o ile zdoła ich uniknąć. Najważniejsze, że przeżył. Wprawdzie dokuczał mu głód, lecz z każdym krokiem Conan oddalał się od olbrzymów i karłów. Bez żalu pozostawiał za sobą mokradła.

Spostrzegł jadalne jagody, więc przystanął, by się posilić. Leśne owoce to nie mięso czy drób, ale lepsze takie pożywienie niż burczenie w żołądku. Otarł usta wierzchem dłoni i poszedł dalej. Wkrótce powinien dojść do miejsca, gdzie po raz pierwszy spotkał wielkoludów. Jeszcze kawałek i znajdzie się na drodze; nie mógł się tego doczekać.

Wóz toczył się wyboistym traktem. Jednostajne kołysanie było usypiające, dlatego Dake szybko zapadł w drzemkę. Śniło mu się, że jest właścicielem ogromnego cyrku.

Na wielkiej arenie występują setki dziwolągów, które zebrał i rozmnożył, a na widowni zasiadają tysiące ludzi. Kobiety-koty wykonują akrobacje, czterorękie istoty żonglują tuzinami kolorowych kul,

zielone karły i zwaliste olbrzymy paradują tam i z powrotem, a wilkołaki staczają krwawe walki, nie oszczędzając kłów i pazurów. A wszystko to pod największym namiotem świata. Spiczasty, jedwabny dach wznosi się wysoko, zdobią go niebiesko-białe pasy.

Nagle rozległ się trzask! Złamał się jeden z grubych słupów podtrzymujących cyrkową kopułę. Namiot opadł na arenę i widzów. Usłyszał krzyki wzywające pomocy: „Dake! Dake! Dake...”.

Obudził się. Kreg potrząsał go za ramię.

– Dake!

Mag gwałtownie odtrącił rękę asystenta.

– Dlaczego przerywasz mi drzemkę, durniu?!

W tej samej chwili zauważył, że wóz stoi.

– Po co się zatrzymaliśmy? Nie kazałem robić postoju!

Kreg pokręcił głową.

– Nie, ale złamało się koło.

– Co?! Pokaż!

Dake wygramolił się tylnymi drzwiami i poszedł za asystentem do przodu wozu. W rzeczy samej, rozleciało się koło od strony Teyle siedzącej obok Penza. Pękły cztery szprychy, brakowało kawałka drewnianej obręczy, a opasująca ją żelazna taśma spłaszczyła się.

– Na luskowate krocze Seta! Jak to się stało?!

Penz spojrział z kozła w dół.

– Wjechaliśmy na wielki kamień, a zaraz potem w głęboką dziurę.

– Nie mogłeś tego ominąć, durniu?!

– Nie było miejsca. Sam zobacz. – Wilkołak wskazał za siebie.

Mówił prawdę. Wypadek przytrafił się na zwężeniu drogi. Z jednej strony rosły gęste zarośla, z drugiej ciągnął się płtyki parów o stromym zboczu. Ze środka traktu wystawały duże głazy.

Mag przeklął szpetnie kilku mniej znanych bogów, nazywając przy tym dosadnie ich najbardziej odrażające nawyki. Nawet woły poruszyły się niespokojnie, słysząc tyle obelg naraz.

– Wyładujcie i załóżcie zapasowe koło – rozkazał w końcu.

Penz pokazał kły w szerokim uśmiechu.

– Nie da rady. Już je zużyliśmy. Pamiętasz przejazd przez Przełęcz Haraan?

Dake wściekle zacisnął pięści. W istocie, wtedy założyli zapas. Od tamtego wypadku nie zajechali jeszcze do kołodzieja, by zmajstrował nowy. A ciężar wozu uniemożliwiał jazdę bez jednego koła.

– Nie możesz użyć magii, by to naprawić? – zapytał Kreg.

Czarownik nie znał odpowiedniego zaklęcia, ale nie zamierzał przyznawać się do niewiedzy. Zwłaszcza temu półgłówkowi.

– Szkoda marnować magii na takie głupstwo – odparł. – Ty, Penz i Sab weźmiecie narzędzia i dorobicie potrzebne części. Wokół jest dość drzew.

– Ależ miną godziny, zanim...

– No to co? Przez ten czas będę podziwiał krajobraz.

– Jaki krajobraz?! Tu jest tylko las i zakurzona droga!

– Trzymaj jęzor za zębami albo go stracisz, głupcze!

Kreg poczerwieniał, ale zamilkł. Dobrze wiedział, że na jedno skinienie Dake'a wilkołak z ochotą skoczy mu do gardła. Lub też mag unieruchomi go swym zaklęciem, po czym rozwali głowę kamieniem. Kreg już widział, jak jego pan zabija, i był pewien, że nie zawahałby się także tym razem.

– Sab! Przynieś narzędzia! – zawołał. – A ty złaż z kozła, wło-chata mordó!

Penz zeskoczył z siedzenia woźnicy, wylądował zgrabnie przed asystentem i wyszczerzył kły w uśmiechu. Dake nie zauważył, by obelga wywarła na wilkołaku wrażenie. Penz lubił patrzeć na bezsilną złość Krega. Szkoda, lecz bez wątplenia kariera asystenta dobiega końca. Jeśli Penz zasłuży, może w nagrodę dostanie pozwolenie na wysłanie swego dręczyciela do Szarych Krain.

Kiedy trójka uzbrojona w piły i siekiery odeszła, Dake rozejrzał się za ocenionym miejscem nadającym się do drzemki. Może znów przyśni mu się wielki cyrk? Byłoby miło.

## XI

Gdy tylko Conan wyszedł na drogę, przyspieszył kroku. Cieszył się, że wreszcie czuje pod stopami twardy grunt. Miał silne nogi. W ojczystej Cymmerii jeszcze jako chłopiec dźwigał ciężkie kłody oraz kamienie, potem przez wiele lat dużo chodził i biegał. Był wytrzymałym piechurem i teraz rażno podążał przed siebie.

Niewiele ucierpiał wskutek niemiłej przygody z olbrzymami. Stracił trochę czasu, zaznał niewygód, ale nic więcej. Odzyskał miecz, a w Shadizarze czekało bogactwo. Nie zamierzał już nigdzie zbaczać.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, znalazł miejsce na nocleg. Zasta-wił sidła, szybko złapał królika i po zmroku siedział przy ognisku,

spożywając gorący posiłek. Uśmiechał się, gdy rozrywał pieczeń białymi, mocnymi zębami. Kiedyś opowie wnukom o wielkoludach i zielonych karłach. A na razie może o nich zapomnieć. Szkoda czasu na rozpamiętywanie minionych zdarzeń.

– Koło naprawione – oznajmnił Kreg. Twarz i ręce miał uwalane smarem, ociekał potem i w dodatku śmierdział.

W górze świecił blady księżyc.

– Zajęło wam to dużo czasu – skrzywił się Dake. – W dole wzgórze jest strumień. Idź się umyć i wypierz odzienie. Weź ze sobą Saba i Penza. Już za ciemno, by jechać dalej. Nie mam ochoty na uszkodzenie drugiego koła.

Kiedy asystent, czteroręki i wilkołak odeszli, mag popatrzył na drogę za wozem. Przymusowy postój sprawił, że czasowa przezwaga nad pościgiem stopniała o kilka godzin. Ale Dake wątpił, by pogoń podążała przez bagna również nocą. Nawet mimo naprawy koła z pewnością wyprzedzali olbrzymów o pół dnia. Jednak z ulgą powitałby wschód słońca, żeby jak najprędzej ruszyć dalej.

Po powrocie Krega i innych kazał im ukryć wóz na małej polanie wśród iglastych drzew o czerwonej korze. Niezwykła trupa ułożyła się na spoczynek wewnątrz pojazdu. Wszyscy zapadli w drzemkę.

Fosull źle spał, męczyły go koszmary. Widział wielkie, czerwone demony, półnagich ludzi pozabagiennych, Jatte i mnóstwo innych postaci, których nie rozpoznawał. W rzeczywistości był szybki i zwinny, lecz we śnie ledwo mógł się poruszać. Zupełnie opuściły go siły. Rzucił włócznią tak słabo, że leciała z szybkością opadającego liścia. Na co dzień nosił kilt z miękkiej irchy, teraz chodził nago. Próbował znaleźć drogę do swej chaty, ale zupełnie pogubił się wśród chaszcy. Nie potrafił przypomnieć sobie, któredy ma iść. Podczas panicznej ucieczki przed stadem czteroręcznych kocić uświadomił sobie nagle, że śni. Ale jeszcze długo po przebudzeniu nie mógł się otrząsnąć.

Pomyślał, że miał już przyjemniejsze sny.

Raseri nie spał. Leżał i rozmyślał o wydarzeniach ostatnich dwóch dni. Starał się poukładać sobie wszystko w głowie, ale nie szło mu zbyt dobrze. Wciąż wiedział za mało, by wyeliminować niektóre możliwości.

Wódz Jatte był w dużym kłopotcie. Zazwyczaj potrafił ustalić przyczyny zdarzeń. Oczywiście mogło tak być dlatego, że w swoim świecie miał do czynienia z prostymi sprawami, które łatwo dawały się wyjaśnić. Tymczasem teraz stanął przed problemem, z jakim się dotąd nie zetknął. Z jednej strony było to przygnębiające, z drugiej jednak podniecające, bo przecież większą satysfakcję daje rozwikłanie skomplikowanej zagadki.

Uśmiechnął się. Bez wątplenia rozszyfruje i tę tajemnicę. Pytanie tylko, kiedy i ile trudu będzie go to kosztować?

Oczywiście martwił się o dzieci, lecz wmawiał sobie, że nie zagraża im wielkie niebezpieczeństwo, przynajmniej na razie. Gdyby porywacze – a zakładał, że jest ich kilku – zamierzali zabić swe ofiary, nie potrzebowaliby uciekać tak daleko od wioski. Nie, z pewnością mają inne plany. Może chcą wykorzystać Teyle, Orena i Morję do eksperymentów, podobnie jak on Conana?

Albo wystawiać je na pokaz? Możliwości istniało tak wiele, że nie zdążył rozpatrzyć wszystkich, bo w końcu zmorzył go sen.

Conan obudził się wcześniej. Coś mu mówiło, że im dalej będzie od olbrzymów, tym lepiej. Ledwo świt zaróżowił niebo, Cymmerianin zerwał się i ruszył w drogę. W marszu ogryzał resztki drugiego upieczonego królika. Przystanął tylko na chwilę, by zaczerpnąć garść wody ze strumyka i opłukać mięso.

Zanim słońce wzeszło na dobre, wędrował prawie od godziny.

Gdy wspiął się traktem na niewielkie wzniesienie, zobaczył w oddali wóz stojący na skraju drogi. Kryty, sześciokołowy pojazd przypominał wielkością dom. Obok paśło się osiem czy dziesięć wołów.

Cymmerianin skręcił w zagajnik i sprawdził, czy miecz luźno wysuwa się z pochwy. Niedawna przygoda wzmogła czujność Conana. Pasażerowie wozu mogli być nieszkodliwi, ale wolał przyjrzeć się im z ukrycia.

Skradał się między drzewami, starając się posuwać jak najciszej, i stopniowo zbliżał się do pojazdu.

Wreszcie wypatrzył miejsce pokryte suchym igliwem i przykucnął za rozłożystym krzakiem, by rozeznac się w sytuacji.

Nie czekał długo. Z wozu wyszedł jasnowłosy mężczyzna. Towarzyszyła mu postać otulona opończą, w kapturze na głowie. Conan nie mógł dostrzec jej twarzy, za to dobrze widział pasażera, który pojawił się jako trzeci.

Ten człowiek miał ni mniej, ni więcej, tylko cztery ramiona!

Cymmerianin zastanawiał się nad tym dziwactwem, kiedy wóz zakrzypiał i zatrzęsł się mocno. W drzwiach stanęła ogromna niewiasta. Musiała schylić głowę, by nie zawadzić o framugę. Conan od razu rozpoznał Teyle z plemienia Jatte.

Bardzo dziwne... Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy zobaczył jej młodsze rodzeństwo, Orena i Morję. Za bliźniakami szła kobieta o kocich rysach, obrośnięta krótką sierścią. Na końcu dreptał zielony, nakrapiany karzeł. Taki sam jak ci, których Conan niedawno napotkał.

Jasnowłosy i czteroręki zaprzęgli woły. Zakapturzony przykucnął, aby obejrzeć przednie koło. Nakrycie głowy zsunęło się, wtedy Cymmerianin ujrzał zwierzęce oblicze. Pysk psa? Nie, raczej wilka!

Ale za zbieranina dziwolągów! Wszyscy w jednym wozie. Co to znaczy?

– Jak ci się podobają moje okazy? Interesujące, prawda? – rozległ się głos za plecami Conana.

Cymmerianin natychmiast odwrócił się i wyprostował, jednocześnie dobywając miecza.

– To nic nie da – rzekł obcy. Wymamrotał jakieś niezrozumiałe słowa i uczynił ręką gest, jakby coś rzucał.

Conan uskoczył w bok i uniósł broń do cięcia. Jak ten człowiek podkraść się do niego? Niewielu zdołało zająć Cymmerianina od tyłu, a smagły, czarnowłosy mężczyzna z długimi wąsami nie wyglądał na zbyt sprytnego. Nie był uzbrojony, ale Conan nie opuścił miecza.

– Odłóż broń – odezwał się nieznajomy. Nie zabrzmiało to jak prośba, lecz jak rozkaz.

Conan roześmiał się głośno. Nagle zamilkł. Poczul na sobie zimny, śmiertelny uścisk i ręce zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Nadgarstki miał jak z ołowiu i jakaś siła zmuszała go do opuszczenia ramion.

Próbował walczyć z krepującą go mocą. Na całe ciało wystąpiły mu krople potu. Wzmógł wysiłek i na chwilę drżący miecz znieruchomiał w chłodnym, porannym powietrzu.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

Ostrze znów zaczęło drgać. Conan opierał się ze wszystkich sił. Napiął mięśnie, aż pod opaloną skórą spęczniały ścięgna. Muskularne ramiona nabrzmiały. Ale miecz sam kierował się do pochwy.

Cymmerianin patrzył ze zgrozą jak jego własne ręce chowają broń, jakby należały do kogoś innego.

– Tak już lepiej – powiedział czarnowłosa i uśmiechnął się szeroko.

Conan w lot pojął, co go pokonało – magia! Obcy rzucił na niego zły urok!

Cymmerianin zaśmiał się i rozpostarł dłonie, by zacisnąć je na gardle czarownika. Ale wtem powietrze stało się tak gęste, jakby miał przed sobą nieprzeniknioną, niewidzialną ścianę.

– Tracisz tylko czas – przemówił mag. – Jestem Dake i będziesz mi posłuszny, czy ci się to podoba, czy nie.

Conan zdołał postąpić krok naprzód, lecz ten ruch kosztował go tyle wysiłku, że aż poczerwieniał.

– Siłacz z ciebie – zauważył Dake. – Być może znajdę ci jakieś zajęcie, zamiast pozbawiać cię życia. Jak cię zwą?

Widząc, że próby ataku na nic się nie zdadzą, Conan zrezygnował. Nie zamierzał odpowiadać magikowi, lecz ta sama siła, która kazała mu schować miecz, zmuszała go teraz do mówienia. Mocno zacisnął usta, by jej nie ulec.

Minęło tuzin uderzeń serca.

– Conan – usłyszał nagle własny głos.

– Ach, tak. Doskonale. Zatem chodźmy, Conanie.

Mag ruszył do wozu.

Cymmerianin znów spróbował stawić opór. Bez skutku. Wbrew swej woli podążył za czarownikiem. Nie mógł powstrzymać nóg, ani przyspieszyć i skoczyć prześladowcy do gardła. Czar miał zbyt wielką moc, by się jej przeciwstawić. Conan czuł się jak pies na smyczy, do tego z ciasną obrozą na szyi.

Kiedy wychodzili na drogę, uprzytomnił sobie, że to z pewnością magia pozwoliła Dake'owi zająć go z tyłu tak cicho. Teyle i bliźniaki też musi zniewalać potężny czar. Zastanawiał się, czy wszyscy pasażerowie wozu są pod wpływem zaklęcia.

Cóż, nie ma co zgadywać, wkrótce się dowie.

Wyglądało na to, że znów nie dojdzie do Shadizaru, choć obiecywał sobie nie zbaczać z kursu.

Gdy Vargowie dotarli do krańca mokradeł, nie napotkawszy pozabagiennych ani Vilkena, Fosull poczuł się mocno zakłopotany. Miał duży dylemat. Wyprawa poza moczary była wielce niebezpieczna. Ludzie pozabagienni nie należeli do tolerancyjnych, o czym Vargowie zdążyli się przez lata boleśnie przekonać. Zastęp karłów od razu ściągnąłby na siebie nieszczęście. Wprawdzie potrafiliby się obronić przed atakiem pojedynczego zbójcy lub zaskoczonego wieśniaka, lecz nie przed liczniejszą gromadą ludzi. W czasie Wielkiej Suszy, jakieś czterdzieści wiosen temu, dziad Fosulla wyruszył z bagien po prowiant na czele setki wojowników.

Wrócił ze świata zewnętrznego z połową dzielnych poddanych. Filozofia ludzi pozabagiennych wydawała się prosta: jeśli ktoś jest inny, należy go natychmiast zabić.

Co robić? Fosull nie zamierzał narażać na śmierć swoich wojowników. Z drugiej strony, straciłby ich szacunek, gdyby pozwolił umknąć porywaczom syna. Wódz wiedział, że się starzeje i nie jest już tym samym Vargiem, co kiedyś. Mimo iż wciąż mógł pokonać każdego współplemieńca, brakowało mu dawnej stanowczości. Jeśli zaprzestanie pościgu, wojownicy wezmą to za słabość i rzuca mu wyzwanie. Zażądają, by oddał władzę. Taki był u Vargów zwyczaj.

Niech piekło pochłonie tych pozabagiennych intruzów!

Coś trzeba zrobić. Wiedział nawet, co. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy, choćby nie chciał. Piętnastu Vargów nie ukryje się łatwo poza moczarami, ale jeden tak.

Fosull odwrócił się do wojowników.

– Wracajcie. Sam poszukam Vilkena.

– Ależ wodzu!

– Cały zastęp wzbudzi tylko ciekawość i sprowokuje atak. Jednemu z nas może uda się pozostać nie zauważonym.

– Ale... ale czerwony demon...!

– Jam jest Fosull i nie lękam się nikogo! Ani Vargów, ani ludzi pozabagiennych, ani czerwonych demonów! Róbcie, co kazałem!

Usłuchali niechętnie i zaczęli pomrukiwać między sobą o ogromnej odwadze przywódcy. Kto inny wybrałby się w pojedynkę przeciw demonowi potężniejszemu od Jatte? Fosull był pewien, że jeśli przeżyje, jego chwała przetrwa wiele wiosen i nikt nie śmie rzucić mu wyzwania.

W gruncie rzeczy, ryzykowna wędrówka wcale mu się nie uśmiechała. Mimo to, począł układać plan. Na mokradłach Vargów chronił naturalny kamuflaż; potrafili łatwo wtopić się w otoczenie i ująć



uwagi wrogów. Ludzie pozabagienni różnili się wzrostem. Niektórzy, zwłaszcza dzieci, byli prawie tak mali jak Fosull. Wódz wpadł na pomysł, jak zamaskować swój wygląd – należało zdobyć stosowne odzienie.

Na wszystko znajdzie się sposób.

## XII

Dake wdrapał się na dach wozu po krótkiej drabinie umocowanej z tyłu pojazdu. Oczywiście spiczasta plandeka nie wytrzymałaby jego ciężaru, ale poprzeczna deska była dość gruba i szeroka, by mógł na niej usiąść i obserwować drogę za wozem. W słoneczne dni robił to często. Lubił się opalać, a widok z wysoka dawał mu poczucie władzy.

Mag uważał, że ma wszelkie powody, by czuć się jak władca.

Jego myśli zaprzętała teraz ostatnia zdobycz. Muskularny Conan wydawał się cennym dodatkiem do kolekcji dziwołagów. Wprawdzie inne okazy też przyciągały gawieź w mijanych wioskach, lecz samo pokazywanie czterorękiego mężczyzny, czy kobiety o twarzy kota nie przynosiło godziwych zysków. Ile można zebrać od setki gapiów płacących po kilka miedziaków?

Dake zazwyczaj nabijał sobie kabzę, wykorzystując członków trupy w inny sposób. Wielu mężczyzn ciekawiło, jak to jest na posłaniu z kobietą-kotem. Pragnąc przeżyć taką przygodę, sięgali głębiej do sakiewek po długo skrywane srebro. Penz po mistrzowsku posługiwał się lassem i niejeden chciał się z nim zmierzyć. Obstawiano wtedy zwycięzcę konkursu, choć wynik rywalizacji był z góry przesądzony. Zielony karzeł mógłby stawać do zawodów w rzucaniu włócznią do celu. Olbrzymka z pewnością wzbudzi pożądanie w niektórych widzach płci męskiej, choć należałoby uważać, żeby nie wydała na świat potomstwa. Kogo zainteresowałby miniaturowy wielkolud?

Ale nawet w najmniejszych dziurach zabitych deskami, ludzie najbardziej podniecał hazard. Tam też mieszkali najtwardsi siłacze zahartowani ciężką pracą na roli i polowaniem. W takich osadach największych emocji dostarczały zakłady podczas zmagania osiłków. Prosty lud uwielbiał siłowanie się na ręce, walkę na pięści i zapasy. Dake widział już chłopów stawiających na swoich faworytów pięć-

dziesiąt srebrników, a nawet kilka złotych dukatów. I to w wioskach, gdzie ziemia, chaty i cały dobytek wydawały się niewarte garści miedzianików.

Ten, kto wystawiłby silnego i zwinnego zawodnika, mógłby dużo zarobić. Co prawda w Shadizarze same dziwolągi wywołują taką sensację, że zapaśnik nie będzie potrzebny. Z drugiej jednak strony, miejscy złodzieje bez wątpienia mogą postawić na walkę więcej niż wieśniacy. Ponadto, siłacz dobrze władający mieczem doskonale nadawałby się na strażnika bogactw, które Dake zamierzał zdobyć. Zwłaszcza siłacz zmuszony do lojalności mocą zaklęcia.

Co naprawdę potrafi Conan, to się dopiero okaże. Trudno ocenić czyjeś możliwości po samym wyglądzie, choć barbarzyńca z pewnością prezentuje się jak należy. Warto jednak poddać go kilku próbom przed wizytą w najbliższej wiosce.

Dake uśmiechnął się. Znów był z siebie zadowolony. Sprytny człowiek zawsze ma szansę wspięcia się na szczyt, jeśli tylko postępuje rozsądnie.

Wewnątrz wozu Conan przyglądał się towarzyszom niedoli. Z bliska wyglądali nie mniej dziwnie niż z daleka. Kobieta-kot siedziała obok czterorękiego mężczyzny. Rozmawiali szeptem. Wilkolak naciągnął kaptur i w ogóle się nie odzywał. Zielony karzeł drapał się w udo i szczyrzył w uśmiechu ostre zęby. Trójka olbrzymów sprawiała wrażenie przygnębionych. Brakowało tylko blondyna, który teraz powoził. Jedyne on nie wydawał się omotany siłą zaklęcia czarownoślego maga.

Teyle leżała wyciągnięta na prowizorycznym wyrku. Wtem przekreśliła się na bok i wsparła na łokciu.

– Sam uciekłeś z klatki mojego ojca? – spytała Conana.

– I owszem.

– Nie lada wyczyn – stwierdziła i po chwili milczenia dodała: – Cieszę się, że ci się udało.

Conan nie krył zaskoczenia.

– Dlaczego?

Zatoczyła ręką łuk, wskazując wewnątrz wozu.

– Teraz wiem, co to znaczy być więźniem. Nieprzyjemne przeżycie.

Cymmerianin skinął głową, ale nie odpowiedział. Kilkakrotnie przetrzymywano go wbrew jego woli, lecz za każdym razem tak samo

nienawidził zamknięcia. Żaden człowiek nie jest stworzony do życia w niewoli – czy to mężczyzna, czy kobieta.

– Co wiesz o czarnowłosym, który zwie się Dake? – zapytał w końcu.

– Ma jakąś magiczną moc – odrzekła Teyle.

– Lepiej wyjaw mi coś, czego jeszcze nie wiem.

– Jedziemy do Shadizaru. Dake chce tam pokazywać swoje ofiary jako wybryki natury. Zamierza skrzyżować nas i wyhodować jeszcze dziwniejsze istoty.

– Tak wam powiedział?

– Nie. Ale mówił o tym Kreg, ten jasnowłosy mężczyzna. Szydził z nas. Tro, Sab i Penz potwierdzili słowa blondyna.

Teyle przedstawiła Conanowi trójkę pasażerów. Zielony karzeł zwał się Vilken.

Cymmerianin zastanawiał się nad tym, co usłyszał, i rozważał, jak najlepiej wykorzystać zdobyte wiadomości.

– Ucieczka jest niemożliwa – odezwał się Penz, odgadując, co Conanowi chodzi po głowie. – Zakłęcie, które nas krępuje, jest zbyt silne. Nie pozwala nam skrzywdzić maga, ani sprzeciwić się jego rozkazom.

Conan przytaknął. To prawda, próbował walczyć z czarem i przegrał. Nawet teraz czuł na sobie niewidzialne więzy.

– Jestem więźniem Dake’a od pięciu wiosen – ciągnął Penz. – Tro i Sab od trzech. Ani razu moc zakłęcia nie osłabła. Nie sposób się od niego uwolnić.

– Mój ojciec zdoła tego dokonać – wtrącił Vilken, pokazując kły.

Cymmerianin spojrzał na karła. Zielony mikrus miał cuchnący oddech!

– Twój ojciec?

– A tak. Jest wodzem naszego plemienia. Przybędzie po mnie.

– Wydajesz się tego pewien.

– Nie może postąpić inaczej, jeśli chce pozostać wodzem.

Conan zamyślił się.

– Nasz rodzic też nas nie zostawi – powiedział Oren. Jego siostra Morja przytaknęła.

Cymmerianin popatrzył na Teyle. Ona również skinęła głową.

– Raseri nie pozwolą, by mali ludzie poznali położenie naszej wioski. I nie spocznie, póki nie odnajdzie trójki swoich dzieci.

Conan wzruszył ramionami.

– Ani zielonym karłom, ani wielkoludom nie będzie łatwo wędrować przez ziemie ludzi mojej rasy.

– Mój ojciec to najsprytniejszy z Vargów – pochwalił się Vilken.

– A mój jest dwakroć sprytniejszy od twojego, bestio – odparował Oren.

Karzeł pokazał kły i poruszył się, jakby chciał skoczyć na chłopca. Mały olbrzym uniósł się, by stawić czoło przeciwnikowi.

– Stójcie! – rozkazał Conan.

Młodzieńcy zamarli i spojrzeli na niego.

– Nic nie zyskamy, walcząc między sobą.

– Vargowie to tylko złośliwe bestie!

– A Jatte głupie góry mięsa!

– Dość!

Chłopcy z wrogich plemion przeszli się nienawistnym wzrokiem, po czym znów spojrzeli na Cymmerianina. Pierwszy przemówił Vilken.

– A kto cię wybrał na wodza, żebyś śmiał nam rozkazywać?!

Conan uśmiechnął się złowieszczo i zacisnął wielką pięść przypominającą mięsisty młot.

– Sam się wybrałem. Nie zamierzam spędzić reszty życia jako więzień w tym wozie. A zakłęcie Dake’ a nie powstrzyma mnie przed zrobieniem tu porządku!

Niedoszli zapaśnicy uznali widocznie, że lepiej nie doświadczyć na własnej skórze gniewu muskularnego barbarzyńcy. Bez słowa odступili od walki.

– A teraz... – rzekł Cymmerianin – chcę wiedzieć wszystko o Dake’ u i jego psie, Kregu.

Raseri rozpatrywał kilka sposobów doświadczenia porywaczy jego dzieci. Wreszcie wybrał jeden, jak mu się zdawało, najbardziej rozsądny. Odesłał swoich towarzyszy do wioski, a sam dotarł do skraju bagien i wyszedł na drogę w świetle małych ludzi. Logika podpowiadała olbrzymowi, że najlepiej będzie wędrować nocą, trzymając się utartych szlaków i unikając tubylców. Chyba że zajdzie potrzeba wypytania ich o zbiegów. Wielkolud z pewnością wzbudzi sensację, lecz nie tak wielką jak cała grupa. Zanim wieść o nim obiegnie okolicę, zdoła oddalić się na dużą odległość.

Nocna wędrówka była, rzecz jasna, niezbyt bezpieczna, lecz niewiele bestii mogło stawić czoło Jatte uzbrojonemu w długi, obsydia-

nowy nóż i wielką włócznię. Za dnia Raseri zamierzał spać w ukryciu. Pamiętał wygląd Conana, a innych uciekinierów miał nadzieję rozpoznać po śladach. W ciemności trudno byłoby podążać ich tropem, ale uważał, że nie zбочą z raz obranej trasy. Rozpytując od czasu do czasu tu i tam, bez wątpienia uda mu się iść właściwym szlakiem. Jeśli on rzuca się w oczy, to trójka dzieci tym bardziej. Ktoś musiał je zauważyć.

Kiedy już dogoni porywaczy, ułoży plan ataku. Ogólnie rzecz biorąc, postanowił wyrznięć małych ludzi i odebrać dzieci.

Znalazł ocienione miejsce i zatrzymał się w ukryciu, by spożyć pieczonego królika i suszone owoce, które wziął ze sobą. Potem ułożył się na spoczynek, aby doczekać zmroku.

Raseriemu podobał się plan pościgu. Nie był zbyt skomplikowany i pozostawiał mu możliwość manewru, gdyby zaszła potrzeba. Wódz Jatte z zadowoleniem zapadł z sen.

Fosull spędził w marszu cały ranek i zdążył odkryć, że uciekinierzy mają środek transportu. To ułatwiało mu zadanie – głębokie koleiny wozu widać dużo wyraźniej niż odciski stóp. Ciężar i szerokość pojazdu gwarantowały, że nie zjedzie z drogi, a przynajmniej pozostanie na twardym gruncie. Zatem dopóki będzie sucho, Varg tak zdolny jak Fosull nie zgubi tropu, choćby miał iść po śladach na koniec świata.

Co ciekawe, porywacze jego syna podróżowali z trójką Jatte. Wódz oceniał, że to jedna kobieta i dwoje dzieci. Owszem, ta dwójka zostawiała ślady wielkości ludzi pozabagiennych, co mogło zmylić mniej wytrawnego tropiciela, ale nie Fosulla. Znał obuwie Jatte jak palce swoich bosych nóg. Jeśli to nie olbrzymy, gotów jest napluć na grobowiec własnego ojca.

Czy Jatte odbywali tę podróż dobrowolnie, nie potrafił stwierdzić na pewno, ale uważał, że to mało prawdopodobne. Olbrzymy miały z ludzi pozabagiennych jeszcze mniejszy pożytek niż Vargowie – nawet nie zjadały tych, których złapały i zabiły.

Niedobrze. Co to za ludzie, skoro uprowadzili nie tylko Varga, ale i Jatte?

Fosull kilkakroć widział podróżnych zbliżających się z przeciwka. Opuszczał wtedy trakt i czekał w ukryciu, aż go miną.

Na rozstaju dróg przerwał tropienie zbiegów i skręcił ku małej osadzie.

Skupisko kilku chałup trudno było nazwać wsią. Skradał się teraz z wielką ostrożnością, pod wiatr, żeby nie wywęszyły go psy. Wreszcie wypatrzył to, czego szukał.

Na sznurze rozciągniętym między dwoma drzewami suszyło się w słońcu odzienie pozabagiennych. Varg przyjrzał się paru okryciom i wybrał odpowiednie dla siebie. Zanurzył się w wysokiej trawie i pod osłoną gęstych zarośli podpełzł bliżej. Poderwał się, podbiegł do sznura i porwał prawie suchą szatę z kapturem. Natychmiast rzucił się do ucieczki, gdyż jeden z psów zaczął wściekle ujadać. Ale Fosull zdążył się oddalić, zanim ktokolwiek sprawdził, co się dzieje. Gdyby zażarta bestia miała ochotę go ścigać, drogo zapłaciłaby za ten błąd. Diabłopsy to jedno, ale zwykły kundel to zupełnie co innego.

Znalazłszy się w bezpiecznej odległości od chałup, Fosull obejrzał zdobycz. Ręcznie tkane, brunatne odzienie było szorstkie i splewiałe. Szybko skrócił nożem rękawy oraz poły, żeby nie szargały się po ziemi. Kiedy przywdział płaszcz i postawił kaptur, tylko dłonie i bosa stopy zdradzały, kim jest. Zauważył gliniankę, zaczerpnął garścią muł, po czym nałożył maź na ręce i nogi. Jego ciało przybrało szarą barwę. Wśród ludzi pozabagiennych zdarzali się niscy mężczyźni, nawet karły, ale nikt nie miał zielonej skóry. Teraz musiał tylko uważać, by nie przyglądano mu się zbyt długo z bliska.

Wrócił na główny trakt i poszedł dalej po śladach wozu.

### XIII

Kiedy wóz stanął, Conan obudził się spocony.

Wewnątrz panował straszny zaduch. Gruba plandeka chroniła wprawdzie przed słońcem, ale nagrzewała się i nie przepuszczała powietrza.

Wszelkie próby wyrwania się z sideł magii spęły na niczym. Gdy tylko Cymmerianin ocknął się z drzemki, znów usiłował pokonać moc krępującego go zaklęcia, ale na próżno. Nie znalazł sposobu, by zmusić swoje nogi do ucieczki z ruchomego więzienia.

Czuł się tak, jakby związane go solidnymi linami. Tyle że zwykłe więzy można w końcu nieco rozluźnić; czar wciąż uniemożliwiał jakikolwiek ruch.

– Wychodzić! – rozkazał Kreg.

Pasażerowie posłusznie wygramolili się na popołudniowe słońce. Kiedy Conan zszedł ze stopnia, lekki wiatr zatargał jego czarną grzywą. Nareszcie na świeżym powietrzu. Co za ulga po dłuższym pobycie w dusznym pomieszczeniu. Na lewo od drogi rósł niewielki zagajnik, prawie pobocze zalegały głązy. Niektóre tkwiły w ziemi.

Znienawidzony Dake stał nie opodal i uśmiechał się szeroko do swych niewolników.

– Zorganizowałem dla was małe przedstawienie – oznajmił. – Nowy członek naszej trupy, choć nie obdarzony przez naturę tak szczerze jak reszta, posiada jednak swoisty wdzięk nieokrzesanego osiłka. – Z uśmiechem spojrzął na Cymmerianina, który przeszył dreczyciela zimnym wzrokiem. – Barbarzyńcy to waleczni ludzie. Wprawdzie duże mięśnie nie zawsze świadczą o wielkiej sile, lecz wierzę, że Conanowi jej nie brak.

Cymmerianin rzucił okiem na towarzyszy. Twarz Penza pozostała bez wyrazu. Vilken jak zwykle szczyrzył ostre zęby w uśmiechu. Czteroręki i kobieta-kot przyglądali się Dake'owi z wyraźną obawą. Bliźniaki gapily się na maga z zaciekawieniem, a Teyle stała z rękami skrzyżowanymi na olbrzymich piersiach.

– Widzisz tamten głaz? – spytał Dake, wskazując na potężny kamień. – Przynieś mi go, Conanie.

Cymmerianin znów spróbował oprzeć się magii, ale doznał uczucia, jakby jego nogi należały do kogoś innego. Posłusznie podszedł do bezkształtnego kamienia, który sięgał mu do kolan i był szeroki jak jego bary. Przykucnął i opasał mocarnymi ramionami kawał skały. Naprężył mięśnie ud i bioder, wyrwał ciężar z piachu i dźwignął do góry. Głaz ważył chyba tyle, co on.

Conan wyprostował się i ruszył w kierunku Dake'a. Gdy stanął obok maga, zobaczył wytrzeszczone oczy Krega.

– Bardzo dobrze! – pochwalił władca niewolników. – Możesz go położyć.

– Gdzie?

– Nieważne. Gdziekolwiek.

Conan najchętniej zmiażdżyłby głazem Dake'a, lecz wiedział, że maga chroni moc zaklęcia. Co nie oznaczało, że niewarto spróbować zaszkodzić wrogowi. Odwrócił się i cisnął wielki kamień w stronę Krega.

– Na jądra Seta! – wrzasnął asystent, rzucając się do ucieczki. Potknął się i omal nie runął jak długi. Utrzymał się jednak na nogach

i cudem uniknął przygniecenia ciężką skałą. Głaz opadł na ziemię z głuchym odgłosem. W powietrze uniósł się pył.

– Ty... ty barbarzyński durniu! O mały włos byś mnie trafił!

Uśmiech Cymmerianina przypominał grymas wilczej twarzy Penza. W istocie wilkołak i cała reszta też uśmiechali się z satysfakcją.

Nawet Dake nie mógł się powstrzymać.

– Całkiem nieźle – przyznał. – Ale bez wątpienia stać cię na więcej. Teraz przynieś tamten... – wyciągnął ramię.

Conanowi natychmiast spoważniała twarz. Drugi kawał skały nie tkwił wprawdzie w piachu, lecz był znacznie większy i zapewne o połowę cięższy.

Osiłek zabrał się do pracy. Głaz miał kształt koślawego grzyba, co umożliwiało wsunięcie ramion pod „kapeluszy”. Cymmerianin zebrał się w sobie, uniósł go trochę i wolno poczłapał z powrotem. Stał pą z wysiłkiem, ale nie włókł ciężaru po ziemi.

– Wspaniale! – zachwycił się Dake. – Postaw go... – spojrział na asystenta, potem na Conana –...tam. I uważaj, żebyś nie przestraszył Krega. Nie za blisko.

Gdy Cymmerianin opuścił głaz, blondyn popatrzył na mocarza z nienawiścią.

– Jeszcze jeden – powiedział mag. – Niech będzie tamten...

Conan powiódł wzrokiem za palcem Dake’a.

Skała przewyższała człowieka i z pewnością ważyła dwakroć tyle, co on. Zwęzła się ku górze i była całkiem gładka. Za co złapać taki obelisk? Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie widzę sposobu, by to podnieść.

– Musisz spróbować. No, dalej!

Conana ogarnęła wściekłość. Tego już za wiele! Nie jest psem, żeby mu rozkazywać!

Przez moment zdawało mu się, że moc zaklęcia słabnie. Poczul radość, lecz ukrył emocje. Czyżby coś rozluźniło magiczne okowy? Ale co?

Nagle czar znów omotał go z całą siłą. Nie miał innego wyjścia, musiał wykonać polecenie. Na zastanawianie się przyjdzie czas później.

Zadanie nie wyglądało na łatwe. Nie dość, że głaz był gładki, to jeszcze zbyt szeroki, aby opleść go rękami. Cymmerianin dumiał przez chwilę, wreszcie wpadł na pewien pomysł.

Naparł na szczyt kamienia, by go lekko przechylić. Udało się. Obszedł skałą i zaczął ją pchać z drugiej strony. Kiedy ją ruszył, wrócił na poprzednie miejsce.



W końcu obluzował głaz, wrośnięty w ziemię pewnie od wieków. Wiedział, że teraz musi wszystko dokładnie zgrać w czasie – mocno bujnąc skalny blok, okrążyć go szybko i podeprzeć plecami, zanim obelisk runie.

Zrobił, jak zaplanował. Gdy ciężar spoczął mu na grzbiecie, poczał bardzo powoli uginać kolana. Zniżał się coraz bardziej i podsuwał pod kamień.

Ostrożnie sprawdził, czy nie straci równowagi, wyciągnął ręce za siebie i przytrzymał boki masywnej skały leżącej na jego barkach.

Ledwo dźwignął głaz, zdał sobie sprawę, że się przeliczył. Blok ważył więcej, niż Conan się spodziewał. Jeśli źle stąpnie, ciężar go przygniecie.

Posuwając się krok za krokiem, pokonał w ślimaczym tempie odległość dzielącą go od władcy niewolników.

– Zdumiewające! – wykrzyknął Dake. – Myślałem, że ci się nie uda. Zrzuc to, nie chcę, żebyś zrobił sobie krzywdę.

Conan stanął prosto. Skalny blok zsunął się pionowo z jego pleców i zarył w piach. Przez moment zdawało się, że runie płasko, ale pozostał tylko lekko przechylony.

– Sab, Penz i Kreg do mnie!

Czteroręki, wilkołak oraz asystent przybiegli na wezwanie swego pana.

– Unieście ten kamień.

We trzech otoczyli wysoką skałę, próbując ją jakoś uchwycić, ale bez skutku.

– Przewróćcie go tak jak Conan.

Spróbowali. Lecz gdy głaz się przechylił, okazał się dla nich za ciężki. Mimo wysiłków, nie zdołali go utrzymać. Gruchnął o ziemię, wzbijając tuman kurzu.

– Dosyć – powiedział mag, po czym zwrócił się do Conana: – Istotnie jesteś bardzo silny. Znasz zapasy?

– Owszem – warknął Cymmerianin.

– A walkę na pięści?

– Co nieco.

– Masz wprawę w jednym albo w drugim?

– W obu.

– Świetnie! Doskonale! Wyczyścimy z pieniędzy wszystkie wioski stąd do Shadizaru! Będę cię wystawiał jako mistrza i zapewne zdążymy się wzbogacić, zanim dojedziemy do Miasta Złodziei!

Conan nie odezwał się. Niezbyt uśmiechał mu się udział w walkach, na które ludzie robią zakłady. Tym bardziej, jeśli zmuszała go magia. Z drugiej strony, lepiej być zawodnikiem i pozostać żywym, niż okazać się nieprzydatnym i umrzeć. Dopóki żyje, może uciec i wziąć odwet. Martwego czeka tylko droga do Szarych Krain, co gorsza, też za sprawą magii.

Trudno, będzie walczył, jeśli trzeba. Ale prawdziwym przeciwnikiem pozostanie Dake.

Fosullowi szło lepiej, niż się spodziewał. Kilku napotkanych pozabagiennych przyglądało mu się bacznie, lub wymieniało uwagi na temat jego niskiego wzrostu, ale nic poza tym. Być może zauważyli, że ostra włócznia to nie broń paradna – nosiła wyraźne ślady zużycia. W końcu, mały człowiek z dzidą wart jest tyle, co duży bez dzidy. Przynajmniej tak to widział Fosull.

Słońce stało wysoko, gdy za plecami Varga pojawił się wóz pełen beczek. Ciągnęły go cztery woły, a powoził zarośnięty grubas. Rude włosy na głowie i brodzie sterczały na wszystkie strony, niczym masa tłustych, kłujących kolców. Odziany był w wystrzępioną, skórzaną koszulę i także spodnie, a obie części garderoby błyszczały od tłuszczu nie mniej niż skołtuniona czupryna.

Fosull zszedł na bok, by ustąpić mu z drogi. Tymczasem wóz zatrzymał się, zamiast minąć piechura.

– Hej, mały wędrowcze! – pozdrowił Varga woźnica.

– Hej – odpowiedział wódz nieco podejrzliwie. Po co ten pozabagienny tłuszcioch stanął?

– Zdążasz do Eliki?

Fosull nie miał pojęcia, gdzie leży Elika, ani nawet, co to jest. Lecz wydawało mu się, że zawsze lepiej zdążać do konkretnego celu.

– A jużci – odkrzyknął spod kaptura.

– No to wskakuj. Jadę do tej wioski i z ochotą powitam towarzysza podróży.

Varg zastanowił się. Przed nim ciągnęły się ślady wozu porywaczy, a z pewnością łatwiej jechać niż iść. Grubas wyglądał życzliwie. Fosull wdrapał się na kozioł.

Tłusty woźnica popędził woły i pojazd potoczył się wyboistym traktem.

– Zwą mnie Balorem Bukłakiem, bo wożę wino, mały człowieczku.

– Fosull.

– Zatem, Fosullu, rad jestem cię poznać.

Jechali przed siebie. Balor gadał bez przerwy, najwyraźniej zadowolony, że ma słuchacza. Varg tylko potakiwał lub zachęcał woźnicę, by mówił dalej.

– Rzecz jasna, zbójów tu nie brak – ciągnął Bukłak. – Ale mam ja dla nich pod ręką moje żelazne maleństwo. – Sięgnął pod siedzenie i wydobył topór wojenny na krótkim trzonku. Broń była stara i zapewne niejedną raz przysłużyła się właścicielowi, o czym świadczyły szczyrby i rdza na ostrzu oraz zużyta rękojeść. Fosull mocniej ścisnął włócznię. Balor schował topór i roześmiał się.

– Wszelako ostatnio łotrów ździebko przetrzebiło. Pewnie słyszał o tych, co to ich usieczono dni temu kilka przy Korynthiańskim Trakcie?

Fosull nie słyszał. Balor miał więc okazję do wygłoszenia kolejnej, półgodzinnej opowieści. Otóż jedna z podlegszych band rzeźmieszków została wybita do nogi na wzgórzach. Ze szczątków pozostawionych przez wilki i sępy wynikało, iż większość pechowych opryszków zginęła od miecza. Jeden wszakże miał w ciele dziurę wielką niczym obwód męskiego ramienia.

– Pytam się ja, co mogło takową zrobić?

Fosull odparł, że nie wie. Balor wykorzystał to, by rozgadać się o rodzajach śmierci, jakie widział przez lata.

Varg westchnął. Wspomnienia nowego kompana wlokły się niczym ślimak po nierównej ścieżce. Ale jazda wozem była mniej męcząca i szybsza niż marsz. Ponadto, wódz miał nadzieję, że w towarzystwie jednego z ludzi pozabagiennych nie zwróci na siebie uwagi innych. Trudno, słuchanie nudnych historyjek to niezbyt wysoka cena za wygodę i bezpieczeństwo.

Po jakimś czasie Fosull odniósł dodatkową korzyść ze wspólnej podróży. Balor przyciągnął bowiem jedną z beczek, odszpuntował ją i zaproponował poczęstunek. Nie cierpiał pić sam, więc miał nadzieję, że Fosull nie odmówi wychylenia kilku kubków zacnego trunku.

Naturalnie Fosull nie odmówił.

Podróż stawała się coraz przyjemniejsza w miarę, jak człowiek i Varg osuszali kolejne kubki przedniego wina. Zdziwiający, jak napój z winogron potrafi podnieść na duchu.

W rzeczy samej, przyznał wódz, śmiejąc się i klepiąc kompana w plecy.

W rzeczy samej!

Raseri nie miał wprawdzie baśniowych, siedmiomilowych butów, ale długie nogi niosły go o połowę szybciej niż małego człowieka. Jak dotąd, nikt nie zaczepiał giganta, więc nie musiał zwalniać. Widocznie mali ludzie woleli nie wchodzić w drogę olbrzymowi z włócznią, bo mogli więcej stracić niż zyskać.

Na razie żaden podróżny nie prześcignął wodza Jatte, a podążający z przeciwka rychło znikali za horyzontem. Toteż, gdy doszedł do walącej się przydrożnej karczmy, był pewien, że nie dotarła tu jeszcze wieść o zbliżającym się wielkoludzie.

Raseri musiał mocno zgiąć kark, by przestąpić próg niskich drzwi. Na szczęście, chyląca się ku upadkowi chałupa miała wysoki dach, więc po wejściu wódz mógł się wyprostować.

Pojawienie się gigantycznego Jatte wzbudziło żywe zainteresowanie kilku biesiadników. Na ich twarzach odmalowały się różne uczucia: ciekawość, zaskoczenie i strach. Wódz ocenił, że pół tuzina mężczyzn to miejscowi chłopci lub pasterze. Ujrzał też dwie kobiety – starą babinę i wyzywająco ubraną młodkę. Domyślił się, że to sprzedajna dziewczka, gdyż słyszał o zwyczajach małych ludzi; wiedział, iż niektóre niewiasty dostarczają przyjemności za pieniądze.

– Cz-cz-czym... mo-mo-mogę... s-s-słuszyć?

Raseri spojrzał w dół na mówiącego. Brodaty mężczyzna miał opaskę na oku i liczne blizny na twarzy.

– Jadłem i napitkiem.

– Ma-ma-mamy baraninę i piwo. A także wino.

– Niech będzie.

Wódz sięgnął do sakiewki przy pasie i wydobył kilka miedzaków i srebrników odebranych swym byłym więźniom.

– Wystarczy?

Chciwe spojrzenie karczmarza powiedziało mu, że tak, zanim tamten zdążył się odezwać:

– O tak, z pewnością!

– Daj mi tyle, ile warte są te monety – rzekł Jatte. – Czego nie zjem i nie wypiję, zabiorę ze sobą.

– Już się robi!

Młodsza z kobiet przysunęła się do Raseriego i oblizała wyschnięte wargi, po czym zagadnęła nieco nerwowo:

– A nie potrzeba ci czegoś jeszcze, wielmożny panie olbrzymie?

– O czym mówisz?

Dziewczyna wskazała na siebie.

Dwaj mężczyźni pociągający piwo przy stole za plecami wodza wybuchnęli śmiechem.

– Marzycielka z tej naszej Feki, co? – ozwał się jeden.

– Eee... chyba nie – odparł drugi. – Może się jej poszczęści. Ja bym nie odmówił.

– Cha, cha, cha! Ty byś poszedł choćby z myszą!

Raseri przyjrzał się kobiecie.

– Potrzeba mi tylko strawy. I informacji. Przejeżdżał tędy duży wóz. Jak dawno temu?

Skinęła głową.

– A owszem. Wczoraj po południu. Dziwny człowiek powoził. Cały opatulony, w kapturze i rękawicach, choć taki gorący.

Jatte sięgnął do sakiewki i wręczył dziewczynie kilka srebrników.

– Za fatywę.

Dziewka rozpromieniła się.

– Dzięki stokrotne, mości panie wielkoludzie!

Raseri wzruszył ramionami i odwrócił się do karczmarza. Właściciel gospody przyniósł właśnie kilka pości zimnego, tłustego mięsa i beczułkę piwa. Olbrzym wpakował prowiant do worka przewieszzonego przez ramię. Posili się w drodze.

Jeśli wóz ma przewagę tylko jednego dnia, łatwo go dogoni, bo woły są wolniejsze niż on. Wędrując nocą, doścignie zbiegów jeszcze prędzej, gdyż mali ludzie rzadko ryzykują podróż po zmroku, nawet dobrze oznakowanymi szlakami. Wielkolud to co innego – niekoniecznie musi się obawiać tego, co oni.

Owszem, napędził stracha bywalcom karczmy, ale gdyby napotkał tuzin uzbrojonych małych ludzi, byłoby inaczej – nie ulękliby się samotnego giganta.

Siła nie zawsze tkwi w wielkości, czasem w liczebności.

Raseri opuścił gospodę i pomrukujących klientów. W marszu przeżuwał kawały baraniny i popijał piwem. Beczułkę trzymał, niczym mały człowiek kufel. Pominąwszy powód wyprawy, uważał ją za pożyteczną. Dawno nie przebywał wśród małych ludzi, a zawsze można się nauczyć czegoś nowego. W końcu, wiedza to potęga.

## 14

Dake od kilku lat nie odwiedzał Eliki, niewielkiej wioski oddalonej o pół godziny drogi na południowy zachód od głównego trak-

tu. Wóz ledwo mieścił się na wąskim gościńcu. Sioło położone było w zakolu rzeki Illitese, szerokiego szlaku wodnego zasilanego licznymi strumieniami spływającymi z południowych zboczy gór Kar-pash i przybierającymi podczas wiosennych roztopów.

Kreg wolno prowadził skrzypiący pojazd między rzędami przydrożnych drzew o białej korze. Miejscami drzewa rosły tak gęsto, że korony tworzyły sklepienie nad głowami podróżnych. Okoliczny grunt był żyzny, a klimat przez cały rok na tyle ciepły, że uprawiano tu głównie winogrona. Urodzajne winnice zapewniały ciągłe dostawy owoców miejscowym wytwórcom szlachetnego trunku. Mieszkańcy Eliki trudnili się również rybołówstwem, sadownictwem i pracą na roli. Nie należeli do wyjątkowo zamożnych, ale wiodło im się niezgorzej. W przeciwieństwie do wielu podupadających wiosek, Elika miała się czym pochwalić. Żyli tu silni ludzie, co oznaczało, że nie cierpią na brak pożywienia.

Zanim wóz wtoczył się do wsi, wieść o przyjeździe trupy obie-gła wszystkie chaty. Kobiety, mężczyźni i dzieci wylegli tłumnie na powitanie.

Gdy Dake wynurzył się z pojazdu, Kreg pospiesznie wyciągnął grubą dechę, która była umieszczona pod podwoziem. Odgiął składane nogi i ustawił prowizoryczne podium wzdłuż burty wozu.

Mag, wspiąwszy się na wąską platformę, stanął twarzą do gapiów.

– Przyjaciele! Oto przybył do was Władca Dziwów Natury, by dostarczyć wam rozrywki jakiej jeszcze nie mieliście! – Rozpostarł ramiona, po czym wolno złożył dłonie i ciągnął dalej donośnym głosem: – Dzisiejszego wieczoru za kilka miedziaków zobaczycie cuda, jakich jeszcze nie widziały oczy zwykłego człowieka! Ujrzycie bowiem zielonego karła kanibala z dalekich dżungli Zembabwi! Nacieszycie się widokiem Tro, czyli kobiety-kota! Oraz Penza, którego matką była wilczyca, a ojcem hultaj i zabijaka! Jak również Saba, mężczyzny o czterech ramionach! A z odległych krańców świata, aż zza ziem Khitai, przywożem wam olbrzymy! – Dake z uśmiechem popatrzył na rosnący tłum. – Przyjaciele. Jednym z moich gigantów jest kobieta tak wielkiej urody i o kształtach tak ponętnych, że nawet ślepiec gapiłby się na nią bez końca. – Mrugnął porozumiewawczo do widzów. Kilku mężczyzn roześmiało się głośno. W lot pojęli, że szykują się dwa przedstawienia: – jedno dla wszystkich, drugie dla tych, którzy zapłacą ekstra. – A oprócz tych cudów nie znanych cywilizowanemu światu... – mag podniósł głos – przywożem Conana

z Cymmerii, barbarzyńskiego wojownika z mroźnej północy, zapaśnika i boksera, zwyciężcę ponad stu walk! Conan zaprasza każdego chętnego, by się z nim zmierzył! A jeśli znajdzie się wśród was taki, który go pokona, otrzyma od mistrza dwa złote solony!

Zapowiedź wywołała żywe poruszenie. Większość mężczyzn widziała nagie kobiety, czasem jakieś wybryki natury, ale wezwanie do obstawiania zakładów podziałało na nich jak woń smacznego jedła. Zawsze znajdzie się dureń o zbyt małym mózgu, a nadto dużych mięśniach, gotów walczyć z każdym o pieniądze. Dake widywał już głupców wchodzących między liny ringu, by stawić czoło niedźwiedziowi lub gorylowi dla samego dreszczyka emocji. Wieść o złocie z pewnością zwabi miejscowego czempiona.

Kiedy właściciel menażerii zauważył, że jego słowa przyciągają coraz więcej ludzi, począł jeszcze gorliwiej zachwalać wieczorny spektakl. Jednocześnie myślał o niezbędnych przygotowaniach. Plac oświetlił tyle pochodni, by każdy miał możliwość dokładnie zobaczyć dziwolągi. Do Krega będzie należało pobieranie opłat. Asystent musi dopilnować, żeby wszyscy widzowie sięgnęli do sakiewek, zanim Dake rozpocznie przedstawienie. Potem mag pokaże kilka sztuczek iluzjonistycznych, może nawet wywoła czerwonego demona, deszcz ropuch, czy sztuczny pożar. Następnie pojedynczo wyjdą jego okazy, a on opowie fantastyczną historię każdego z mutantów. Oczywiście kobiety-koty czy wilkołaki zawsze były zdumiewające same w sobie, ale reszta wzbudzi jeszcze większe zainteresowanie, gdy Dake dorzuci zmyśloną opowieść.

Po zaspokojeniu ciekawości widowni, wiejskie kobiety zostaną odesłane do domów, a on zdecyduje, czy pokazać mężczyznom Tro i Teyle bez odzienia. Za słoną opłatą chętni poznają je bliżej w zacisznym wnętrzu wozu. Być może dla miejscowych cena okaże się zbyt wygórowana, ale nie zaszkodzi zaproponować miłosnych usług kocicy i olbrzymki. W Shadizarze bez wątpienia wielu stać na spełnienie takich zachcianek.

Ogrodzona arena posłuży potem za ring i Conan zmierzy się z miejscowym śmiałkiem, który podejmie wyzwanie. To oczywiście na końcu, bo dobra walka to gwóźdź programu. Nad ranem Penz mógłby wziąć udział w konkursie posługiwania się lassem, a Vilken w zawodach rzucania włócznią do celu. Karzeł uważa się za mistrza; warto sprawdzić, czy to prawda, zanim zejda się ludzie.

Tak, ten postój z pewnością będzie udany. Dake znał się na rzeczy i ocenił, że wizyta w wiosce bardzo się opłaca.

– Cuda, przyjaciele, same cuda! Rzeczy, których sobie nawet nie wyobrażacie! Tylko dzisiaj! Kto ich nie zobaczy, będzie żałował do końca życia!

Conan słuchał Dake'a z wnętrza wozu.

– Łże jak pies! – orzekł.

– To jasne.

Cymmerianin spojrział na Penza. W głosie wilkołaka dzwięczała wyraźna pogarda.

– Moja matka miała tyle wspólnego z wilczycą, ile jego. Była córką szlachcica z Argos. Zgwałcił ją rodzony brat, przez co mój wuj stał się zarazem moim ojcem. Prawda, że lubił zabijać, ale we mnie jest coś z prawdziwego wilka.

Milcząca zazwyczaj Tro odezwała się nagle: – Wszyscy wyglądamy dziwnie, ale to nic nadprzyrodzonego, po prostu wybryk albo pomyłka natury.

Teyle też się wtrąciła: – O nie, moich przodków stworzyła magia. Lecz to było tak dawno temu, że nikt z żyjących członków naszego plemienia nie doświadczył tego na sobie.

– Niewykluczone – powiedział Sab. – Ale widziałem już olbrzymów takich jak ty, zrodzonych z matki i ojca zwykłego wzrostu. Sam dar życia można by nazwać magią, a jednak nie potrafisz latać jak ptak, pływać pod wodą jak ryba, ani pograżyć się w głębokich czeluściach Gehenny niczym demon.

Teyle skinęła głową.

Vilken roześmiał się.

– Nie, ale gdyby moje plemię ją złapało, pograżyłaby się w głębokich czeluściach wielkiego kotła i stała się tym, czym życzą sobie bogowie... – gorącą strawą dla Vargów!

Oren zamachnął się na karła otwartą dłonią. Trafił go tylko w ramię, ale to wystarczyło, by żabowaty zleciał ze stołka i rozciągnął się jak długi na podłodze. Zielonoskóry zerwał się na równe nogi i chwycił włócznię.

Conan był szybszy i złapał za drzewce.

– Stój! – krzyknął.

– Zadżgam to rzeźne bydło!

– Siadaj albo pożałujesz.

Zielony człowieczek kipiał z wściekłości. Chłopiec-olbrzym stał z zaciśniętymi pięściami i z trudem hamował gniew.



– Niech ta żaba drzewna tylko spróbuje! – wysapał z furią. – Tak się z nią rozprawię, że zeżre ten szpikulec!

– Ty też siadaj – rozkazał mu Conan spokojnie, lecz stanowczo. – Bo ci przyłożę.

– Jestem taki duży jak ty!

– I co z tego? Usiądź.

Oren tracił panowanie nad sobą. Zdawało się, że zaraz runie na Conana albo na Vilkena. Cymmerianin na wszelki wypadek przygotował się do odparcia ataku.

– Zrób, co ci kazał Conan – wtrąciła się Teyle.

– Ale... ale przecież sama słyszałaś, siostrze, że ten zielony zwierzak nas obraził!

– Tutaj i teraz Vilken nam nie zagraża. Wspólnym wrogiem nas wszystkich jest Dake. Chcesz spędzić resztę życia w tym wozie? Być zmuszonym do spania z własnymi siostrami, by potem wydały na świat pokraczne dzieci, które też zostaną niewolnikami?

Gniew uszedł z Orena niczym resztki życia z konającego. Posłusznie przysiadł na brzegu łoża.

Teyle przeniosła wzrok na Vilkena.

– A ty, Vargu? Zamierzasz do końca swych dni popisywać się przed tłumem małych ludzi na rozkaz kogoś takiego jak Dake?

Karzeł też nieco ostygł. Pokręcił głową.

– Mój ojciec mnie nie zostawi.

– Być może. A na razie, kto jest twoim sprzymierzeńcem?

Mikrus westchnął. Wreszcie po dłuższej chwili wrócił na miejsce.

Conan był pod wrażeniem przemowy Teyle. Nie wątpił, że potrafiłyby okiełznać obu młodzieńców, ale ona uspokoiła zapaleńców nie podnosząc nawet głosu. Jej słowa widać trafiły im do przekonania. Poczul na sobie spojrzenie olbrzymki, odwrócił się i skinął głową na znak aprobaty. Zawsze chętnie obdarzał zaufaniem tych, którzy na to zasługiwali. Zwłaszcza wtedy, gdy dokonali czegoś w sposób, w jaki on by nie postąpił.

Teyle uśmiechnęła się do niego i również skinęła głową.

W porządku. Chwilowy problem został rozwiązany, ale co przyniesie najbliższa przyszłość?

Cymmerianin doczekał się odpowiedzi już po kilku godzinach. Dake zagonił całą trupeę do roboty. Należało oczyścić duży krąg zie-

mi znajdujący się o kilka minut spaceru od środka wioski, a potem otoczyć plac pochodniami. Kreg trzymał miejscowych ciekawskich z daleka.

Kiedy zapadł zmrok, arena została przygotowana. Mag nakazał podwładnym kąpiel w rzece. Conan zdjął odzienie bez oporów, lecz zauważył, że nagość wyraźnie peszy Tro i Teyle. Nie widział ku temu powodu, bo nie miały się czego wstydzić. Wprawdzie ciało pierwszej pokrywała krótka, miękka sierść, a druga była wielkiej postury, ale obie należały do najzgrabniejszych kobiet, jakie zdarzyło mu się oglądać. Smukłych, kształtnych sylwetek nie szpeciła ani jedna fałdka tłuszczu. Musiał przyznać, że jest na co popatrzeć. Na szczęście zimna woda skutecznie ostudziła jego męskie zainteresowanie, z nim stało się zbyt widoczne.

Czyści i nieco odświeżeni wrócili do wozu. Na wieczerzę spożyli zimne mięso i owoce podobne do jabłek. Posiłek popili łagodnym, białym winem, które Kreg wycyganął od wieśniaków.

Conan nie obzerał się, brał małe ilości jedzenia i ledwo sączył napitek. Dobrze wiedział, że pełny żołądek przeszkadza w walce, a nadmiar trunku skłania czasem do zbyt szybkiej brawury, nigdy zaś nie dodaje sprytu.

Z zewnątrz dochodził przytłumiony gwar zbierającego się tłumu. Cymmerianin ocenił, że przedstawienie już przyciągnęło sporo ludzi.

W końcu do publiczności wyszedł Dake. Stał na platformie i zaczął opowiadać o dalekich krainach, osobliwych plemionach, ludzkich i zwierzęcych wynaturzeniach. Podnosił, to znów zniżał głos. Gawiedź słuchała w milczeniu, czasem tylko śmiała się z jakiegoś dowcipu.

—... i rozstały się niebiosy! Patrzcie!

Wśród wieśniaków zapanowało poruszenie. Jedni wybuchnęli śmiechem, inni krzyknęli ze zdumienia.

Na dach wozu spowały się małe przedmioty. Spadały z plaśnięciem niczym grudki błota, a plandeka ugięła się od uderzeń.

– Myślałem, że to iluzja – powiedział Conan.

– Iluzja poniekąd zmaterializowana – uściślił Penz. – Wyglądają jak prawdziwe i można ich dotknąć, tylko bardzo szybko znikają.

Znów zagrzmiął bas Dake'a:

– Nie lubicie ropuch?! Zatem przyglądajcie się! Każę im się wynosić tak, jak je przywołałem!

Przez ciżbę przebiegł głośny szmer uznania.

Do wozu zajrzał Kreg.

– Wychodzisz pierwsza, Tro. Potem Penz, Sab, Conan, Vilken, olbrzymy. I nie ociagać mi się!

Conan skupił uwagę na asystencie i nie dosłyszał słów maga. Do uszu barbarzyńcy doleciał jedynie koniec zapowiedzi:

–... toteż, przyjaciele, przedstawię wam teraz piękną i zadziwiającą Tro! Oto kobieta, która jest zarazem kotką!

Tro rozsunęła kurtynę w drzwiach i wyszła. Zaskoczona publika wstrzymała oddech, potem rozległy się okrzyki podziwu.

Na wybiegu pojawiali się kolejno następni. Cymmerianin chętnie roześmiałby się w głos, słysząc łgarstwa o sobie płynące z ust maga. Ale nie pozwalało mu zakłęcie. Tymczasem Dake opowiadał, jak Conan pokonał w stu walkach mężczyzn, dzikie bestie, a nawet demony. To prawda – wszystkie te istoty stawały już Cymmerianinowi na drodze. Z jednymi rozprawił się mieczem, z innymi gołymi rękami. Zwyciężył też prawdopodobnie więcej wrogów niż ktokolwiek inny. Ale historyjki maga czyniły z Conana bohatera większego od bogów. Słuchając opowieści, można by pomyśleć, że potrafiłby w pojedynkę pobić całą armię i to jedną ręką, bo drugą przechylałby w tym czasie kufel piwa. W dodatku nie straciłby choćby włosa na głowie i nie zdążyłby się nawet spocić.

Vilken wysłuchał podobnych bredni o sobie. Ale zuchwale błysnął zębami i zrobił taką minę, jakby to wszystko było prawdą i rozpamiętywanie jego czynów sprawiało mu przyjemność.

W końcu przyszedł czas na trójkę olbrzymów i to oni wywarli na tłumie największe wrażenie, zwłaszcza Teyle. Conan zauważył, że niektórzy mężczyźni gapią się na nią z rozdziawionymi ustami. Nietrudno było zgadnąć, o czym myślą.

W stosownej chwili wiejskie kobiety poczęły się rozchodzić. Wiele zabierało ze sobą mężów, choć ci niechętnie opuszczali plac. Próbowali protestować, lecz krewkie niewiasty siłą zmusiły ich do posłuszeństwa. Gdy tłum przeredził się znacznie i pozostała jedynie męska część widowni, Kreg przystąpił do pobierania dodatkowych opłat. Każdy chętny wysuwał z sakiewki żadaną kwotę, wtedy Dake kazał Tro i Teyle zrzucić odzienie i paradować nago przed uśmiechającymi się poządliwie widzami.

Conan nie posiadał się z oburzenia. Owszem, sam przyglądał się kobietom, ale w kąpieli to co innego. Poza tym, jego też zmuszono do rozebrania się; one i on byli niewolnikami. Natomiast pokazywanie

ich za pieniądze tym lubieżnym, wiejskim przyglupom całkowicie roz-  
wścieczyło Cymmerianina. To nie sprzedajne dziewczki! Nieszczęsne  
istoty nie mogą się temu sprzeciwić, a Dake nabija sobie kabzę!

Mag widocznie uznał, że wystarczy już sprośnych uwag, bo za-  
kończył pokaz i kazał kobietom się ubrać.

– Nacieszyliście oczy, a teraz pora na inną rozrywkę. Czy jest  
wśród was śmiałek, który zechce stawić czoło niepokonanemu bar-  
barzyńcy? – zapytał, wskazując Conana. Cymmerianin był tak roz-  
sierdzony, że wcale nie musiał udawać groźnego.

Wieśniacy roześmieli się i porozumieli między sobą. Do uszu  
Conana dotarło imię „Deri”.

Tłum rozstał się, by przepuścić wybrańca ludu.

Miejscowy osiłek górował posturą nad Cymmerianinem i wy-  
glądał na tęgiego zabijakę. Miał krzywy, złamany nos, podbródek  
i jeden policzek poznaczony bliznami i brakowało mu pół ucha. Skó-  
rzana kamizelka opinała tors owłosiony gęsto niczym u Penza. Buj-  
ne włosy porastały też inne odkryte części ciała. Ciemna, skołtuniona  
czupryna i długa broda błyszcząły od tłuszczu. Pod obwisłym brzu-  
chem siłacz nosił postrzępione, wełniane portki przewiązane szarfą.  
Bose stopy były czarne od brudu, a włochate łydki przypominały  
futrzanę buty.

Po szerokości masywnych ramion Conan ocenił, że Deri zwykł  
dźwigać nie lada ciężary. Potężne łapska pokrywała wprawdzie war-  
stwa tłuszczu, lecz pod nią napinały się stalowe mięśnie.

Deri pokazał w uśmiechu szczerbę po dwóch górnych, przed-  
nich zębach.

– Dajcie tu tego mistrza! Nie widzi mi się, że umie walczyć! Za  
gładki! Bardziej to baba niżli chłop!

Gapie skwitowali dowcip wybuchem wesołości.

– Jesteś zapaśnikiem czy bokserem, przyjacielu Deri? – zapytał  
Dake.

– Mnie tam bez różnicy... – wzruszył ramionami wiejski siłacz. –  
Wszystkie chwyt dozwolone.

– A więc, załatwione! – ogłosił mag. – Dwa złote solony dla  
zwycięzcy!

Wyciągnął zza pasa dwie błyszczące monety i uniósł w palcach.  
Złoty kruszec zamigotał w blasku pochodni.

– Przecie wiadomo, że ja je dostanę. – Deri odwrócił się i wy-  
szczerzył do kompanów przerzedzone zęby. Któryś klepnął go w ra-  
mię, inni skwapliwie przytaknęli.

– Zobaczymy – odrzekł Dake. – Może ktoś z was, dobrzy ludzie, zechce obstawić walkę? Tak jestem pewny swego mistrza, że proponuję... powiedzmy... dwa do jednego. Co wy na to?

Zachęceni mężczyźni ruszyli ku magowi, potrząsając monetami. Conan ujrzał w ich dłoniach miedziaki, kilka srebrników, nawet małe sztuki złota.

– Spokojnie, przyjaciele, powoli... Mój asystent, Kreg, będzie przyjmował zakłady. Wybierzcie spośród was kogoś do trzymania kasy.

Przez kilka minut trwało zamieszanie. Dake odciągnął Conana na bok. Cymmerianin rozebrał się, został tylko w przepasce na biodrach. Wówczas czarownik powiedział:

– Nie rozpraw się z nim zbyt szybko. Daj się powalić raz lub dwa. Wtedy zaproponujemy trzy do jednego i wyciągniemy od nich resztę pieniędzy.

Conan patrzył, jak Deri zrzuca odzienie.

– To nie jest przeciwnik, którego można lekceważyć – zauważył kwaśno.

– Nieważne.

– Tak? To nie ty staniesz naprzeciw niego.

– Wierzę w ciebie, Conanie. – Dake klepnął Cymmerianina w twarde, mocarne ramię. – Widzisz, Deri walczy dla pieniędzy. Jeśli przegra, będzie po prostu równie biedny jak przedtem. Ale jeśli ty dasz się pokonać, całkowicie cię unieruchomię, a Kreg poćwiczy na tobie cięcia mieczem.

## XV

Balor najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, by uchodzić za przykład zgubnych skutków nadużywania wina. Legł półprzytomny w tyle wozu pośród beczek. Niewygodna poza najwyraźniej mu nie przeszkadzała w pijackiej drzemce. Budził się tylko wtedy, gdy koła wpadały w głęboką dziurę lub najeżdżały na wystający kamień. Przy takich okazjach wydierał się ochryłym głosem:

– Bądźcie przeklęte, wszystkie córki Ophiru i wasze matki też!

Fosull nie odczuwał żadnych dolegliwości, a jedynie ciepło i przyjemne oszołomienie. Uśmiechał się pod kapturem i kręcił głową. Bukłak musiał widocznie przeżyć jakieś niemiłe przygody z kobietami z Ophiru.

Varg był zadowolony, że powozi. Kilka godzin wcześniej minęli gospodę, ale zwolnili tylko trochę. W strumieniu obok traktu woły ugasiły pragnienie, a wódz nałożył świeże błoto na twarz i ręce; stare już wyschło i zaczęła spod niego wyłazić zielona skóra. Balor spił się niczym mucha sokiem zgniłego mango i nawet nie zauważył krótkiego postoju.

Fosull nie miał pojęcia, jak daleko jeszcze do Eliki. Zanim Bułak oddał się we władanie bogom wina, wódz zdążył się tylko dowiedzieć, że to mała osada w bok od głównej drogi.

Nieważne. Ślady wozu porywaczy wciąż były widoczne i Varg zamierzał podążać nimi, aż doścignie zbiegów. Gdyby minęli skręt do Eliki, trudno. Jeśli Balor wytrzeźwieje na czas, wskaże, którądy jechać. W przeciwnym razie Fosull będzie zmierzał wprost do celu.

Pod wieczór poczuł na twarzy podmuchy wilgotnego wiatru; zanosilo się na deszcz.

Z tyłu niebo rozjaśnił krótki błysk. W chwilę później przetoczył się grzmot. Fosull wiedział, że goni ich burza i jest szybsza niż zaprzęg.

Niedobrze. Zwierzęta pociągowe mogą się wystraszyć. Wódz nie był pasterzem i nie znał się na bydło. Lepiej schronić się gdzieś przed ulewą i uwiązać woły. Poza tym, choć Varg to nie mrówka i deszcz nie zmyje go z powierzchni ziemi, z pewnością splucze błoto z jego skóry. Ostatecznie, razem z pijanym Balorem wleżą pod wóz, ale lepiej znaleźć chatę, grotę lub choćby gęsty zagajnik czy zarośla.

Dziad Fosulla nauczył go oceniać, jak daleko jest burza. Wymagało to umiejętności liczenia. Wprawdzie żaden Varg nie opanował biegle tej sztuki, ale wódz potrafił skorzystać z palców u rąk i nóg. Kiedy zobaczy się błyskawica, trzeba zacząć odliczanie. Jeśli zdąży się dojść do ostatniego palca, licząc bez pośpiechu, znaczy, że deszcz lunie za dziesięć minut. Fosull nie miał pojęcia, dlaczego tak jest, ale metoda nieraz się sprawdzała. Jeżeli uda się policzyć mniej palców, burza nadciągnie szybciej. Będzie szukał kryjówki, dopóki nie oceni, że deszcz jest dziesięć minut za nimi. Wtedy przywiąże woły, obudzi Balora i wejdą pod wóz. Chyba że trafi się lepsze schronienie.

Ale bardziej niż przemoknięcia Fosull obawiał się czegoś innego – co stanie się ze śladami wozu porywaczy po przejściu ulewy. Rzęsisty deszcz zmyje koleiny. No cóż... nic na to nie poradzi, bę-

dzie się martwił później. Vargowie nie mają wpływu na pogodę, mimo ofiar składanych czasem przez szamana słońcu i bogom.

Powietrze coraz mocniej pachniało deszczem.

Pierwsze krople dżdżu spadły, gdy Raseri podchodził do rzadkiego młodniaka nie dającego dostatecznego schronienia. Wódz znalazł się na pogodzie jak każdy Jatte – w wiosce rolników i myśliwych taka wiedza bardzo się przydawała. Oceniał, że nadciągająca burza szybko minie, choć będzie gwałtowna.

Dobry obsydianowego noża i naciął gałęzi, po czym prędko sklecił szałas pod niskim drzewem na skraju zagajnika. Prowizoryczną konstrukcję celowo ułokował z dala od wysokich drzew. Powszechnie wiadomo, że bogowie czasem ciskają gromy na najwyższe obiekty w okolicy, zapewne po to, by nauczyć je pokory. Wódz Jatte nie zamierzał usmażyć się w blasku błyskawicy. Widział kiedyś ziomka rażonego piorunem; nieprzyjemny widok.

W kilka minut pokrył skośnie ustawione i związane gałęzie grubo utkaną strzechą. Nie spodziewał się, że taki dach wytrzyma wielką nawałnicę, ale też nie powinien całkiem przesiąknąć. Lepiej, żeby kapalo na głowę, niż przemoknąć do suchej nitki i zmarznąć.

Zanim na dobre zaczęło padać, Raseri wpełznął na czworakach do szałasu. Błyskawica rozdarła ciemność i rozległ się huk grzmotu, lecz widocznie bogowie postanowili oszczędzić giganta. Pobliskie drzewo rozpadło się od uderzenia pioruna i wokół rozszedł się śwąd. Łało już jak z cebra, ale nawet ulewa nie oczyściła powietrza z odoru wrzących soków roślinnych.

Parszywa noc, pomyślał wódz. Był szczęśliwy, że ma jakie takie schronienie.

Wieśniacy zgromadzili się niemal co do jednego na placu przy wozie Dake'a. Nie mogli się doczekać rozpoczęcia walki. Nadciągająca burza wzmagala napięcie wokół ringu. Conan czuł na sobie podmuchy wiatru, widział błyski i słyszał grzmoty. Ale pogoda niewiele go obchodziła, gdy stanął na wprost przeciwnika. Bacznie śledził, jak tamten zaczyna zachodzić go z prawej, i począł posuwać się w lewo. Chybotliwe płomienie pochodni rzucały dość światła, by wyłowić z mroku każdy ruch wiejskiego osiłka.

Cymmerianin, który stoczył już niejedną zwycięską pojedynek, związał rzemykiem włosy z tyłu głowy, by Deri nie złapał go za czuprynę. Wielkie chłopisko sprawiało wrażenie silnego, ale wolnego, choć nie należało zbytnio liczyć na jego brak szybkości.

Deri zamarkował chwyt za prawy nadgarstek Conana i chciał przeciwnika zmylić pozorowanym kopnięciem w głowę. Cymmerianin uchylił się, skoczył naprzód i pchnął go dwiema rękami w ramię.

Siłacz zatoczył się i celowo upadł, chroniąc się przed atakiem. Przeturlał się błyskawicznie i zerwał na nogi.

Wbrew pozorom był szybki i potrafił padać. Conan postanowił to zapamiętać.

Deri wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tylko tyle umiesz, panienko?! Człek ma więcej utrapienia z komarami niżli z tobą!

Lubił gadać. Niektórzy bezustannie paplają podczas walki. Conan wolał oszczędzać energię, zamiast marnować ją na słowa. Chyba że urąganie mogło mu zapewnić przewagę. Czasem wytrącony z równowagi przeciwnik popełnia błąd.

– To nie ja tarzałem się w piachu – odparował.

Deri roześmiał się.

– Trza się rozluźnić, no nie?

Conan zataczał krąg w prawo. Drwiny nie dotrą do tego zakutego łąba.

Siłacz zmienił pozycję. Niby chciał ruszyć w prawo, ale nagle schylił się, wyciągnął łapska i skoczył prosto.

Cymmerianin zrobił unik i zwinął prawą pięść, by zdzielić czempiona w pochyloną czaszkę. Chybił i walnął w zgięte plecy, tuż pod prawą łopatkę. Miał wrażenie, jakby uderzył w pień drzewa obciążony skórą.

Deri chrząknął, zanurkował i znów się przeturlał. Poderwał się i obrócił.

– Toż moja siostra ma bardziej krzepki kułak!

– Trza się rozluźnić, no nie?

Osilek znów się wyszczerzył.

– Już ja ci rozluźnię kości, barbarzyńco!

Conan uznał, że lepiej trzymać na dystans przeciwnika większego i może silniejszego od siebie, unikać zwarcia i wymierzać ciosy lub kopniaki z bezpiecznej odległości.

Deri rzucił się naprzód, próbując chwycić wojownika z menażerii maga.



Cymmerianin uskoczył i trafił napastnika pięścią w lewy łuk brwiowy. Skóra pękła od ciosu, ale to nie powstrzymało szarzy. Osilek zmienił tylko kierunek natarcia.

Conan cofał się szybko. Wtem usłyszał głos Dake'a"

– Zostań na ringu! Kto wyjdzie poza linie, ten przegra!

Barbarzyńca spojrzął pod nogi, szukając wyznaczonej granicy ringu i drogo za to zapłacił.

Nisko pochylony Deri dopadł go i oplótł ramionami w pasie.

Cymmerianin grzmotnął siłacza pięściami w plecy, ale niewygodny kąt osłabił uderzenie.

Deri wyprostował się, dźwignął Conana do góry i cisnął w powietrze.

Cymmerianin też wiedział co nieco o padaniu. Lecz gdy próbował zwinąć się w kłębek przy lądowaniu, pechowo uderzył ramieniem o twardy grunt. Zerwał się, skoczył przed siebie i zrobił dwa przewroty w przód.

Zaskoczył przeciwnika. Deri spodziewał się, że Conan zaatakuje z pozycji stojącej. Tymczasem Cymmerianin omal nie zwałił go z nóg.

Błysnęło się i prawie równocześnie huknął piorun.

– Na Mitrę! – wykrzyknął ktoś.

Grzmot na moment odwrócił uwagę Deriego. Conan opuścił lewe ramię i natarł. Trafił przeciwnika w pierś.

Pchnięcie było tak silne, że osilek rozciągnął się na ziemi jak długi. Conan z rozpędu o mało nie nadepnął leżącego mężczyzny. Musiał przeskoczyć nad powalonym cielskiem.

Deri szybko wstał, ale już się nie uśmiechał.

Zaczęło padać. Deszcz momentalnie zamienił się w ulewę.

Na Croma! Istny potop! Cymmerianin ścierał wodę z oczu, by dostrzec rywala. Na szczęście nie mieszała się z krwią jak u Deriego.

Kiedy przesuwiał się obok Dake'a, usłyszał za plecami jego szept:

– Starczy tej zabawy, Conanie. Wykończ drania. W deszczu to zabawa nie walka.

Conan udał, że nie usłyszał. Zabawa? Dobrze sobie! Ten wieśniak ma siłę byka! Jeśli założy mocny chwyt...

Myśl przerodziła się w czyn. Deri rzucił się na wroga. Conan poślizgnął się na błocie, próbując odskoczyć. Wprawdzie nie upadł, ale nie wy dostał się poza zasięg wielkich łapsk. Osilek oplótł go w pasie, zarechotał tryumfalnie i uniósł do góry.

Conan czuł, że pęknie mu kręgosłup, jeśli zaraz się nie oswobodzi. Stalowe ramiona zaciskały się coraz mocniej. Walił pięściami w grzbiet przeciwnika, lecz nadaremnie. Na Croma! Co za ból...!

Cymmerianin rozwarł dłonie i trzasnął ze wszystkich sił w uszy wieśniaka. Usłyszał tak głośne plaśnięcie, że bez wątpienia ogłuszył walecznego śmiałka.

Deri wrzasnął na całe gardło, wypuścił Conana z uścisku i chwycił się za bolące uszy.

To wystarczyło. Dostał kopniaka w krocze.

Oczy wyszły mu na wierzch, natychmiast złapał się za przyrodzenie.

Conan wziął potężny zamach i zdzielił go pięścią między oczy. Uderzył tak mocno, że zranił sobie kostki palców. Ale bardziej ucierpiał Deri. Runął niczym ścięte drzewo. Spod ogromnego cielska tryśnęły fontanny błota. Nawet strugi deszczu nie zdołały ocucić powalonego siłacza i po chwili stało się jasne, że jest po walce. Tej nocy Deri mógł wrócić do domu tylko w jeden sposób – na noszach.

– Dobra robota – pochwalił Dake.

Cymmerianin spojrział na maga. Przez moment w Conanie kipiała taka wściekłość, że znów doznał uczucia, jakby coś rozluźniło niewidzialne więzy. Nie na tyle jednak, by mógł zaatakować władcę niewolników, choć zmiana była wyraźna.

– Odbierz zakłady, Kreg – rozkazał Dake i odwrócił się tyłem do Conana. – Idę się osuszyć w wozie.

Odszedł, rozchlapując kałuże.

Błyskawica przecięła niebo i gruchnął piorun.

Cymmerianin pomyślał, że to nie będzie łatwe życie.

Musiał znaleźć jakiś sposób, by uciec.

## XVI

Ulewa wciąż grzmociła w plandekę. Dake wytarł się i wdział czystą szatę. Uśmiechnął się szeroko. Całkiem udany wieczór, niezły dochód. Pokaz przyciągnął prawie całą wieś, jak się spodziewał. Walka Conana z bezzębnym głupkiem opłaciła się jeszcze bardziej. Szkoda tylko, że zaczęło padać. Nie miał ochoty moknąć, gdy klienci będą się zabawiać z kocicą lub olbrzymką w suchym wozie. Trzeba poczekać na pogodną noc. Ale i tak nie można narzekać. Dake

nie wątpił, że znaczna część pieniędzy wieśniaków trafiła do jego sakiewki, a to dobry omen. Wprawdzie udany początek nie gwarantuje równie pomyślnego końca, ale z pewnością pomaga.

Wychylił się z wozu i zawołał:

– Właźcie do środka, dumnie! Nie życzę sobie, żeby ktoś się rozchorował!

Posłusznie, bo jakżeby inaczej, niewolnicza gromadka wykonała polecenie.

Fosull żadnym sposobem nie mógł ocucić chrapiącego wśród beczek Balora, w końcu machnął ręką i sam wlaź pod wóz. Woły uwiązał do wielkich kamieni za kółka w nozdrzach, więc nie obawiał się, że uciekną. Do chwili rozpętania się burzy nie znalazł lepszej kryjówki; musiał mu wystarczyć wóz.

Kiedy Balor poczuł na sobie krople deszczu, zaczął kląć głośniejszy niż przedtem. Nagle z łomotem spadł na ziemię obok tylnego koła. Podpełził przez błoto do Fosulla i osunął się na brzuch.

– Czemuś mnie nie zbudził?

– Próbowałem, ale tak smacznie spałeś, że...

– Mogłem utonąć!

– Ale nie utonąłeś.

– Co z wołami?

– Uwiązane.

– Pewnie nie zaświtało ci w głowie, by zabrać tu nieco wina, he?

– I owszem.

Błyskawica oświetliła na moment wykrzywioną w uśmiechu gębę Bukłaka.

– Jak na małego człowieczka, rozum masz spory.

– Antałek stoi przy przednim kole.

Wóz nie był na tyle wysoki, żeby Balor mógł usiąść pod nim wyprostowany, lecz zdołał podczołgać się do niewielkiej beczki. Po chwili na wół leżąc ulokował się obok Fosulla i czknął, rozsiewając zapach trunku.

– Boję się, czy aby woda nas tu nie podmyje – powiedział.

– Wykopałem rów odpływowy dookoła wozu.

– A to ci spryciarz! Chcesz wina?

– Nie odmówię.

Popijając, Fosull był pełen czarnych myśli. To nie wiosenny deszczyk, lecz istne oberwanie chmury! Nazajutrz nie zostanie ani

kropla, ale najpierw woda rozmyje koleiny wozu porywaczy Vilkena. Jak wtedy wódz odnajdzie zbiegów?

Zielonoskóry zastanawiał się, dlaczego bogowie doświadczają go tak ciężko.

Zanim ulewa przeszła, strzecha szałas Raseriego nasiąkła wodą, jednak schronienie nie zawiodło nadziei Jatte – pozostał prawie suchy. Kiedy błyskawice i grzmoty przesunęły się dalej, począł się zastanawiać, co teraz.

Mógłby opuścić kryjówkę, jak tylko całkiem przestanie padać deszcz, lecz nie wydawało się to rozsądne. Droga z pewnością zamieniła się w błotnistą rzekę i ciężki olbrzym miałby trudności z poruszaniem się po grząskim gruncie.

Lepiej przeczekać i wyruszyć późnym rankiem, gdy słońce już trochę osuszy ziemię. Jeśli uciekinierów również złapała burza, też będą musieli zrobić postój – nie zaryzykują dalszej podróży po rozmiękłym trakcie. Wóz zapadłby się po osie.

Tak. Raseri czuł, że powinien wstrzymać się z podjęciem wędrówki. Wódz pogrążył się w drzemce na nieco wilgotnym, leśnym posłaniu.

Conana bolały plecy i żebra. Walczył z wieloma groźnymi przeciwnikami, ale chyba żaden nie dorównywał siłą Deriemu.

Kaganek przy posłaniu barbarzyńcy kopał i dym zostawiał czarne smugi na brudnej, przemoczonej plandecie wozu.

Dake, Kreg i prawie cała reszta szybko zapadli w sen. Nie spała tylko Teyle leżąca obok.

– Boli cię? – spytała szeptem.

– Trochę, da się wytrzymać – odrzekł równie cicho.

– Gdzie?

Conan pokazał.

Olbrzymka podniosła się. Mimo że zrobiła to bardzo wolno i ostrożnie, wóz zaskrzypiał pod jej ciężarem. Zamarła na moment, ale nikt się nie obudził. Usiadła obok Conana.

– Połóż się na brzuchu – powiedziała.

– Po co?

– Moje plemię potrafi leczyć dotykiem dłoni. Może będę mogła ci pomóc.

Cymmerianin wzruszył ramionami, ale przekreślił się na brzuch.

Po chwili poczuł na ciele wielkie ręce. Dziewczyna delikatnie masowała mu plecy od góry do dołu. Gdy doszła do najbardziej bolących miejsc, ruchy dłoni ustały.

Minęło kilka sekund. Nieruchome palce Teyle robiły się coraz cieplejsze, jakby coś ogrzewało je od wewnątrz. Mięśnie Conana przenikało gorąco. Dotyk go nie parzył, ale Cymmerianin nie spodziewał się, że czyjaś skóra może osiągać tak wysoką temperaturę.

Ciepło działało kojąco. Odprężył się.

Jak długo trwała ta terapia, nie wiedział. Lecz kiedy wreszcie olbrzymka cofnęła dłonie, ból niemal całkiem ustąpił.

Usiadł i spojrzał na kobietę. Uśmiechała się do niego z góry. Nawet na siedząco była dużo wyższa od swego towarzysza niedoli.

– Pomogło – szepnął. – Czy to rodzaj magii?

– Możliwe. Sama dobrze nie wiem. Nauczyła mnie tego babka. Mówiła, że każdy może osiąść tę sztukę, więc myślę, że jeśli to magia, jest w niej coś naturalnego. – W głosie Teyle pobrzmiwał smutek.

Conan poczuł nagle, że powinien ją przytulić i pocieszyć. Mimo wielkiej postury, wydawała się bezradna i zalękniona. Na wysokości twarzy miał jej ogromne piersi, ale wyciągnął ramiona i objął niewiastę.

Nie protestowała i też otoczyła go ramionami, równie potężnymi jak jego własne.

– Boję się o brata i siostrę – wyznała. Trzymała Conana tak mocno, jak jeszcze żadna kobieta. – I o siebie. Nie wiem, co ten podły człowiek może z nami zrobić.

Przyciśnięty do olbrzymich piersi Conan odwrócił głowę w bok.

– Nie obawiaj się, Teyle. Znajdę sposób, żeby nas oswobodzić.

Lecz kiedy głaskał ją i tulił do siebie, nie miał pojęcia, jak uda mu się dokonać tego, co obiecał.

Ranek był pogodny, nad wsią rozciągał się bezchmurny błękit. Dake stał na kozłach i oglądał okolicę. Na otwartym terenie zalegało błoto, a roślinność jeszcze nie wyschła po deszczu. Nie ujechaliby daleko, wóz ugrzązłby po osie. Musieli odczekać kilka godzin, aż słońce nieco osuszy ziemię.

Kiedy wszyscy wstali, mag kazał Tro przyrzadzić śniadanie. Poinformował trupe, że trzeba się wstrzymać z odjazdem.

– A twój demon nie wyciągnie nas, jeśli wóz się zapadnie? – zapytał Vilken.

Kreg wybuchnął śmiechem.

– Ty głupcze! Demon to tylko iluzja!

– Trzymaj język za zębami, albo ci go wyrwę! – ofuknął go wściekły Dake. Co za bałwan! Po co zdradza ich sekrety? Mag nie obawiał się wprowadzić zniewolonej grupki, ale nie mógł pozwolić, by asystent ujawniał tajemnice potencjalnym wrogom. Ten dureń bez wątpienia jest coraz mniej przydatny. Trzeba coś z nim zrobić i to szybko.

Kiedy Dake i Kreg poszli obejrzeć drogę, Conan zwrócił się do towarzyszy niedoli:

– Nie uśmiecha mi się wjeżdzać do Shadizaru jako niewolnik. Musimy uciec.

– Próbowaliśmy już wiele razy – odrzekł Penz. – To na nic.

– Czy wtedy połączyliście swoje siły?

– Tak – powiedziała cicho Tro. – Nawet w trójkę nie dało rady.

– Ale teraz jest nas ośmioro – zauważył Conan. – Liczebność czasem dodaje sił.

Troje najstarszych stażem więźniów popatrzyło na niego z powątpiewaniem.

– A co mamy do stracenia? – zachęcił Cymmerianin.

– Dake się wścieknie i srogo nas ukarze – odparł Sab.

– Nie dowie się o naszych zamiarach.

– On zawsze wie – westchnął Penz. – Jesteśmy z nim związani magią.

– Więc powiecie mu, że ja was zmusiłem.

Grupka wysypała się z wozu. Prowadził Conan. Podążyli przez błoto w odwrotnym kierunku niż mag i asystent.

Nie uszli nawet dziesięciu kroków, gdy zatrzymała ich niewidzialna przeszkoda. Cymmerianin nic nie zauważył w czystym, porannym powietrzu, ale poczuł, jakby napierała na uginającą się ścianę z gigantycznych cięciw. Wytężył wszystkie siły i z trudem zdołał postąpić jeszcze dwa kroki naprzód. Nagle zaporą odbiła go do tyłu tak mocno, że omal nie stracił równowagi na śliskim gruncie. Nogi rozjechały mu się na glinie i musiał ustąpić.

– Podejdźcie do mnie i pchajcie – polecił.

Pod naporem całej ósemki niewidzialna ściana ugięła się bardziej. Grupce udało się z mozołem zrobić sześć kroków. Potem sta-

nęli i przeszkoda zaczęła powoli spychać ich z powrotem. Znaleźli się w punkcie wyjścia.

Tłąca się w Conanie złość zapłonęła ogniem wściekłości. Z furją rzucił się na ścianę, dobywając miecza. Przebija się przez tę dziwną zaporę, choćby miał...

Ku ogólnemu zdumieniu, gwałtowna szarża odniosła skutek. Cymmerianin posunął się naprzód o piętnaście kroków. Sam zaszedł dużo dalej niż z pomocą siódemki pozostałych. Wciąż wysoko dzierżył miecz, lecz na razie go nie użył. Dopiero gdy poczuł, że giętka przeszkoda znów stawia opór, zamruczał groźnie i sieknął w dół z całej mocy.

Czar prysł!

Conan zrobił jeszcze pięć kroków i gniew ustąpił miejsca radości. Pokonał magiczne zaklęcie!

Kiedy jednak przeszła mu złość, jakaś niewidzialna ręka pochwyciła go i cisnęła w tył. Poczul, że leci w powietrzu niczym kamień rzucony przez psotnego boga. Upadł daleko za grupką zaskoczonych towarzyszy i sunął po ziemi, rozchlapując błoto, aż zatrzymał się przy wozie.

Wstał i zaczął się czyścić, wciąż nie pojmując, co zaszło. Był pewien, że jeszcze trochę i odzyska wolność, a tymczasem... Jak to się stało?

W tym momencie pojawił się Dake ze swym psem, Kregiem. Cymmerianin dostrzegł na twarzy maga osłupienie, potem wielką ulgę.

– Chciałeś nas opuścić, Conanie, prawda? Czyż nie rozumiesz, że to strata czasu i energii? Lepiej oszczędzaj siły, byś mógł walczyć na ringu po drodze do Shadizaru. Mojego zaklęcia nikt nie pokona.

Conan bez słowa ścierał z siebie błoto.

– Tak czy inaczej jestem tu władcą i próba buntu podlega surowej karze.

– Więc wymierz ją tylko mnie – odezwał się Cymmerianin. – To ja zmusiłem resztę do ucieczki.

Dake popatrzył na gromadkę niewolników, potem znów na Conana.

– Wiem, że to twoja sprawka. Myślisz, że używając brutalnej siły, rozwiążesz każdy problem? Zatem, dobrze. Odpokutujesz ten występki.

Mag zwrócił się do Krega:

– Jest w twoich rękach. Tylko nie zrób mu zbyt dużej krzywdy, rozumiesz?

Asystent wyszczerzył zęby.

Dake spojrzął na Cymmerianina.

– Będziesz stał spokojnie, a Kreg nauczy cię rozumu, ty barbarzyński durniu. I zapamiętaj sobie, że sprzeciwianie się mojej woli jest daremne.

Otwarta dłoń trafiła Conana w twarz. Niepokorny więzień patrzył na swego oprawcę, nie mogąc się ruszyć. Ale też nie odmówił sobie przyjemności zadrwienia z Krega.

– Tylko na tyle cię stać, psie? Komary tną mocniej.

Blondyn poczerwieniał z gniewu. Uniósł nogę do kopnięcia.

– Ostrożnie, Kreg – ostrzegł Dake. – Jeżeli go uszkodzisz i nie będzie mógł walczyć, zrobię z tobą to samo, co ty z nim.

Asystent opanował się i zrezygnował. Zamiast kopniaka wymierzył Conanowi cios w żołądek. Uderzył bardzo mocno i nawet napięte mięśnie brzucha nie zamortyzowały siły sierpowego. Cymmerianinowi zaparło dech, kolana się pod nim ugięły. Z najwyższym trudem utrzymał się w pionie.

– Potrafię zadać ci ból bez uszkodzenia ciała, barbarzyńco.

Kreg uśmiechał się coraz szerzej, stopniowo wprowadzając słowa w czyn.

## XVII

Wóz wolno pokonywał błotnisty trakt. Conan leżał na wyrku, a Teyle znów zajmowała się jego obolałymi mięśniami. Miał trochę sińców, ale bardziej ucierpiała duma.

Obok Teyle przycupnął Penz. Bawił się liną – to zwijał, to rozwijał ciasne spirale. Na zewnątrz, za zasłoną, siedział na kozle Kreg, koło niego podróżował Dake. Pasażerowie musieli rozmawiać szeptem.

– Z nami robił to samo – powiedział Penz. – Tro, Sab i ja poznaliśmy siłę jego pięści. Kreg lubi taką zabawę.

– Zauważyłem – mruknął Conan. Nawet gorące dłonie olbrzymki nie całkiem uśmierzały ból.

– Lepiej go nie drażnić – dodał Sab.

Cymmerianin spróbował wzruszyć ramionami, co nie było wygodne, bo leżał na brzuchu.

– Rozwścieczony człowiek często traci panowanie nad sobą. Prowokowałem drania, żeby włożył w bicie więcej energii i szybciej się zmęczył, a tym samym wcześniej skończył.



– Jesteś odważny – przyznał Oren. – Mógł cię zranić.  
– Pocieszałem się myślą, że wtedy Dake go ukarze.  
– Rzykowałaś – stwierdził Penz.  
– Całe życie to ryzyko, przyjacielu.  
– No cóż... Teraz przynajmniej wiemy, że nie rozerwiemy magicznych więzów Dake’a – odezwała się Teyle.

Conan zastanawiał się przez moment, czy nie powiedzieć towarzyszom o swoim odkryciu, ale zrezygnował. Ufał im, lecz obawiał się, że Dake może zacząć coś podejrzewać i zmusić ich do wyjawienia prawdy. Lepiej, żeby na razie nie wiedzieli. Tak będzie bezpieczniej dla wszystkich.

Cymmerianin czuł bowiem, że moc zaklęcia można pokonać.

Mimo iż brakowało mu obycia cywilizowanego człowieka, potrafił logicznie myśleć. Przekonał się, że magiczne więzy słabną wówczas, gdy jest rozwścieczony do ostateczności. Kiedy furia mija, niewidzialne pęta znów krępują go z dawną siłą. Ostatnim razem prawie udało mu się uwolnić i doszedł do wniosku, że poniósł porażkę, ponieważ przedwczesna radość ostudziła kipiący w nim gniew.

Wiedza to potęga. Miecz jest groźną bronią, lecz umiejętne posługiwanie się nim czyni go tuzin razy skuteczniejszym. Bogatszy o nowe doświadczenie, Conan miał teraz plan, który zamierzał zdradzić pozostałym we właściwym czasie. Był przekonany, że jeśli wpadną w taki szal jak on, wydostaną się z niewoli. Bogowie muszą wiedzieć, że mają ku temu ważny powód.

Najlepiej spróbować, kiedy Dake oddali się nieco. Inaczej mag rzuci nowe zaklęcie i przeszkodzi uciekinierom, a wściekłość nie trwa wiecznie. Po uwolnieniu się od tajemnej mocy wystarczy silne ramię i włócznia lub choćby kamień, żeby ciemieżca przestał zagrażać raz na zawsze.

Plan był prosty, ale zazwyczaj właśnie takie okazują się najlepsze.

Tak więc Conan postanowił nie ujawniać zbyt wcześnie tego, co wie. Do Shadizaru jeszcze daleko, z pewnością nadarzy się okazja.

Cymmerianin nie grzeszył cierpliwością, ale zdążył się już nauczyć, że czasem nie ma innego wyjścia, jak tylko spokojnie czekać.

Fosulla zaczynały drażnić ciągle narzekania nowego kompana. Rudowłosy tłuszcioch bez przerwy poił się winem i pijacki bełkot rozpraszał Varga.

Wódz zaniechał częstowania się zawartością beczek; skoro miał wykonać zadanie, musiał być trzeźwy. Burza dokonała tego, czego się najbardziej obawiał – niemal zupełnie zmyła z drogi ślady wozu porywaczy. Tu i ówdzie pozostała głębsza koleina, lecz mogło ją wypatrzeć tylko bystre oko. Głędzenie Balora przeszkadzało Fosullowi w obserwowaniu traktu, nie miał podzielnej uwagi.

Varg rozważał kilka sposobów kontynuowania swej misji. Mógłby zostawić rudzielca i tropić uciekinierów na piechotę. Ale poruszały się wolniej i ryzykował więcej. Albo zatopić włócznie w sercu grubasa, pozbyć się trupa i jechać dalej samotnie. Tyle że jeśli po drodze ktoś rozpoznałby wóz Bukłaka, bez wątpienia zainteresowałby się, dlaczego zaprzęg zmienił właściciela i jak dostał się w ręce małego człowieka o szarej skórze. Fosull nie miał ochoty być o to nagabywany. Tak źle i tak niedobrze.

Pozostawało nie słuchać utyskiwań pijaczyny, skupić się na śledzeniu drogi i czekać, aż Balora znów zmorzy sen.

Po namyśle Fosull uznał to ostatnie wyjście za najlepsze. Mimo wszystko, towarzystwo grubasa mogło przynieść mu więcej pożytku niż szkody. W przeblysku trzeźwości Balor uprzedził go nawet, że dojeżdżają do Eliki. Może ktoś z mieszkańców wioski widział ściąganych i udzieli cennych wskazówek?

Tak więc Fosull nadal siedział na koźle i prowadził wóz wysychającym w słońcu traktem. Miał nadzieję, że nie zgubi tropu porywaczy syna.

Raseri zobaczył przed sobą odkryty wóz zaprzężony w woły. Szaman Jatte zwolnił kroku, by nie wyprzedzić pojazdu. Wolał przyrzeć się pasażerom, samemu nie będąc widzianym. Stos beczek i unoszący się w powietrzu zapach powiedziały mu, że to z pewnością transport wina. Na koźle siedziała dwójka małych ludzi. Postać w kapturze wyglądała na dziecko; zapewne ojciec i syn wiozą towar do pobliskiej wioski.

Podróźni poruszali się wolniej niż Raseri i choć nie wydawali się groźni, postanowił iść na razie za nimi. Powód był prosty: gdyby ktoś podążał z przeciwną, zatrzymałby się pewnie, by pozdrowić woźnicę, wtedy wódz zdążyłby się ukryć. Zawsze dobrze jest mieć pole manewru. Wkrótce znów trzeba będzie zapytać małych ludzi o większy wóz porywaczy, bo deszcz zmył ślady. Szaman miał nadzieję, że kiedy dojdzie do jakiegoś rozdroża, napotka wioskę lub choćby zagrodę i zasięgnie języka, zamiast źle skrócić.

Trzymając się w bezpiecznej odległości, by w każdej chwili móc czmychnąć w bok, jeśli wóz stanie, Jatte maszerował za dwójką małych ludzi.

Wtem większy z nich wgramolił się między beczki i zniknął z widoku. Raseri przestraszył się, że został dostrzeżony, lecz wóz nie zwolnił, więc nic na to nie wskazywało. Druga osoba – bez wątpienia dziecko, bo któż by inny tak małego wzrostu? – dalej popędzał woły.

Kilka godzin po opuszczeniu wioski, trupa maga dotarła do miejsca, gdzie zachodnia droga z Ophiru łączyła się z szerszym, południowym traktem do Shadizaru. Gdy dojechali do rozwidlenia, słońce osuszyło już płytsze kałuże, pozostawiając w nich warstwę splekanego błota. W oddali unosił się nawet kurz, na co Kreg zwrócił uwagę swemu panu.

Dake ocknął się z drzemki na koźle, wyprostował i spojrzał przed siebie. Istotnie, w powietrzu widoczna była lekka mgiełka pyłu. Zauważył też liczne koleiny, ślady butów i sandałów. Za skrzyżowaniem z drogą do odległej Przełęczy Ophirskiej, wzdłuż szlaku na północ od granicy z Koth panował duży ruch.

– Ho, ho... – odezwał się mag. – Poprzedza nas karawana jakiegoś bogacza. Jest całkiem blisko.

Kreg spojrzał na swego mistrza.

– Skąd wiesz?

– Czyż sam nie pokazałeś mi tumanów kurzu przed nami? – odrzekł Dake.

– Nnno, tak... ale jak można poznać po kurzu, czy to karawana bogacza, czy biedny chłop pędzący owce lub świnię?

Dake westchnął. Dureń! Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Rusz głową. Przed nami widać koleiny przynajmniej tuzina wozów i po trzykroć więcej śladów pieszych. A biednego chłopca nie stać na owce. Poza tym, ślady są świeże, odcisnęły się już po deszczu i wiodą od Przełęczy Ophirskiej. Prosta dedukcja.

– Zgoda, ale może to kilku chłopów, nie sądzisz?

Dake westchnął jeszcze głębiej. Po co w ogóle zadawać sobie trud i wyjaśniać cokolwiek temu głupkowi?

– Czy nie pamiętasz, że na Przełęczy Ophirskiej roi się od zbójców czyhających na nierozważnych podróżnych?

– A owszem.

– Więc jak myślisz, czy nawet duża grupa prostych rolników lub pasterzy mogłaby stawić opór bandzie rzezimieszków?

– Chyba nie.

– A zatem, skoro ta karawana zdąży stamtąd, to musi ją chronić zastęp zbrojnych. Pewnie najemnicy, choć może nawet regularna armia. A taka eskorta kosztuje. Przeto, cokolwiek wiozą, jest dużo warte.

Oblicze Krega przypominało poranne niebo rozjaśnione promieniami wschodzącego słońca, gdy nagle spłynęło na niego olśnienie.

– Aaa... Teraz pojmuję!

Ślepy prędzej by to dostrzegł, pomyślał Dake. Łatwiej przyszło by wytłumaczyć osłu, dlaczego nie może latać.

– Popędź woły – rozkazał. – Chcę zobaczyć, co to za ludzie. Kreg posłusznie wykonał polecenie.

Słońce znajdowało się w najwyższym punkcie swej codziennej wędrówki po niebie, gdy Fosull dojechał do skrzyżowania w kierunku Eliki. Spity do nieprzytomności Balor chrapał w najlepsze. Varg nie wiedziałby, gdzie jest, gdyby nie napotkał miejscowego wieśniaka, który akurat doszedł do rozwidlenia dróg z przeciwnego kierunku.

– Hej! – zawołał chłop. – Czy to winny wóz Balora?

– A jużci – przytaknął Fosull.

– Gdzie zatem Buklak?

Fosull był rad, że nie zadzgał pijaczyny.

– Drzemie z tyłu.

Gospodarz roześmiał się.

– Idę o zakład, że urznął się tym, co wiezie.

– Zgadłeś. Powiedz no, dobry człowieku, nie widziałeś gdzie w okolicy dużego wozu?

– Szukasz pewnie Dake'a, władcy dziwołagów?

Serce wodza zabiło żywiej.

– W rzeczy samej.

Wieśniak smutno pokiwał głową.

– Ciekawy dali pokaz, i owszem. Ale postawiłem ostatniego młodziana na walkę naszego Deriego z mistrzem magika. Kto by się spodziewał, że wioskowy mocarz przegra z barbarzyńcą?

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie Dake i jego trupa są teraz?

– W drodze do Shadizaru. – Chłop machnął ręką w kierunku, z którego przybył. – Jakie cztery godziny stąd, może pięć.

W Fosullu odezwał się instynkt myśliwego. Poczł chłodny skurcz w trzewiach. Tylko kilka godzin stąd!

– Jeszcze jedno pytanie, przyjacielu. Którędy do Shadizaru? Trzeba gdzieś skręcić?

– Nie. Prosto jak strzelił. Trzymaj się tego traktu, a nie zbłądzisz.

Varg chciał wyszczerzyć zęby w uśmiechu, ale w porę przypomniał sobie, że ich widok może wprawić wieśniaka w osłupienie.

– Dziękuję ci – powiedział tylko. – No, czas ruszać.

– A nie zajedziesz do nas, do Eliki, by dostarczyć kilka beczek wina Balora?

– A jużci... eee... Tyle że w powrotnej drodze.

Z tymi słowy Fosull chwycił lejce, smagnał woły po zadach i odjechał. Balor nie dawał znaku życia, wciąż leżał niczym trup. Gdyby po przebudzeniu miał pretensje, że nie zrobili postoju we wsi, zawsze mogą się rozstać, pomyślał wódc. W ten, czy w inny sposób.

Raseri obserwował spotkanie z ukrycia. Udało mu się podejść bliżej rozmawiających niż się spodziewał. Wielka kępa gęstych zarosli ciągnęła się jak żywopłot tuż przy skraju drogi. Olbrzym bardzo ostrożnie przedzierał się przez krzaki, uważając, by nie narobić hałasu. W końcu znalazł się o kilka kroków od wozu i pieszego, wtedy usłyszał strzępy zdań.

Od razu poznał po głosie, że wóznica to nie dziecko. A zielone plamki wyłazące tu i ówdzie spod szarej skóry na rękach... Jatte zrozumiał nagle, że to nie skóra, a na koźle siedzi Varg!

Kiedy wóz odjechał, a wieśniak oddalił się od głównej drogi, Raseri począł się zastanawiać nad swym odkryciem.

Informacje o niejakiem Dake’u były, rzecz jasna, niezwykle cenne. Tylko co, w imię Stwórcy, robi tutaj Varg?!

Odczekał trochę, a gdy uznał, że wóz jest już w bezpiecznej odległości, opuścił kryjówkę i powędrował dalej.

Vargowie, podobnie jak Jatte, nie mieli zwyczaju wypuszczać się w podróż przez ziemie małych ludzi. Wprawdzie Raseri właśnie to robił, ale z ważnego powodu. W takim razie, Varg też nie bez istotnej przyczyny podąża do Shadizaru śladem porywaczy trójki Jatte...

Aha!

W okamgnieniu wszystko stało się jasne. Wieśniak nazwał człowieka imieniem Dake „władcą dziwolągów”. Wspomniał o pokazie.

Zatem chodzi o właściciela kolekcji osobliwych okazów. Mali ludzie uważają Jatte za wybryk natury. Czyż tak samo nie traktują Vargów?

Ten Dake ma również Varga, to pewne!

Co do „barbarzyńcy”, Raseri nie wątpił, że tak nazywano Conana. Znalazł potwierdzenie swych wcześniejszych podejrzeń, iż zbiegły z klatki więzień był w zмовie z porywaczami jego dzieci. Są tylko o kilka godzin stąd!

Wódz Jatte uśmiechnął się ponuro. Ciężki wóz Dake’a jedzie dużo wolniej niż ten z winem i wolniej, niż idzie Raseri. Nim zapadnie noc, być może on i nieznany Varg dopadną wspólnych wrogów.

Zamyślony olbrzym obracał w palcach włócznię. Wkrótce ta przygoda się skończy i droga spłynie krwią sprawców całego zamieszania. A na dokładkę Varg lub dwóch – nagroda warta nieco większego wysiłku.

Godzinę po spotkaniu z miejscowym wieśniakiem Fosull zdał sobie sprawę, że jest śledzony. Postanowił się dyskretnie upewnić, udając, że sprawdza, czy Balor ciągle śpi.

Zdażył tylko dostrzec sylwetkę opalonego mężczyzny, gdyż intruz szybko ukrył się wśród drzew na skraju drogi. Ale rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że obcy jest zbyt wielki jak na jednego z ludzi pozabagiennych.

Fosull wrócił na kozioł i zamyślił się. Bez wątpienia za wozem idzie Jatte, to nie może być nikt inny. Żaden pozabagienny nie wygląda tak potężnie. Ale po co Jatte podąża tropem zaprzęgu z winem?!

Jaki jest cel jego wędrówki? Giganci rzadko opuszczają swoją wioskę, a jeśli już, to prawie zawsze w trójkę albo w czwórkę, żeby pochwycić samotnego pozabagiennego człowieka. Co robi tutaj pojedynczy olbrzym?

Nagle Fosull przypomniał sobie, co zobaczył, gdy odkrył koleiny wozu porywaczy. Ślady Jatte! Zatem wielkoludy są więźniami tych samych opryszków!

Oczywiście! Któryś z Jatte wyruszył, by odbić swoich.

Wódz Vargów uśmiechnął się szeroko. Tym razem wyszczerzył zęby, bo nikt go nie widział. No cóż... może uda się wykorzystać obecność olbrzyma? Jeśli nie, to przynajmniej zdobędzie trochę mięsa

do wspólnego kotła. Gdyby pospieszyli się wraz z Vilkenem, nie zdążyłoby się zepsuć.

Byłoby co świętować!

## XVIII

Pierwszą oznakę, że doganiają karawanę, stanowiło pojawienie się tylnych straży. Zbrojni odwrócili się przodem do wozu Dake'a i unieśli piki. Nie mieli przyjemnej powierzchowności, za to doskonały rynsztunek. Za zbroję służyły im mocne, skórzane naramienniki i ochraniacze na golenie, kolczugi, oraz grube, okrągłe tarcze na szerokich pasach. W pochwach u lewego boku tkwiły krótkie miecze, w dłoniach lance o płaskich ostrzach. Ta broń bardziej pasowała do konnych niż do pieszych, lecz była dość krótka i lekka, by nadawała się do noszenia. Członkowie eskorty mieli też porządne, wysokie buty dobrego kroju. Dake znał się na rzeczy i od razu ocenił, że ich pan nie żałował pieniędzy.

– Stójcie, podróżni! A dokąd to?!

Dake odpowiedział uprzejmie na zaczepkę dowódcy sześcioposobowej drużyny.

– Zmierzamy do Shadizaru.

Krepy, ryży wojak o czerwonym obliczu i kabłąkowatych nogach zmrugał oczy od słońca. Popatrzył na swoich ludzi, potem znów na maga.

– I owszem, to by się zgadzało, skoro podążacie tą drogą. Po co tam jedziecie?

Ton Dake'a stał się nieco mniej uprzejmy.

– W interesach.

– A jakież to interesy?

Cierpliwość nigdy nie była mocną stroną maga, toteż szybko stracił panowanie nad sobą.

– To moja sprawa. Nic ci do tego, piechurze.

Ryżego zatkało. Zamrugał oczami, potem z namysłem podrapał się w brodę. W końcu powiedział:

– W porządku. Ale naszym obowiązkiem jest sprawdzić twój wóz.

– Jakim prawem?

– A takim... – Ryży wyszczerzył zęby i unieśli wyżej pikę. – Spróbuj nam przeszkodzić, to podziurawimy tę furę jak sito.

Dake uśmiechnął się mimowolnie.

– W takim razie, róbcie swoje.

Ryży wypiął pierś, łypnął z chytrą miną na swoich ludzi i ruszył naprzód. Obejrzał się przez ramię.

– A niewiast tam czasem nie chowasz?

– Tak się składa, że owszem – przyznał mag. – Trzy.

– Słyszeliście, chłopcy?! Kobitki!

Pięciu mężczyzn zarechotało wesoło. Wymienili sprośne uwagi.

Kiedy dzielny wojak maszerował wzdłuż wozu, Dake odwrócił się na koźle i szepnął przez zasłonę:

– Conanie, za chwilę pewien wścibski żołdak otworzy tylne drzwi.

Poczęstuj go kułakiem, tylko nie zabijaj.

Siedzący obok maga Kreg wyszczerzył zęby.

– A reszta tam w środku niech dobrze uważa – ciągnął Dake. –

Na drodze stoi jeszcze pięciu podobnych cymbałów. Jak Conan dzieli pierwszego, wysypiecie się na zewnątrz i złapiecie tamtych. Są uzbrojeni, więc nie dajcie się zranić. I chcę ich mieć żywych.

Mag wiedział, że to trochę ryzykowna zagrywka, ale niebezpieczeństwo jest niewielkie. Widok trupy dziwolągów powinien wystarczyć, by tamci wzięli nogi za pas. Zdziwiłby się, gdyby stało się inaczej. Sama Teyle mogła napędzić stracha większości mężczyzn. A inni... Tylko nie lada śmiałek odważyłby się stawić im czoło.

Rozochocony ryżowłosy sięgnął do klamki.

Koleiny wyglądały na świeże, lecz droga była rozjeżdżona kołami wielu wozów. Fosull kilkakrotnie przystawał, zeskakiwał z koźła i wypatrywał właściwego tropu. Dokładniej badając liczne ślady, wydedukował, że porywaczy poprzedza duża grupa pojazdów zaprzęgowych, jeźdźców i pieszych. Sześciokołowy wóz pozostawiał głębsze bruzdy i charakterystyczne wyżłobienia, które Fosull już dobrze znał.

Varg wstał, otrząpął kolana i uświadomił sobie, że większa liczba ludzi utrudni mu zadanie. Nie uświadomił sobie natomiast, że czyszcząc się z kurzu, popełnił błąd – stał z zielonych dłoni maskującą warstwę szarego, zaschniętego błota. Zresztą wszędzie przebił już naturalny kolor ciała. Tylko wiecznemu opilstwu Balora zawdzięczał to, że jeszcze nie został zdemaskowany.

Fosull zastanawiał się, czy ten grubas kiedykolwiek dowozi swój ładunek do celu, skoro tyle po drodze spożywa.



Wdrapując się na koziół, rzucił za siebie ukradkowe spojrzenie. Nie zauważył postaci Jatte, ani nawet jej cienia, lecz wciąż wyczuwał bliską obecność olbrzyma. Nie ma się co łudzić, wielkolud nie zostawi go w spokoju. Ale ten problem można rozwiązać później. Najpierw trzeba dogonić zbiegów i odzyskać syna. Porywacze są tylko kilka godzin przed nim – do zmroku powinno się udać.

Pijaczyna z tyłu wozu nadal spał jak zabity.

Raseri nie uważał się za tak dobrego tropiciela jak Varg, jednak potrafił odgadnąć, że jego przyszłe ofiary są już niedaleko. Ślady kół były teraz bardziej świeże, choć gorzej widoczne pośród wielu innych.

Nie szkodzi; dopóki je widzi, idzie dobrym tropem.

Co zrobić z Vargiem, to inna sprawa. Mały, zielony potworek nie może przeszkodzić mu w pościgu. Vargowie mieli trochę zwierzęcego sprytu, ale w oczach Jatte uchodzili za pozbawionych rozumu, przynajmniej w przytłaczającej większości. Co oczywiście nie oznaczało, że należy do niej akurat ten Varg. Skoro zielonoskóry dotarł aż tutaj i dzięki przebraniu zdołał oszukać co najmniej jednego małego człowieka, to musi odznaczać się ponadprzeciętną inteligencją. Ale też nie trzeba przeceniać możliwości tego zwierzaka.

Raseri czekał, dopóki wóz nie stał się tylko małym punktem ginącym na horyzoncie, po czym wyszedł z ukrycia wśród skał. Przed odjazdem Varg obejrzał się nie po raz pierwszy – możliwe, że już wie, iż nie jest sam. Jatte nie mógł na to nic poradzić, lecz nie zamierzał się tym przejmować. Nie obawiał się konfrontacji z jednym Vargiem uzbrojonym podobnie jak on sam. Mimo wszystko, zawsze lepiej mieć pole manewru. Wiedza to potęga, nawet półgłówek zdaje sobie z tego sprawę.

Wódz i szaman Jatte dziarsko kroczył w ślad za wozem i układał różne plany, by być przygotowanym na każdą ewentualność. Większe szanse ma ten, kogo nic nie zaskoczy. Olbrzym nie wątpił, że potrafi przewidzieć wszystkie sytuacje.

Zanim drzwi wozu otworzyły się, Conan był gotów. A nawet więcej – wręcz palił się, by wyładować wściekłość na kimś, kto zasługuje na to, choćby w najmniejszym stopniu. Słyszał rozmowę Dake'a z żołnierzem; obcy mężczyzna zachował się butnie i aroganc-

ko. Prawda, że Cymmerianin chętniej rzuciłby się na maga, ale wiedział, że wysiłek spełźnie na niczym. W takim razie – lepsze to niż nic. Temu durniowi zachciewa się kobiet? No to zobaczy...

Drzwi rozwarły się gwałtownie. Uśmiechnięty intruz zmrużył oczy, zaglądając do mrocznego wnętrza.

Wtedy Conan skoczył.

– Na Mitrę! – zdążył wykrzyknąć Ryży i uśmiech zamarł na jego twarzy.

Dla Conana bójka trwała stanowczo za krótko. Zacisnął wielką pięść i grzmotnął obcego w lewą skroń. Dowódca oddziału zwałił się na ziemię, nieprzytomny.

Na Croma! Dajcie tu prawdziwego przeciwnika!

Za plecami Conana zakotłowało się. Towarzysze niedoli wyskoczyli z wozu, by pojmać pięciu żołnierzy. Pierwszy ruszył Vilken, szczerząc ostre zęby. Za nim Penz, Oren, Morja, Tro i Sab. Ostatnia pojawiła się Teyle.

Conan zdał sobie sprawę, że przecież Dake nie zabronił mu wzięcia udziału w tej zabawie. Uśmiechnął się złowrogo, biegiem okrążył wóz i wynurzył się z drugiej strony.

W tym momencie mag postanowił wywołać czerwonego demona.

Warto było zobaczyć miny pięciu wojaków. Odwrócili się jak jeden mąż i rzucili do ucieczki. Biegli zaiste szybko jak na ludzi w zbrojach.

Vilken cisnął włócznię i ugodził jednego w odsłoniętą część lewego uda. Trafiony padł twarzą w piach.

Penz okrzyknął nad głową łąso i pochwycił drugiego. Pętla zacisnęła się na kostkach zbiega. Runął jak ścięty.

Conan bez trudu dogonił trzeciego. Pchnął go w plecy i uciekinier dostał takiego rozpędu, że nie nadążył przebierać nogami. Przewrócił się, przeturlał na plecy i wrzasnął, żeby darować mu życie.

Czwarty żołnierz zarył w ziemię, osłaniając głowę przed ciosami kocicy i Saba. Darł się wniebogłosy, wzywając na pomoc wszystkich bogów.

Ostatni umknął z traktu, lecz został otoczony przez Teyle i bliźniaki. Gdy zobaczył przed sobą szybkonożą olbrzymkę, odrzucił pikę i podniósł ręce do góry na znak, że się poddaje.

Cymmerianin dobrze wiedział, jak przerażająco wygląda cała trupa z nim włącznie. Ale poczuł odrazę do żołnierzy, że tak łatwo wpadli w panikę. Ktokolwiek zapłacił szóstce zbrojnych za ochronę, wyrzucił pieniądze w błoto.

– Dawajcie ich tutaj! – rozkazał Dake. – Coś mi się widzi, że tamci z karawany szeroko rozdziawia gęby, jak przyprowadzimy ich tylną straż niczym świnie na rzeź.

Pojmani wojacy nie byli oczywiście jedynymi strażnikami konwoju. Pozostali istotnie osłupieli, gdy ujrzeli swych spętanych towarzyszy drepczących przed wozem Dake'a. Kiedy osobliwy pochod dotarł do środka karawany, wywołał ogólne poruszenie.

Konwój okazał się tak bogaty, jak przewidział mag. Główną część stanowiły duże wozy pod biało-czerwonymi plandekami. Jeden z nich był nawet większy od pojazdu Dake'a. W powietrzu unosił się zapach perfum i wonnych korzeni, mieszając się z odorem spoconych pieszych i koni. Spod jednej plandeki dochodziły przytłumione kobiece głosy. Mag dałby głowę, że cokolwiek wiezie karawana, warte byłoby krocie na głównym targu w Shadizarze.

Ponad dwa tuziny zbrojnych niepewnie pochyliło piki. Niektórzy członkowie eskorty wykonali gesty odpędzające zło.

– Hej, a cóż to za diabelska sztuczka?! – wykrzyknął barczysty żołnierz.

Dake uniósł się na koźle.

– Chcę mówić z waszym panem! – zawołał na cały głos.

Na te słowa pojawił się wysoki mężczyzna o królewskim wygładzie, w nakryciu głowy i w odzieniu z najprzedniejszego, błękitnego aquilońskiego jedwabiu. Miał buty ze skóry wielkiej, pustynnej jaszczurki. Oblicze okalała starannie przycięta, czarna broda poprzetykana gdzieniegdzie siwizną. Ostry nos przypominał dziób, a niebieskie oczy były zimne jak stal. Okrutna, arogancka twarz, znamionująca człowieka potężnego i bogatego, ocenił Dake.

Doskonale!

Obcy podszedł do czarownika władcym krokiem.

– Ta karawana należy do mnie – odezwał się głębokim barytonem. – Kim jesteś, że drwisz sobie z moich ludzi?

Dake znał bogaczy; wiedział, kiedy można im grozić, a kiedy trzeba schlebiać. Przybrał uniżoną pozę.

– Ja? Och, jam jest tylko Dake, skromny władca dziwołagów, jaśnie panie. Podążam do Shadizaru w poszukiwaniu możnego patrona, gotowego wesprzeć brzęczącą monetą najbardziej niezwykłą kolekcję wybryków natury, jaką widziały ludzkie oczy. Chciałem

jedynie pokazać, jak mało warci są ci nędzni strażnicy, niegodni, by strzec tak wielkiego pana.

Właściciel konwoju spojrział wściekle na spętanych żołnierzy.

– To widzę. A zatem, władca dziwołagów, powiadasz?

Mag wsunął rękę za zasłonę i dał gestem rozkaz. Po chwili z tylnych drzwi wozu znów wysypała się gromadka niecodziennych okazów, budząc zdumienie i przestрах.

– Sam zobacz, jaśnie panie...?

– Capeya – dokończył właściciel karawany. – I nie jestem wielmożą, tylko zwykłym... kupcem.

– Ach, zatem człowiekiem, który dorobił się majątku, a nie dzieźdżicem fortuny.

Capeya odsonił w uśmiechu mocne zęby.

– W samej rzeczy, mój przyjacielu. – Przyjrzał się podchodzącej bliżej trupie. Był pod wrażeniem. – Wielce ciekawe zbiorowisko. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, nawet podczas Wielkiego Festiwalu w Shadizarze. Doprawdy niezwykła kolekcja osobliwości.

– Otóż to – przyznał z uśmiechem Dake.

– Pokazy bez wątpienia przyciągają tłumy gawiedzi?

– Moi podopieczni potrafią więcej, niż na to wyglądają, szacowny kupcze. – Mag starał się, jak umiał, by „szacowny kupcze” zabrzmiało równie uniżenie jak „jaśnie panie”. – To oni rozprawiłi się z twoją tylną strażą, muszę wyznać, z niewielkim wysiłkiem.

– Wierzę. – Capeya znów się uśmiechnął. – Powiadasz więc, że szukasz patrona?

– Najkrócej mówiąc, tak.

– Mój wóz urządzony jest dość wygodnie, przyjacielu Dake. Może miałbyś ochotę spróbować przedniego wina, które ostatnio zdobyłem? Pogawędzilibyśmy o sprawach mogących przynieść nam... obopólną korzyść.

Mag nie posiadał się z radości. Cóż za szczęście, że spotkał tę karawanę! Wprost nie do wiary! Do Shadizaru jeszcze kilka dni drogi, a on już ma patrona. Ani przez chwilę nie wątpił, że się dogadają. Ale nie dał po sobie nic poznać.

– Cóż, chyba nie odmówię, przyjacielu Capeya – odrzekł niby obojętnie, choć w rzeczywistości cieszył się jak dziecko. Żaden kupiec jeszcze go nie przechytrył, dłaczego Capeya miałby być wyjątkiem?

Wiedział, że ten postój to pierwszy krok na drodze do bogactwa.

## XIX

Conanowi nie podobało się, że Dake tak szybko zadzierzgnął więź przyjaźni z właścicielem karawany. Skumali się niczym dwie pchły na psie. To przymierze mogło utrudnić ucieczkę. Prawda, że gdyby tylko wyrwał się z magicznych więzów, łatwo pokonałby strażników konwoju. Miał swoją broń i mała armia najemników nie robiła na nim wielkiego wrażenia. Dla zbójckiej zbieraniny włóczącej się po górach strażnicy mogli być groźni, lecz Cymmerianin wiedział, że ci wojacy lepiej wyglądają, niż walczą. Owszem, nie należało ich całkiem lekceważyć, ale też nie było się czego zbytnio obawiać. W końcu, jest ulepiony z trochę lepszej gliny niż zwykły rabuś. A przy tym, nie musiałby walczyć ze wszystkimi – wystarczyłoby rozprawić się z jednym lub dwoma, by droga do wolności stanęła otworem. Tak czy inaczej – dałby sobie radę.

Gorzej z innymi więźniami maga, zwłaszcza z dziećmi. Conan nie zamierzał zostawiać towarzyszy niedoli na pastwę Dake'a. Teyle okazała się jego przyjaciółką – mimo wcześniejszej zdrady, opiekowała się nim, gdy tego potrzebował. Conan wybaczył jej zwabienie go w pułapkę. Przekonała się na własnej skórze, co znaczy niewola. Cymmerianin nie należał do bezdusznych ludzi, którzy nie dają skruszonej grzesznicy szansy poprawy. Teyle z pewnością nie ucieknie bez rodzeństwa, a skoro miałby zabrać ze sobą troje nieboraków, to równie dobrze wszystkich. Zdążył ich polubić. Wbrew dziwacznemu wyglądowi byli daleko bardziej ludzcy niż Dake i jego parobek. Penz miał odrażającą powierzchowność, za to dobre serce; urodziwy Kreg pokazał, że jest zły do szpiku kości.

Conan maszerował obok wozu maga. W powietrzu unosił się kurz wzbijany stopami, kopytami i kołami. Trudno było oddychać, a spocone ciało pokrywało się brudem. Reszta trupy też się męczyła, może z wyjątkiem wysokiej Teyle; dzięki dużemu wzrostowi nie musiała wdychać tyle pyłu. Cymmerianin marzył o kąpieli w chłodnym strumieniu, ale z równym powodzeniem mógłby pragnąć pałacu z rubinów.

Kreg siedział na koźle. Wyglądał na wściekłego. Zapewne za-  
zdrościł Dake'owi uczyty z kupcem. Bardzo dobrze. Każda przykrość,  
która go spotykała, podnosiła Conana na duchu. Może zawiedziony  
sługa dźgnie swego pana nożem w plecy? Kto wie, nie takie rzeczy  
się zdarzają. Nieobecność maga stwarzała okazję do próby ucieczki.  
Tyle że w dzień każdy zauważyłby, co się dzieje. Wprawdzie Cym-  
merianin nie wątpił, że po uwolnieniu się zdołałby z miejsca poło-  
żyć trupem ze dwóch strażników, ale gdyby spowolniła go walka  
z zakłębieniem, Kreg lub któryś z żołnierzy zdążyłby zatopić włócznią  
w jego plecach. Zdawał sobie sprawę, że jest najmniej wartości-  
wym okazem w kolekcji – dlaczego mieliby oszczędzać jakiegos  
barbarzyńcę?

Szedł więc dalej, a czas uciekał. Ale prędzej czy później nadej-  
dzie odpowiednia chwila – wtedy będzie gotowy.

Fosulla kompletnie zaskoczyło to, co się zdarzyło. Nigdy nie  
przyszłoby mu do głowy, że porywacze jego syna dołączą do szere-  
gu wozów jadących przed nimi. Słabo znał zwyczaje ludzi pozaba-  
giennych. Myślał, że duża grupa podążająca przodem to po prostu  
inni podróżni zmierzający przypadkiem w tym samym kierunku. Na  
lewe jądro Zielonego Boga, to ci dopiero komplikacja!

– Gdzie... gdzie my są?

Varg spojrzął za siebie. Balor gramolił się z beczek, próbując  
usiąść. Jedną ręką trzymał się za głowę.

– Na drodze, a gdzieżby?

Grubasowi udało się przyjąć pozycję siedzącą.

– Ale... Toż my dawno minęli wioskę!

– Zajechaliśmy tam z rana – skłamał Fosull. – Nie przypomi-  
nasz sobie?

– Byli my tam?!

– Ma się rozumieć. Sprzedałeś dwie beczki wina, potem posta-  
wiłeś pieniądze na wyścigi karaluchów i wszystko straciłeś.

– Nie może być!

– A jednak.

Balor pokręcił głową, jęknął i objął ją dwiema rękami.

– Nic nie pamiętam. Byłem pijany?

– Ani chybi, skoroś wydoił z tuzin dzbanków wina.

– Tylko? Zwykle po tyłu nie tracę pamięci.

– To przed wyścigiem. Potem wyżłopałeś dwakroć więcej.

– Aaa... to co innego!

– Może i teraz przydałaby ci się kapka, bo wyglądasz, jakbyś zachorzał.

– Nie masz ci lepszego lekarstwa jak klin klinem, co? Chyba dobrze mi radzisz.

Powiedz no mi raz jeszcze, jak ci na imię, mały przyjacielu?

Szeroko uśmiechnięty Fosull nie zdążył zasłonić zębów.

Balor wytrzeszczył oczy.

– Chyba za dużo żem wypił, przyjacielu. Mam zwiidy.

– Powiadają, że wino jest dobre na wszystko, czyż nie?

– Mądrze mówisz. Zrób mi zatem przysługę: powoź dalej, a ja się żdziebko podlecę. Wynagrodzę ci fatygę w Shadizarze. O ile dożyję...

Po tych słowach Balor legł z powrotem z tyłu wozu i sięgnął po małą beczułkę.

Fosull uwolnił się od pijaczyny, ale nadal miał problem. Jak odzyskać syna i wymierzyć sprawiedliwość porywaczom, skoro podróżują pośród tyłu swoich? Może lepiej zrezygnować z zemsty i tylko oswobodzić Vilkena? Oceniał, że znajduje się jakaś godzinę za rzędem wozów. Wkrótce zapadnie zmrok. Na bagnach noc jest sprzymierzeńcem Vargów, dlaczego tu miałoby być inaczej? Po ciemku można zrobić to, co nie uda się w blasku słońca. Zwłaszcza działając z zaskoczenia.

Rzecz jasna, depcze mu po piętach ten przeklęty Jatte. I wie o Fosullu! Wódz Vargów bynajmniej nie marzył, by znaleźć się między młotem a kowadłem: z jednej strony wielu pozabagiennych, z drugiej olbrzym. Bez wątpienia trzeba coś zrobić z wielkoludem, a im szybciej, tym lepiej.

Raptem, zielonoskóremu błysnęła mu w głowie tak zaskakująca myśl, że omal nie zleciał z kozła. Pojawiła się niczym grzyb po deszczu – nie było go i nagle jest. Fosull nie mógł wprost uwierzyć, że coś takiego wylęgło się w jego umyśle. Proste? Ależ tak! Niezwykłe? Bez wątpienia. A jednak... Właśnie znalazł sposób, jak za jednym zamachem rozwiązać dwa problemy: uwolnienia Vilkena i obecności Jatte.

Wódz karłów wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, bo już się nie obawiał, że Balor je zobaczy. Właśnie zaplanował najbardziej zuchwałe posunięcie w historii Vargów. Jeszcze nikt nie ośmielił się tego spróbować. Ale w końcu, czyż nie jest najodważniejszy i najsprytniejszy ze wszystkich współplemieńców? Któż inny zdobyłby

się na tak radykalny krok? To zrozumiałe, że właśnie on będzie pierwszy.

Tak, tylko jego na to stać.

Rzecz jasna, skutki mogą być fatalne, ale cóż warte jest życie bez ryzyka.

Na wszystkich bogów, dokona tego!

Gdy koleiny sześciokołowego wozu poczęły stopniowo niknąć wśród wielu innych, Raseri zdał sobie sprawę, że oto stanął przed nowym problemem. Ścigani jechali teraz w towarzystwie sporej grupy swoich, a to źle wróżyło powodzeniu jego misji. Prawdę mówiąc, brał to wcześniej pod uwagę, ale nie spodziewał się, że dołączą do innych jeszcze przed dużym skupiskiem ludzkim.

Popęłnił błąd, a niełatwo godził się z porażką.

– Niech Stwórca przeklnie was wszystkich! – mruknął pod nosem.

Wódz Jatte tak przejął się własną pomyłką, że mniej koncentrował się na tropieniu zbiegów. Uznał, że dopóki widzi w oddali wóz z winem, nie ma potrzeby wpatrywać się w ślady zbyt uważnie. Okazało się, że znów przyjął zły tok myślenia.

Nagle z krzaków po lewej stronie drogi wyskoczył zakapturzony Varg i zamachnął się włócznią.

– Stój, Jatte!

Raseri natychmiast uniósł swoją broń.

– Zdurniałeś Vargu, że wchodzisz mi w drogę w pojedynkę? – Przygotował się do rzutu. Wycelował grot w małą, zieloną bestię, odchylił ramię do tyłu...

– Nie! Zaczekaj, Jatte.

Olbrzym zdumiał się.

– A niby dlaczego?

– Tropimy tych samych zbiegów.

– I co z tego?

– Porwali mojego syna, Vilkena.

– Tyle mnie to obchodzi, ile krowie łajno.

– Ale pojмали również troje twoich ludzi.

Raseri przypomniał sobie, że wiedza to potęga. Wolno opuścić ramię.

– Widziałeś ich?

– Nie, ale rozpoznałem ślady. Wcześniej, na trakcie. A to znaczy, że jeszcze żyją.



– Stwórcy niech będzie chwała... – odetchnął wódz Jatte. Potem zapytał: – Po co się zatrzymałeś i zagradzasz mi drogę? Chcesz być martwym Vargiem?

– Nie. Pragnę odzyskać syna. Ty też zamierzasz uwolnić swoich. Tamtych jest wielu, a nas tylko dwóch.

– To prawda. A zatem?

– Proponuję... chwilowe przymierze.

Raseri omal nie wybuchnął śmiechem, jednak propozycja go zaintrygowała. Opuścił włócznię jeszcze niżej.

– Przymierze? Jatte z Vargiem? Chyba do reszty zgłupiałeś?

– Różnimy się, dlatego możemy się uzupełniać. Jesteś potężny, ale nie schowasz się tam, gdzie ja. Masz swój spryt, a ja swój. Jestem zwinny, a ty silny. Czyż razem nie mamy większych szans niż w pojedynkę?

Wódz Jatte oparł tępy koniec włóczni o ziemię. Patrzył na Varga ze zdumieniem.

– Jak na zwierzaka, jesteś całkiem bystry. Muszę przyznać, że mówisz do rzeczy.

Varg też opuścił włócznię i wyszczerzył ostre zęby w szerokim uśmiechu.

– Więc rozważysz moją propozycję?

– Już to zrobiłem. Brzmi sensownie, co nie znaczy, że ci ufam.

– Czy wystarczy słowo wodza Vargów, że nie musisz się mnie obawiać, dopóki nie uwolnimy naszych?

– Jesteś przywódcą plemienia?

Zielony stworek wyprostował się i wyprężył pierś.

– Nikim innym. Zwą mnie Fosull.

– A żebym się tarzał w kozim łajnie! Jam jest Raseri, wódz i szaman Jatte.

– Zatem sojusz?

Raseri nie odpowiedział natychmiast. W każdej chwili może rozgnieść Varga jak robaka, jeśli będzie trzeba. Ale na razie, mała bestia gada logicznie.

– Zgoda.

– To dobrze. Chodźmy więc, Raseri. Musimy znaleźć sposób, by odzyskać co nasze.

– Prowadź, Fosullu.

Jatte wolał nie odwracać się do Varga plecami. Wciąż jednak nie mógł wyjść z podziwu. Nigdy nie przypuszczał, że spotka tak rozumny okaz tego gatunku. To przechodziło wszelkie dotychczasowe

we wyobrażenie Jatte o Vargach. Nie doceniał tych małych, zielonych bestii. Omylił się i to bardzo.

Cudom nie ma końca.

Dake czuł w głowie moc wybornego wina, ale trunk nie zaćmił mu umysłu. Wręcz odwrotnie – bardzo go pobudzał. Właściwie dobili już targu, pozostało uzgodnić drobne szczegóły. Uważał, że wyjdzie na tej transakcji lepiej niż jego partner. Umowa przewidywała, że w zamian za opiekę i wcale niemałe wsparcie, Dake będzie oddawał kupcowi ćwierć zysków z pokazywania i innego wykorzystywania kolekcji dziwołagów. Po potrąceniu kosztów, rzecz jasna. Mag nie wierzył jednak, żeby nie udało mu się ukryć prawdziwych wpływów i ograniczyć części należnej patronowi do piętnastu procent. Prędej zatańczy nago na ulicach Shadizaru w koziej skórze na ramionach, niż odda dwadzieścia pięć.

– A co się tyczy procesu zapładniania, to...? – spytał ostrożnie Capeya.

– Co masz na myśli, współniku?

– Czy nie moglibyśmy... hm... pobierać opłaty za wstęp?

Dake ukrył uśmiech, przystawiając sobie do ust drewniany, rzeźbiony pucharek z winem. Może ten kupiec jest sprytniejszy, niż na to wygląda... Świetny pomysł.

Powiedział to głośno, kiwając głową na znak zgody.

– I muszę przyznać, że twój plan stworzenia... cyrku, jak to nazwałaś, wielkiego kręgu pełnego atrakcji, jest godny uwagi – ciągnął Capeya. – Mam posiadłości również w mieście Arenjun oraz kilka mniejszych własności ziemskich w sąsiednim kraju Khauran na południowym wschodzie. Tam mogłyby stanąć niewielkie repliki głównej areny, o ile wyhodujesz tyle nowych dziwołagów, by przyciągnąć ludzi.

– Bez obaw, dobry człowieku. Z pewnością tego dokonam. Posiadam pewne... umiejętności magiczne, które pozwolą mi osiągnąć cel.

– Wspaniale. Widzę, że czeka nas długa i owocna współpraca, przyjacielu Dake.

– Też tak myślę. Wypijmy, zatem, za twoje zdrowie.

– I za twoje.

Obaj mężczyźni wychylili puchary wina.

Po toaście Capeya dwakroć klasnął w dłonie.

Zza kotary wyłoniła się młoda kobieta w przezroczystych, czerwonych jedwabiach. Jadący wóz zakolysał się lekko.

– To jedna z moich niewolnic – wyjaśnił kupiec. – Jest do twojej dyspozycji.

– Wielceś uprzejmy, druhu. Może miałbyś ochotę na wizytę... panny z kolekcji Dake'a? Pragnąłbym się jakoś odwdziaczyć.

Oczy kupca zabłyśły.

– O tak! Młodsza siostra olbrzymki przypomina jedną z moich córek. Z pewnością znalazłbym z nią wspólny język.

Mag uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Bez wątpienia, przyjacielu, bez wątpienia... Zatem, gdy zatrzymamy się na noc, przyprowadzę ją do ciebie, byś miał tę przyjemność.

– Wspaniałomyślny z ciebie człowiek.

– Nie bardziej wspaniałomyślny niż z ciebie.

Uśmiechnęli się do siebie, lecz Dake wyglądał na bardziej zadowolonego. Tu cię mam, współniku, pomyślał. Odsłoniłeś przede mną swoją słabość. Nie zapomnę, że lubisz napastować dzieci.

Nie, żeby maga obchodził los dziewczynki. Sam wykorzystałby ją już wcześniej, gdyby nadarzyła się sposobność. Ale może zrobi to dzisiaj, zanim zaprowadzi ją do kupca?

Mina Dake'a nie wróżyła niczego dobrego.

## XX

Noc rozsypała po niebie gwiazdy, niczym błyszczące ziarnka piasku, małeńkie punkciki przepuszczające światło zza kurtyny ciemności. Księżyc w pełni spowił ziemię bladą, srebrzystą poświatą nadającą cieniom dziwaczne kształty. Z dala od siedzib ludzkich stała karawana. Wokół płonęły ogniska, a zwierzęta pociągowe skubały trawę.

Conan musiał wyjść z wozu za potrzebą. Wracając, przyglądał się obozowi, chłonał wieczorne zapachy. Gdyby był wolny, podobałoby mu się tutaj. Spokojna noc miała swój urok, inny niż wielkomięjski gwar. Nie przeszkadzały mu brak tętniących życiem gospód, gdzie można wypić i znaleźć towarzystwo niewiast.

Gdy zbliżał się do wozu, zauważył ciemną sylwetkę znikającą za pobliską kępą zarośli.

Miał bystre oczy, lecz nawet on nie mógł dostrzec, kto się tam ukrył. Przemykająca postać była mała jak dziecko, ale Cymmerianin wyczuł instynktownie, że w krzakach chowa się jeszcze ktoś. Sam nie wiedział dlaczego, jednak dałby głowę, że druga osoba jest znacznie większa.

Chętnie by to sprawdził, gdyby nie moc zaklęcia nakazująca mu powrót do wozu i obowiązków. Magiczne więzy nie pozwalały na zaspokojenie ciekawości.

W środku pojazdu czekały pilniejsze sprawy.

Morja cicho chlipała w kącie. Teyle siedziała przy siostrze. Podniosła na Conana oczy pełne bólu. Dake zamierzał zaprowadzić dziewczynkę do kupca, by zaspokoić jego perwersyjne zachcianki, i nikt nie mógł temu zapobiec. Wszystkich ogarnęła bezsilna wściekłość, byli bezradni.

Conan zwrócił się szeptem do kocicy:

– Poproś Dake’a, żeby pozwolił ci wyjść. Jak będziesz na dworze, przyjrzyj się ostrożnie krzakom jakieś trzydzieści kroków na lewo stąd.

Tro zrobiła zdumioną minę.

– Ktoś się tam schował. Chcę wiedzieć, kto.

Skinęła głową i przeszła na przód wozu, by porozmawiać z magiem przez zasłonę.

Conan przyłączył się do Teyle.

– Nie pozwólmy mu na to – poprosiła łamiącym się głosem. – Przecież Morja jest jeszcze dzieckiem!

– Może coś da się zrobić – spróbował ją pocieszyć. Rozpacz olbrzymki ścisnęła mu serce.

Teyle spojrzała na niego z nadzieją.

– Co?

Zaczął jej opowiadać o swoim odkryciu, że prawdziwa wściekłość zapewne pokona moc zaklęcia, gdy do środka zajrzał Dake. Conan zamilkł.

– Idę skorzystać z hojności mojego dobroczyńcy – oznajmił mag. – Oczekuje mnie gorąca kobieta w czerwonych jedwabiach. – Popatrzył na płaczącą Morję. – Za chwilę przyjdzie po ciebie Kreg. Przestań się mazać... Albo nie, zaczekaj! Rycz dalej. O ile się nie myślę, Capeyi to się spodoba. – Spojrzał na każdego więźnia z osobna. – A wy zachowujcie się cicho – powiedział. – Wróć rano.

Potem odszedł.

– Conanie...? – odezwała się olbrzymka.

– Zaczekaj chwilę.

Przybył Kreg.

– Chodźmy, wielka dziewczynko. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. – Dziś w nocy staniesz się kobietą.

Wyciągnął Morję z wozu. Teyle rzuciła się za siostrą, ale nagle stanęła, jakby wpadła na niewidzialną ścianę. Dake uprzedził wszystkich, żeby nie próbowali zatrzymywać Krega.

Wróciła Tro.

– Conanie! – powtórzyła Teyle ochryplym głosem.

– Rozumiem, że się o nią boisz – odparł. – Ale zaczekaj jeszcze moment. – Zwrócił się do kocicy. – No i...?

– Tam są dwaj mężczyźni. Jeden bardzo mały jak Vilken. Drugi jak Teyle, nawet większy.

– Ojciec! – wykrzyknęli chórem Vilken i Oren.

Conan uśmiechnął się. Świetnie! Im większe zamieszanie, tym lepiej.

– Słuchajcie uważnie! – powiedział do towarzyszy. – Myślę, że możemy uwolnić się z magicznych więzów Dake'a. I musimy się pospieszyć, jeśli mamy uratować Morję.

– Widziała nas ta kobieta podobna do kota – mruknął Fosull.

– Chyba nie... – zaprzeczył Raseri. – Podniosłaby alarm.

– Nie, jeżeli jest więźniem jak inni.

– Czy to nie dziwne, że ani ona, ani barbarzyńca nie próbowali uciec? Wyszli i wrócili, a przecież nikt ich nie pilnował. Mogli po prostu odejść. Co ich powstrzymało?

Varg pokręcił głową.

– Tego nie wiem. Masz rację, to bardzo dziwne.

Raseri zamyślił się. Potem powiedział:

– No cóż. Dake i jasnowłosa poszli sobie. Ten drugi zabrał moją córkę. Powinniśmy uwolnić tych w wozie, a później Morję.

– Zgadza się. Mnie jest trudniej zobaczyć, więc podkradnę się do pojazdu, a ty zostań na straży.

– W porządku.

Fosull wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i ruszył na spotkanie z uwięzionym synem.

Dake wyciągnął się wygodnie na miękkich poduszkach wyściełających wnętrze wozu i pozwolił ponętnej niewolnicy napełnić pu-

char wybornym winem. Pociągnął łyk i uśmiechnął się do młodej kobiety. Odwzajemniła uśmiech, nieco speszona. Kaganki rozmieszczone tu i ówdzie pod spiczastą plandeką rzucały rozchybotane światło na jej ładną twarz.

– Chciałbym zobaczyć, jak wyglądasz bez tych jedwabi – powiedział mag. – Zrzuć odzienie.

Dziewczyna zrobiła, co kazał. Dake musiał przyznać, że jest na co popatrzeć.

Miała śniadą, gładką skórę, wydatne piersi i szerokie biodra. Ciało stworzone do dawania rozkoszy mężczyźnie, pomyślał.

Wyszczerył zęby.

– Podejdź bliżej.

Conan czuł, jak wzbiera w nim gniew. Wiedział, że w innych też. Nie można dłużej znosić niewolniczego losu, słuchać rozkazów Dake'a, spełniać jego żądań! Dość tego!

Barbarzyńca nie znał skomplikowanych uczuć, kierowały nim proste emocje. Toteż łatwo dawał upust wściekłości. Ale jeśli sądził, że jego towarzyszom przyjdzie to z trudem, był w dużym błędzie.

Oczy Penza płonęły. Ściągnął wargi i groźnie odsłonił kły.

Tro pomrukiwała złowrogo, a Sab zaciskał cztery pięści. Oboje aż się trzęśli.

Wilken zawodził w kółko jakąś niezrozumiałą, monotonna pieśń. Z ust ciekła mu ślina.

Teyle wpatrywała się po prostu w pusty kąt, gdzie przedtem siedziała jej siostra. Ale twarz olbrzymki poczerwieniała. Dziewczyna oddychała szybko i głośno.

Nawet Oren nadał się, jakby zaraz miał pęknąć.

Wspólna, wzbierająca furia była niemal namacalna. Zwolna, niczym ciemny dym wypełniała wóz, wisiała w powietrzu, gęstniała...

Cymmerianin pojął, że nadeszła odpowiednia chwila. Czas ruszać... lub zginąć.

– Teraz! – wrzasnął. – Teraz!

Fosull był niemal u celu, gdy nagle wóz rozleciał się niczym melon rzucony o ziemię. Drzwi z hukiem wypadły z zawiasów. Przez powstały otwór wyskoczył wielki barbarzyńca...

W jego ślady poszedł inny człowiek... nie, młody Jatte. Wrzeszczał na całe gardło...

Bok plandeki rozszarpały ostre pazury. Przez dziurę dał nura wyjący wilkołak...

Przodem wydostali się kobieta-kot i czteroreki mężczyzna. Upadli na ziemię, ale zaraz poderwali się na nogi...

Vilken... Gdzie Vilken? Jest! Rozpruł włócznią drugą część plandeki i rzucił się naprzód ze śpiewem na ustach. Na cały głos zawodził Pieśń Samobójczego Ataku...

Olbrzymka dokończyła dzieła zniszczenia. Wyprostowała się i rozdarła dach niczym pajęczą sieć. Wołała kogoś imieniem Morja...

Fosull stał jak oniemiały pośród tego zamieszania. Nie miał pojęcia, co robić.

– Tędy! – zagrzemiał donośny bas Raseriego zdolny obudzić nieboszczyka.

Wódz Vargów odwrócił się. Uciekinierzy też usłyszeli okrzyk.

– Ojcze! – zawołał Vilken. – Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz!

Fosull uśmiechnął się przelotnie.

– Oto i jestem, synu, choć zamierzałem cię odbić bez takiego hałasu. Szybko! Musimy stąd uchodzić!

– Czy z tobą jest Jatte?!

– Później o tym pomówimy. Ty też jesteś w dziwnym towarzystwie.

– To prawda, ojcze.

Wódz popędził w kierunku przywołującego ich Raseriego. Wrzawa zaalarmowała całą karawanę, zewsząd nadbiegali ludzie. W powietrzu krzyżowały się zaskoczone głosy. Można było zapomnieć o potajemnym odwrocie. Lepiej znikać stąd czym prędzej i przebić włócznią każdego, kto stanie na drodze.

Dake mrucał lubieżnie przy każdym dotknięciu wprawnych rąk i ust nagiej niewolnicy, gdy nagle poczuł w skroniach dziwny skurcz. Przez moment sądził, że z podniecenia, lecz po chwili dotarło do niego, że powód jest inny.

Słudzy wymknęli się spod kontroli!

Mag zerwał się z poduszek, odepchnął zaskoczoną kobietę i zaklął szpetnie.

– Mój panie... czy coś...?

– Zamilcz, głupia! Gdzie moje odzienie?

Zakreślił się, szukając szaty i butów. Już wiedział, iż z każdą chwilą ma coraz mniejszą władzę nad dziwołagami. Dlaczego? Co się stało? Jeszcze nikt nie pokonał mocy zaklęcia! Jak to możliwe? Czyżby Capeya był czarownikiem, a on tego nie dostrzegł? Czy to zdradziecka sztuczka kupca?

Dake ubrał się pospiesznie i wyskoczył z wozu.

W obozie panował zamęt. W ciemności rozlegały się nawoływania, ludzie wpadali na siebie i przeklinali, nikt nie pojmował, co zaszło. Mag pobiegł do swojego wozu, wołając Krega. Na Siedem Piekieł, co się wydarzyło?!

Conan pędził ile sił w nogach, a jednak nie nadązał za Teyle.

Czar prysł, byli wolni, ale Cymmerianin trzymał miecz w pogotowiu. W każdej chwili mogli napotkać Dake'a. Jeśli mag spróbuje znów rzucić zaklęcie, zawczasu poczęstuje go stalą.

Biegnąca przodem olbrzymka wołała siostrę i wtem... z dala doleciała odpowiedź!

Teyle skręciła za skupisko wozów i Conan stracił ją z oczu. Nagle drogę zagrodzili mu dwaj ludzie z krótkimi mieczami.

Cymmerianin biegł za szybko i nawet nie myślał, by ich ominąć. Zamachnął się i sieknął mocno z góry na dół.

Przeciwnicy źle ocenili odległość. Zbyt wolno sparowali cios. Szczęknęła stal i głowa tego z lewej spadła z tułowia. Drugi stracił rękę powyżej łokcia.

Conan tylko trochę zwolnił. Po chwili pędził dalej, słysząc za sobą wrzask mężczyzny z odrąbanym ramieniem.

Dostrzegł Teyle w momencie, gdy dopadła Krega. Pacholek Dake'a puścił Morję i wyszarpnął długi sztylet. Starsza siostra była szybsza. Otwartą dłonią zdzieliła blondyna w twarz, aż chłopak zrobił salto w powietrzu. Rozciągnął się jak długi z roztrzaskanym nosem.

Cymmerianin podejrzewał, że po takim uderzeniu ten pies jest co najmniej nieprzytomny, jeśli nie martwy.

– Teyle!

Olbrzymka odwróciła się do nadbiegającego Conana.

– Wszystko dobrze – wskazała Morję. – Nie zdążyli do wozu kupca.



– To świetnie. A teraz wynośmy się stąd, ale migiem!

Obie skinęły głowami i ruszyły za Conanem.

Byli wolni, ale nic by im z tego nie przyszło, gdyby osaczyły ich strażę. Nawet te tępaki mogły być groźne w większej liczbie. Cymmerianin nie zamierzał umierać tuż po odzyskaniu wolności.

Pobiegli odszukać pozostałych uciekinierów.

## XXI

Grupka oddalająca się w blasku księżyca od karawany kupca stanowiła zaiste osobliwy widok. Conan, wspomagany ostrym wzrokiem kocicy i czułym węchem wilkołaka, prowadził za sobą czwórkę olbrzymów, dwa zielone karty i czterorękiego mężczyznę.

Minęli mały wóz, na którym siedział grubas i trzymał się za głowę. Kiedy podniósł oczy i ujrzał uciekinierów, jęknął coś o nadmiarze wypitego wina.

Cymmerianin narzucił szybkie tempo marszu, gdyż nie wiedział, czy będą ścigani, a jeśli tak, to kiedy wyruszy pogoń. Mimo srebrzystego światła księżyca w pełni, nocny pościg był ryzykowny, zwłaszcza na nieznanym terenie.

Instynkt podpowiedział Conanowi, że lepiej opuścić drogę i wędrować na przełaj. Po co ułatwiać zadanie ścigającym?

Był pewien, że Dake nie zrezygnuje z pojmania swoich niewolników. W końcu, stanowili źródło jego dochodów i nagle stracił cały kapitał. Mag musiał być wściekły. Conan pokazał mu, że człowiek potrafi zrzucić jarzmo niewoli, czym z pewnością mocno uraził jego dumę.

– Uwaga – ostrzegła Tro. – Przed nami dół.

Conan przestał rozmyślać o pościgu i wpatrzył się w mrok. Owszem, na lewo dojrzał zagłębienie terenu. Skręcił w prawo, by je ominąć.

– Nic nie zauważyłem – odezwał się Oren.

– Bo jesteś tylko głupim, ślepym kawałem mięsa – odparł Vilken.

– Tak? Ty za to nie jesteś nawet psim łajnem!

– Spokój! – powiedzieli jednocześnie ich ojcowie.

Cymmerianin uśmiechnął się w ciemności.

Całe szczęście, Dake nie był tak potężnym magiem, żeby potrafił niszczyć wzrokiem. Inaczej wokół niego pozostałyby same zgłiszcza.

Kreg siedział na ziemi u stóp swego pana i trzymał się za złamany nos. Krwawienie ustało, ale w jednej chwili chłopak przestał być przystojnym blondynem.

– Rusz się, durniu! Musimy ich gonić!

Asystent chwycił się koła wozu i wstał niezgrabnie.

– Po ciemku?

– Choćby przez ogień piekielny, jeśli będzie trzeba! – Dake odwrócił się do stojącego w pobliżu Capeyi. – Czy to jakiś problem? Przypominam, że należy ci się czwarta część dochodu od tych, co uciekli.

– A owszem. Toteż zamierzam sprowadzić ich z powrotem. W tej okolicy nie grasują zbójcy. Możemy zostawić tuzin zbrojnych na straży karawany, a dwakroć tyle zabrać ze sobą.

– Zatem przyłączysz się do pościgu?

Kupiec uśmiechnął się.

– Z ochotą. Łowy nie są mi obce. Ubiłem już niejednego dzika i wołu piźmowego. Ludzi łatwiej upolować niż te bestie.

Dake kiwnął głową, ale nie zgadzał się z tą opinią. Dzikie świny czy byki mogą być groźne, lecz nie dorównują człowiekowi sprytem. Poza tym, nie ciskają włóczni i nie wymachują mieczami. Gdyby jednak zbliżył się do uciekinierów, potrafiłby odzyskać władzę nad nimi. Tym razem byłby czujniejszy, a w przyszłości uwięziłby ich pod silną strażą w odpowiednio przygotowanym miejscu. Teraz udało im się psim śwędem, zapewne dlatego, że niewolnica rozproszyła jego uwagę.

– Kiedy możemy wyruszyć? – spytał.

– Za pół godziny.

– Dobrze.

Ludzie Capeyi poczęli szykować się do drogi. Tymczasem Dake zabrał z wozu kilka niezbędnych przyborów – miał w zanadru jeszcze parę zaklęć, do których potrzebował magicznych przedmiotów. Zawsze mógł wywołać deszcz ropuch lub sprowadzić czerwonego demona, ale ta broń nie przyniosłaby należytego skutku. Zbiegowie wiedzieli przecież, że to jedynie iluzja.

Ani przez chwilę nie wątpił, że odzyska niewolników. To tylko kwestia czasu. Uciekli pieszo i z nędznym wyposażeniem. Będzie musiał uważać, by ci najbardziej wartościowi nie odnieśli ran. Inni są mniej ważni. Barbarzyńca Conan już zrobił swoje, nie jest mu

potrzebny. Niebezpieczny typ – zabił jednego strażnika i śmiertelnie zranił drugiego. Im szybciej umrze, tym lepiej.

Po godzinie Conan zarządził krótki postój. Nadeszła chwila, by bardziej formalnie powitać nowych towarzyszy. Teyle zdążyła już wyjaśnić ojcu, jak zostali porwani, i że nie ma w tym winy Conana.

Cymmerianina bynajmniej nie ucieszył widok wodza Jatte. Gdy tylko zobaczył olbrzyma, miał ochotę przebić go mieczem. Ale na razie, Raseri zagrażał mu dużo mniej niż Dake i jego nowi kompani.

Vilken przedstawił Fosulla jako swego ojca.

Conan był pewien, że na miejscu obu wodzów postąpiłby tak samo – żaden człowiek zasługujący na to miano nie zostawiłby swoich dzieci w rękach porywaczy. Ale gdyby miał wybór, najchętniej znalazłby się jak najdalej od tego dziwnego towarzystwa.

Tyle że nie miał wyboru. Owszem, mógłby pożegnać całą gromadkę, ominąć szerokim łukiem karawanę i podążyć do Shadizaru. Zapewne kupiec Capeya ma tam rozległe znajomości, lecz w tak dużym mieście człowiek może zniknąć w tłumie. Przez miesiące lub nawet lata nie spotkałby pewnie ani bogacza, ani jego najemników. Ale Conan nie lubił zasypiać z jednym okiem otwartym i ze świadomością, że musi się ukrywać. Uwierało go to niczym kamyk w butcie. Dopóki się dobrze nie zastanowi, co dalej robić, zostanie tutaj.

– Nie możemy pokazać im drogi do naszych domostw – odezwał się Raseri.

– Zgadzam się z tym – przytaknął Fosull.

Conan pokręcił głową.

– Dake już ją zna. A tam znajdziecie pomoc swoich. Wasze rozumowanie nie ma sensu.

– Czy ten Dake powiedział innym, jak do nas trafić? – zaniepokoił się wódz Vargów.

– Bardzo wątpię – odrzekł Penz. – Nikomu nie zdradza cennych tajemnic.

– A zatem, jeśli zgładzimy Dake’a i jego asystenta, nikt się nie dowie, gdzie żyjemy – stwierdził Raseri.

Conan popatrzył po zebranych.

– Mamy jeden miecz, trzy włócznie, z czego dwie dość krótkie, i zwój liny. Tą bronią raczej nie pokonamy dwudziestu lub trzydziestu dobrze uzbrojonych ludzi, choćby nawet źle wyszkolonych.

– Wykorzystamy element zaskoczenia – zauważył Fosull.

– Pomijając nierówne siły... – ciągnął Conan – wasz problem nie zniknie wraz z zabiciem Dake’a i Krega.

Raseri przyjrzał mu się uważnie.

– Jak to? Nie rozumiem – wtrąciła się Teyle.

– Ponieważ my znamy położenie waszej wioski. – Cymmerianin wskazał na siebie, Tro, Saba i Penza.

– I co z tego? – zdziwiła się olbrzymka.

– Oni nie są Jatte, córko.

– Ani Vargami – dodał Fosull.

Teyle spojrzała ojcu prosto w oczy.

– To Conan nas uwolnił, ojcze. To Conan pomógł mi uratować Morję. I to on stawiał Dake’owi największy opór.

– Co nie czyni go jednym z nas, moja droga.

– Więc chcesz zabić jego i tamtych troje tylko dlatego, że nie są Jatte? – odwróciła się do Fosulla. – Ani Vargami?

– Za to, że wiedzą, jak nas znaleźć.

– Mamy się ukrywać do końca życia, a potem to samo czeka nasze dzieci i wnuki? Do czasu, aż pewnego dnia ludzie pozabagienni nas znajdą, co jest nieuchronne?

– Śmierć też jest nieunikniona, a jednak się przed nią bronimy, jak długo możemy.

Kiedy córka i ojciec rozmawiali, Conan po cichu wyciągnął miecz. Raseri dostrzegł to i sięgnął po włócznię.

– Zatem pora rozstrzygnąć, kto ma żyć, kto umrzeć – powiedział Cymmerianin.

Raseri zerwał się i chwycił broń. To samo uczynili Fosull i Vilken. Penz, Tro i Sab sprężyli się, gotowi do ataku lub obrony.

– Nie! – krzyknęła Teyle.

Raseri nawet na nią nie spojrział.

– Tak być musi, córko.

– To moi przyjaciele! Jeśli ich zabijesz, mi też odbierzesz życie!

– Postradałaś rozum?

– Nie, właśnie go odzyskałam!

Oren i Morja stanęli obok siostry.

– Ona ma rację, ojcze – wtrąciła się dziewczynka. – To nasi przyjaciele.

– Poszaleliście wszyscy?! – zirytował się wódz Jatte.

– Co ty na to, Vilkenie? – spytał Fosull.

– Nie chcę ci się sprzeciwiać, ojcze, ale jak na rzeźne zwierzątka, postępują całkiem słusznie.

– Lepiej posłuchajcie swoich dzieci – doradził Conan. – Bo jeśli dojdzie do walki i my zwyciężymy, zginiecie na darmo.

Trzymał miecz luźno, gotów go użyć w każdej chwili. Już się przekonał, że kości Jatte są wyjątkowo mocne, ale ciało z pewnością nie oprze się ostrej stali.

Jeżeli Raseri tylko spróbuje unieść włócznię, koniec klingi utkwi w jego sercu. Wiedział, że olbrzym jest silniejszy, za to on szybszy. Sprężył się do skoku.

Wielkolud stał spokojnie przez dłuższą chwilę. W końcu przemówił.

– Mój lud zna pewien napój, który sprowadza zapomnienie, zamienia pamięć o niedawnych zdarzeniach. Czy wy czworo zgodzicie się go wypić, jeśli przeżyjemy starcie z Dakiem i jego kompanami?

Cymmerianin popatrzył na człowieka o wilczej twarzy, kobietę o kocich rysach i mężczyznę o czterech ramionach. Każde skinęło głową. Chcąc nie chcąc, stał się ich przywódcą, więc go słuchali.

Spojrzał na Raseriego.

– Jeżeli dasz nam dowód, że ten napój to nie trucizna.

– Wypiję go pierwszy – odrzekł olbrzym. – Czy to wam wystarczy?

– Tak, o ile zapewnisz nas, że stracimy tylko pamięć.

– Macie moje słowo.

– W porządku. Ale skoro dysponujesz takim środkiem, dlaczego nie podałeś go swym poprzednim jeńcom i nie puściłeś ich wolno?

– Nie ufałem tej substancji. Kto wie, mogła przestać działać po jakimś czasie, i co wtedy?

– A teraz się tego nie obawiasz?

– Wolę zaryzykować niż walczyć z własnymi dziećmi.

Conan pokiwał głową.

– Zatem, jeżeli przetrwamy, zgoda.

– Słyszycie?! – zapytał nagle Penz.

Cymmerianin wyteżył słuch, lecz nie mógł odgadnąć, co zaniepokoiło wilkołaka.

– Nadciągają konni – powiedział Penz. – I piesi.

– Lepiej ruszajmy – odrzekł Conan. – Potem pogadamy. To nie miejsce na obronę.

– Słusznie – przyznał Raseri.

Fosull zwrócił się do syna:

– Biegnij naprzód i sprawdź, gdzie będziemy mogli stawić opór.

Wilken zniknął w ciemności. Reszta podążyła za następcą wodza.

– Ślady, wielmożny panie – zameldował jeden z żołnierzy.  
Z wysokości grzbietu dorodnego konia Dake rozpoznał Ryżego, który zatrzymał go na drodze. Odwrócił się do kupca.  
– Myślałem, że go wypatroszysz za nieudolność?  
– Tak bym zrobił, i owszem, gdyby nie fakt, że mimo braku rozumu to nasz najlepszy tropiciel.  
– Współczuję.  
– Wiesz, coraz trudniej znaleźć fachową pomoc.  
Dake zerknął na Krega, który wciąż trzymał się za nos. Święta prawda, pomyślał.  
– Co nam mówią te ślady? – zapytał Capeya.  
Dwaj ludzie Ryżego badali trop w blasku pochodni. On też pochylał się i przyjrzał miękkiej ziemi. Po kilku chwilach wyprostował się.  
– Będzie ich dziesiątka, wielmożny panie – zameldował. – Czwórka dużych i ciężkich, jedno nawet większe od kobiety olbrzymki. Dwójka małych, jakby ten zielony, żabowaty miał ze sobą drugiego takiego. Reszta zwyczajna.  
Dake zamyślił się. Więc doszedł jeden olbrzym i jeden karzeł. Ciekawe...  
Może użyli własnego zaklęcia, by uwolnić swoich i resztę? Choć to wątpliwe. Gdyby byli prawdziwymi czarownikami, nie uciekali by, lecz zniszczyli obóz nieprzyjaciół. Zdziwiający, że podążali za nim taki świat drogi. Uparte bestie. Dobrze wiedzieć.  
Dziwne tylko, że działają razem. Według słów Vilkena, są wrogimi plemionami. Zły znak!  
No cóż... Nic na to nie poradzi. Przecież nie zawróci i nie zrezygnuje z żyły złota. W najgorszym razie upoluje tylko kilka dziwołagów. Lepiej odzyskać co nieco niż starcie wszystko.  
– Szukajmy drani – zdecydował. – Nie mogą być daleko. Jeśli szczęście nam dopisze, złapiemy ich zanim minie następny dzień.  
Pościg ruszył dalej.

## XXII

Vilken wrócił po kilku minutach i zdał ojcu raport.  
– W tamtym kierunku nie ma żadnego wzniesienia. Tylko płaski teren i trochę krzaków. Królik się nie ukryje, a co dopiero my.

Ale jak skęcimy na południe, może przed świtem dojdziemy do skalistych wzgórz.

– Wyprzedzamy pogoń najwyżej o pół godziny – zauważył Conan. – Wprowadź tamci posuwają się wolniej, bo muszą wypatrywać w ciemności naszych śladów, lecz bez wątpienia przyspieszą, jak tylko się rozwidni.

– Co radzisz? – spytał Raseri.

– Cóż... Skierujmy się ku wzgórzom. Na skałach nie zostawimy śladów. Jeśli szybko tam dotrzemy, może zdążymy się przygotować do spowolnienia pościgu.

Nikt nie miał lepszego pomysłu, toteż wszyscy przystali na plan Conana.

Raseri uważał, że opanował sytuację, jak się zresztą spodziewał. Wykonał już jedno zadanie – odzyskał dzieci. Teraz pozostało mu pozbycie się tych, którzy znają położenie wioski Jatte. Wypełnienie tej części misji też powinno się udać. Wcześniej powiedział córce tylko pół prawdy. Śmierci należy unikać jak długo można, o ile czyjaś śmierć nie służy wyższemu celom. Zapłaciłby każdą cenę, byle mieć pewność, że nikt nie znajdzie jego plemienia – oddałby nawet życie.

Conan musi zginać, podobnie jak trójka dziwołagów i porywacze. Jeżeli nie w walce, to w inny sposób.

Jeśli nawet istniały mikstury zaćmiewające pamięć, to Raseri nic o tym nie wiedział. Potrafił natomiast przyrządzić tuzin trujących napojów z pospolitych ziół, liści lub kwiatów. Zamierzał poczęstować takim płynem tych, których skazał na śmierć.

Wprowadził dał słowo, ale złamanie obietnicy złożonej wrogowi nie naruszało norm etycznych olbrzyma. Najważniejsze było bezpieczeństwo jego ludu. Jako wódz i szaman miał obowiązek chronić swe plemię bez względu na koszty. Musiał tylko przetrwać tak długo, by zdążyć zlikwidować zagrożenie. Wierzył, że własny spryt pozwoli mu uniknąć bezpośredniej konfrontacji z Conanem i dziwołagami, dopóki nie zniszczy wszystkich przeciwników Jatte.

Fosull chętnie zabrałby Vilkena i odłączył się od reszty, gdyby wierzył, że to da im większą szansę bezpiecznego powrotu do domu. Ale choć nie ufał żadnemu ze swych towarzyszy z wyjątkiem syna,

uważał ich obecność za mniejsze zło niż odpieranie ataku we dwóch. W zamieszaniu zawsze mogą uciec. Zawczasu posmarował grot włóczni sokiem z jagód *glit*, które były tak silnie trujące, że ofiara umierała w ciągu kilku uderzeń serca. Zazwyczaj myśliwy unikałby używania trucizny, bo upolowana zwierzyna nie nadawałaby się do jedzenia. Jednak do samoobrony potrzebniejsze jest oddychanie niż jedzenie.

Kiedy grupka uciekinierów przedzierała się przez ciemność w stronę wzgórz, Fosull zastanawiał się, kogo z jego potencjalnych przeciwników należałoby dźgnąć w pierwszej kolejności, gdyby miało do tego dojść. Raseri był najsilniejszy i z pewnością najniebezpieczniejszy – Fosull widział, jak Jatte ciska włócznią i przeszywa Varga na wylot z odległości ponad stu swoich kroków. Ale nie można też lekceważyć Conana. Podczas marszu Vilken szeptem opowiadał ojcu o niewoli u Dake'a. Ze słów młodzieńca wynikało, że barbarzyńca to również nie lada siłacz, w dodatku bardzo szybki. Olbrzymki lepiej nie ignorować – zabiłaby Varga jednym ciosem lub kopniakiem. Bliźniaki wydawały się groźne, choć bez wątpienia mniej potrafiły. Wilkołak, kocica i czteroręki stanowili wielką niewiadomą. Niedobrze. Najgorszy jest wróg, o którym nic się nie wie. Trudno zgadnąć, do czego zdolna jest ta trójka. Fosull przekonał się na razie, że mają wspaniały wzrok i słuch, a to wystarczyło, by go powstrzymać.

Wódz Vargów szedł tak zamyślony, że omal nie potknął się o kamień. Uwważaj, głupcze! Tylko tego brakuje, żebyś upadł i złamał sobie nogę akurat teraz, gdy planujesz, jak pokonać tylu wrogów!

Fosull czuł, że krótki rozejm z Raserim służący ratowaniu dzieci przestał obowiązywać. Jeśli to całe towarzystwo zginie i pójdzie prosto do Zielonego Piekła, nie ma zmartwienia. Jeśli wymkną się pogoni i przeżyją, spróbuje dopilnować, żeby tam trafili, o ile uda mu się to zrobić bez nadmiernego ryzyka. Szkoda byłoby marnować tyle dobrego mięsa – z drugiej strony, trudno oczekiwać, że doniesie je do domu, zanim się zepsuje. Lepiej więc, żeby Raseri i jego rodzina zginęli i ulegli zepsuciu tutaj, niż żeby mieli potem zabijać Vargów.

W końcu, każdy musi przede wszystkim troszczyć się o swoich.

Conan dotarł do wzgórz przed innymi i zaczął szukać sposobu, jak zatrzymać pogoń. Pośród skałek biegła ścieżka wydeptana przez



zwierzęta. Prowadziła do rozpadliny między wysokimi ścianami z czerwonego kamienia. Przesmyk miał szerokość dwóch kroków.

Gdy na niebie rozblęskło słońce, Cymmerianin zaczął się wdrywać na prawą ścianę. Wspiął się z wprawą górala nabytą w dzieciństwie w ojczystym kraju i szybko wy dostał się na szczyt skały pięciokrotnie wyższej od niego.

W oddali zobaczył pieszych i jeźdźców; wciąż byli jakieś pół godziny drogi za uciekinierami.

Rozejrzał się.

– Hej, Conanie! Co tam zamierzasz? – zawołał z dołu Penz.

Cymmerianin wychylił się za krawędź. W szczelinie zebrała się już cała grupka.

– Zgotować niespodziankę naszym znajomym. Możesz tu wleźć ze swoją liną?

– A pewnie!

Kiedy wilkołak znalazł się na górze, Conan już układał głazy na brzegu wąskiej półki skalnej. Z jednej strony podparł chwiejny stos drobnymi odłamkami, na wierzchu umieścił kilka dużych kamieni.

– Wystarczy tej liny, by spuścić ją do ziemi i przeciągnąć w poprzek ścieżki?

– Jest dwakroć dłuższa.

– Odmierz, ile potrzeba.

Penz zrobił to i Conan odciął mieczem kawał sznura. Owiązał jeden koniec wokół kamieni podpierających piramidę, resztę opuścił ostrożnie w przepaść. Musiał uważać, by lina nie pociągnęła za sobą lawiny.

– Hej, tam w dole! Lepiej się odsuniecie – ostrzegł.

Potem razem z Penzem dołożyli więcej głazów do stosu. Dwa niewielkie kamienie osunęły się, grożąc konstrukcji zawaleniem, lecz w ostatniej chwili Cymmerianin i wilkołak zdolali temu zapobiec.

Conan spojrzął w kierunku pogoni.

– Będą tu za kilka chwil. Zejdźmy i przygotujmy się.

Szybko opuścili się na dno szczeliny. Conan przywiązał luźny koniec liny do kamienia leżącego w głębokim cieniu i przeciągnął ją przez rozpadlinę. Miał nadzieję, że pieszy ani jeździec nie zdąży jej zauważyć na tyle wcześnie, żeby uniknąć zawadzenia o przeszkodę.

Pojawił się Vilken. Ojciec wysłał go do Conana z raportem.

– Ścieżka wiję się w górę wśród skał – zameldował. – Wyżej ciągnie się kawałek płaskiego terenu, potem zaczyna się zbocze. Ojciec mówi, że jeśli tam dotrzemy, konni nie będą mogli nas ścigać.

Cymmerianin skinał głowę.

– To dobrze. A jeśli zatrzymamy ich tutaj, nie dogonią nas nawet pieszo.

Penz zwinął resztę liny i zarzucił na ramię.

– A jeżeli okrażą te skały i ominą naszą pułapkę?

– Musimy się postarać, żeby tego nie zrobili – odparł Conan.

– Jak?

– Ty dołączysz do reszty, ja zostanę z tyłu na wabia.

Penz skinał głowę. Wilcza twarz pozostała bez wyrazu, ale powiedział: – Bądź ostrożny, Conanie. Założę się, że Dake chce nas mieć żywych, lecz ciebie z pewnością będzie wołał martwego.

– Bez obawy, przyjacielu. Cymmerianie potrafią szybko uciekać w razie potrzeby. Wkrótce was dopędzę.

Kiedy Penz i Vilken odeszli, Conan wrócił do wylotu skalnej szczeliny, uważając, by nie zaczepić nogą o sznur.

Nie musiał długo czekać.

Dake i Capeya jechali w środku falangi, mając z przodu i z tyłu konnych oraz pieszych. Brzask zastał ich w pobliżu skalistych wzgórz.

– Koniom będzie ciężko się tam wdrapać – zauważył kupiec. – Lepiej okrzyki te wzniesienia. Tamci pewnie kierują się ku zboczom za skałami.

– A nie schowali się czasem wśród skał? Może czekają, aż ich ominiemy?

– Nie sądzę. Nasz tropiciel zauważyłby brak śladów po drugiej stronie i byłiby w pułapce. Mamy dość ludzi, by otoczyć te kamieniste pagórki. Kilka celnych strzał położyłoby trupem każdego, kto chciałby się wymknąć. Tylko durnie szukałoby tu schronienia.

– Pobożne życzenia... – mruknął Dake.

Capeya już miał wydać rozkaz, by czoło kolumny zaczęło skręcać, gdy Dake usłyszał krzyk.

– Są tam!

Mag ścisnął kolanami grzbiet wierzchowca i uniósł się w siodle. Okrzyk wydał najlepszy tropiciel – Ryży.

Na skraju skalnego wzniesienia stał Conan. Najwidoczniej zobaczył nadciągającą pogoń, bo nagle odwrócił się i dał nura w szczelinę.

– Za nimi! – wrzasnął Capeya.

Czterej pierwsi jeźdźcy spięli rumaki i pocałowali naprzód. Spod kopyt wytrysnęły fontanny piachu. Za konnymi pobiegł zastęp pieszych. Mimo zbroi, poruszali się całkiem żwawo.

Kreg nie chciał być gorszy. Wbił pięty w boki wierzchowca i pogalopował za czołem pościgu.

Dake spojrzął na kupca, a ten uśmiechnął się. Żaden nie był na tyle głupi, by brać udział w walce. Niech ryzykują ci, którym się za to płaci.

Capeya odwrócił konia, by ponaglić jeźdźców i pieszych z tylnej straży.

– Ruszać się! Szybciej!

Kiedy wszyscy zbrojni pośpieszyli ku skałom, dwaj wspólnicy ruszyli wolno na końcu. Najemnicy dostali rozkaz, by oszczędzić dziwolągi. Ale na tego, kto przyniesie głowę barbarzyńcy, czekała sakiewka pełna srebra. Zważywszy liczbę chętnych, Conan powinien wkrótce dołączyć do swych przodków.

Dake i Capeya dojechali do wylotu szczeliny, gdy pierwszy jeździec zapuścił się w głąb wąskiego przesmyku. Conan zniknął.

Maga ogarnęło złe przecucie. Spojrzął w górę i zobaczył stos głazów. Nagle jego uwagę przykuł oświetlony słońcem skrawek ściany. Co to za cień? Czy to lina zwisa w poprzek rozpadliny? Co tu robi kawał sznura?

I naraz zrozumiał.

– Stać! – krzyknął. – Zasadzka!

Za późno. W gnieniu oka lina naprężyła się mocno. Z krawędzi prawej ściany posypał się grad skalnych odłamków. Leciąły ich tuziny, spadały na ludzi i konie. Niektóre kamienie miały wielkość ludzkiej głowy, inne nawet cztery czy pięć razy taką. Z wąskiego wąwozu nie było ucieczki – droga w przód i w tył została odcięta. Wybuchła panika. Ci na samym końcu próbowali jeszcze zawrócić.

Jeździec z czoła pościgu zaciął konia i wyrwał przed siebie. Nie ujechał daleko. Spadający głaz zwałił go z siodła i przygwoździł do ziemi. Mężczyzna zginął ze zmiażdżoną czaszką. Rumak cudem wy dostał się z pułapki.

Dake miał wrażenie, że ta scena rozgrywa się w zwolnionym tempie, ciągnie się niczym gęsty syrop w zimowy dzień.

Dwaj piechurzy padli przygniecieni jednym wielkim kamieniem. Rozległ się tylko chrzęst kości.

Para konnych skołała pod lawiną mniejszych odłamków. Nieśczęsne zwierzęta podzieliły los jeźdźców. Dake nigdy nie słyszał tak przeraźliwego końskiego wrzasku.

Ryży ukrył się pod skalnym występem. Odprysk roztrzaskującego się obok głazu ugodził go w szyję niczym sztylet. Z rany buchnęła krew, gdy wyszarpnął kamienną drzazgę. Upadł i ziemia wokół zabarwiła się na czerwono. Szczęście opuściło Ryżego wraz z uchodzącym życiem.

Kreg znalazł się w rozpadlinie wraz z innymi. Zeskoczył z konia i pobiegł z powrotem, trzymając się lewej ściany. Bogowie czuwający nad głupcami musieli wziąć go w opiekę zamiast Ryżego, bo wyszedł z opresji bez jednego draśnięcia.

Kiedy kurz opadł, Capeya i Dake obliczyli straty: sześciu zabitych na miejscu, dwóch konających, trzech rannych. Padły trzy konie, a jeden dogorywał i nadawał się tylko pod nóż.

Zdradzieckie uderzenie sprawiło, że siły ich małej armii stopniały o jedną trzecią.

– Żeby wypięli się na ciebie wszyscy bogowie! – ryknął za Conanem Dake, choć bez wątplenia barbarzyńca był za daleko, by go usłyszeć. Mag poprzysiągł sobie, że jak tylko dopadnie tego drania, obedrze go żywcem ze skóry, posoli i będzie patrzył, jak zdycha w męczarniach!

Ale najpierw musiał złapać Cymmerianina.

## XXIII

– Udało się? – zapytała Teyle.

– I owszem – odrzekł Conan.

– Ilu zginęło? – chciał wiedzieć Raseri.

– Nie zatrzymywałem się, żeby policzyć.

Grupka prawie dotarła do stromych zboczy i na razie nie widać było pogoni.

– Może zabiłeś wszystkich? – podpowiedziała Morja.

– Nie wydaje mi się – skwitował Fosull.

– Może już nie będą nas ścigać – wtrącił Oren.

Penz, Tro i Sab popatrzyli na siebie.

– Dake nie zrezygnuje, choćby miał przyjść po nas sam – powiedział wilkołak. – Wystarczy mu zbliżyć się do ofiary na kilka kroków, żeby rzucić zaklęcie.

– Już raz wyrwaliśmy się z jego mocy – przypomniał Vilken. – Dlaczego nie miałyby się nam udać po raz drugi?

– Wtedy nie uważał – wyjaśnił Sab. – Jeżeli teraz damy się złapać, uwięzi nas pod strażą. Co z tego, że przełamiemy moc zaklęcia, skoro nadziejemy się na sztylety. Poza tym, zna jeszcze inne czary.

– Nie boję się deszczu ropuch, ani nieprawdziwego demona – odparł Vilken.

– On potrafi robić różne rzeczy – odezwała się cicho Tro. – Ma w zanadru nie tylko iluzję.

– Właśnie – przytaknął Penz. – Rzecz jasna, większość sztuczek jest raczej na pokaz. Zamienia wino i każdy inny płyn w czystą wodę. Używa do tego zielonego proszku. Wypowiada magiczne słowa i ciało staje w ogniu. Wywołuje oślepiające błyski światła. Wdzieliśmy to na własne oczy.

– Zamiana wina w wodę niewiele mu pomoże – rzekł Conan, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

– To niebezpieczny przeciwnik – ostrzegła Tro. – Prędzej będzie nas ścigał na koniec świata, niż przyzna się do porażki. Znamy okrutnika.

– Więc dobrze – odpowiedział Conan. – Znajdźmy miejsce dające nam przewagę i skończmy z nim raz na zawsze. – Rozległy się zaniepokojone pomruki, lecz Cymmerianin uciął dyskusję. – Nie zamierzam oglądać się za siebie do końca życia i bać się Dake’a czy kogokolwiek innego. A skoro Raseri i Fosull obawiają się pokazać im drogę do swoich, gdzie dostalibyśmy pomoc, sami musimy zaatakować i zwyciężyć... lub przegrać.

– Nawet, jeśli w twojej zasadzce zginęła połowa przeciwników, wciąż jest ich więcej niż nas – zauważył Penz.

Conan popatrzył po twarzach towarzyszy.

– Dake zagraża nam wszystkim. Ci, co znają go najlepiej, mówią, że nigdy nie przestanie na nich polować. Posiada magiczną moc zdolną obezwładnić nawet silnego mężczyznę. Już wie, gdzie żyją Jatte i Vargowie. Jeśli zgubi nasz trop, co powstrzyma go przed cofnięciem się na bagna, by zacząć się tam i spokojnie czekać? Sześcioro z was musi w końcu wrócić do domu, prawda?

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że Cymmerianin rozumuje logicznie.

– Conan ma rację – przyznał Raseri. – Musimy zgładzić Dake’a i jego psa. Inaczej nigdy nie zaznamy spokoju.

– Ależ wszyscy możemy zginąć! – zaprotestował Sab.

Conan spojrzął na czterorękiego.

– Czyż śmierć nie jest lepsza od życia w niewoli i spełniania każdej zachcianki Dake’a?

Tro i Sab porozumieli się wzrokiem. Kocica lekko skinęła głową.

– Jasne – odrzekł czteroręki. – Jesteśmy z tobą.

– Ja też – dorzucił Penz.

Głos zabrał Fosull.

– Wprawdzie można by zwać ich na bagna, gdzie rozprawiliby się z nimi moi wojownicy, jednak zgadzam się z Conanem.

– Im szybciej pozbędziemy się Dake’a, tym lepiej – mruknął Raseri.

– Muszą zostawić konie, żeby wdrapać się za nami na tamte wysokie zbocza – powiedział Conan. – Jeśli znajdziemy dobre miejsce do obrony, uzyskamy przewagę. Ruszajmy.

Choć Cymmerianin nie był najstarszy i zapewne nie najmądrzejszy ze wszystkich, reszta uznała jego przywództwo. Wiedzieli, że jest doświadczonym wojownikiem. Conan wcale nie miał pewności, czy zdoła pokonać ścigających, ale nie zamierzał rezygnować z okazji wypróbowania na nich swego miecza. Pozostawał prosty wybór: wygrać lub przegrać, przeżyć albo zginąć. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz łatwo się z tym pogodził. Wynik walki będzie zależał od jego umiejętności. Czyż można znaleźć lepszy sposób sprawdzenia się niż rzucenie na szalę własnego życia?

Gdy wspinali się coraz wyżej i wyżej, Raseri uśmiechał się do siebie. Sprawy same układały się tak dobrze, jakby on sam nimi kierował. Kiedy tylko Dake, Conan i dziwolągi zginą – zatryumfuje. Nieważne, jak umrą. Ale wkrótce z pewnością dokonają żywota. Czy polegną w walce, czy padną od trucizny – to bez znaczenia.

Fosull doszedł do wniosku, że perspektywa walki nawet mu odpowiada. Ludzie pozabagienni byli silniejsi, za to stanowili większe cele dla włóczni. Rzecz jasna, będzie musiał oglądać się za siebie, ale lepiej działać, niż odejść stąd i już zawsze wędrować donikąd. Czy bogowie mu pomogą, czy nie, bez wątpienia żywią do niego trochę ciepłych uczuć – tego był pewien. Oczywiście jego bogowie są daleko, lecz ludzie pozabagienni pewnie mają w tych górach kilku swoich, których można by wezwać? A zatruta włócznia rzucona z bliskiej odległości nie zmieni kierunku lotu, chyba że bogowie przy-

łożą do tego rękę. Jeśli wódz Vargów ciska swą dzidę, co najmniej jeden z wrogów ginie, to pewne.

Kreg podjechał do Dake'a. Pokryty warstwą czerwonego pyłu wyglądał gorzej niż przedtem.

Mag popatrzył na umorusanego asystenta.

– No i...?

– Zapuscili się w góry. Szlak jest wąski, stromy i kamienisty. Nie dla koni.

Dake spojrział na Capeyę. Kupiec drzemał w siodle, kołysząc się w rytm kroków wierzchowca. Nagle ocknął się.

– Co? Co się stało?

– Wkrótce będziemy musieli zsiąść z koni – wyjaśnił czarodziej. – I ściegać ich pieszo.

Capeya lekceważąco machnął ręką.

– Nie urodziłem się na końskim grzbiecie. Potrafię chodzić jak każdy.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

– Za kilka godzin zrobi się ciemno – powiedział kupiec. – Tamci z pewnością przerwą wspinaczkę. Moi ludzie mają pochodnie, więc dogonimy zbiegów.

– Jesteś wytrawnym łowcą – pochwalił Dake.

– A tak. Moim ofiarom rzadko udaje się umknąć.

Mag odwrócił się do Krega.

– Wracaj na szlak. Każ ludziom uwiązać zwierzęta i rozbić obóz. Jeśli Capeya pozwoli, zostawimy kogoś przy koniach do naszego powrotu.

Kupiec skinął głową i asystent odjechał.

– Wkrótce będą nasi – zapewnił Capeya. – Znajdą się w pułapce jak osaczone dziki.

– Z pewnością. Ale musimy uważać. Dziki nie zrzucają głazów na myśliwych.

– Masz rację.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Conan i jego towarzysze znaleźli to, czego szukali. Kręty, górski szlak wydeptany przez zwierzęta doprowadził ich do bardzo wąskiej i stromej ścieżki. Odchodziła w bok i pięła się wysoko aż do rozległej skalnej półki

o powierzchni dużej chaty, może nawet małej gospody. Wdrapanie się tam wymagało nie lada umiejętności i ostrożności; ludzie to nie górskie kozice. Tylko nadzwyczaj dobry łucznik mógłby wypuścić ze szlaku strzałę, która doleciałaby do skalnego występu.

Cymmerianin wspiał się do krawędzi półki. Powyżej wznosiło się niemal pionowe zbocze, wysokie na kilkaset kroków. Nie było sposobu, by wejść tam inaczej niż ścieżką. Chyba że ktoś okrążyłby górę i dotarł na szczyt z drugiej strony, co zajęłoby dzień lub dwa. Albo potrafiłby latać. Ale ścigający ich ludzie nie mieli ani czasu, ani skrzydeł. Miejsce doskonale nadawało się do obrony. Atakujący musieliby pięć się gęsiego, a fałszywy krok groził ześlizgnięciem się w dół.

Conan zszedł z powrotem na szlak.

– Wkrótce zapadnie noc. Tam rozbijemy obóz – powiedział, wskazując półkę. – Nikt nie zaprotestował, więc Cymmerianin ciągnął dalej. – Zobaczą, czy uda mi się upolować kilka królików lub inną drobną zwierzynę. Przez ten czas wdrapcie się na skalny występ. Możecie nazbierać trochę kamieni na wypadek, gdybyśmy mieli nieproszonych gości.

Kiedy grupka uciekinierów rozpoczęła ryzykowną wspinaczkę, barbarzyńca ruszył na poszukiwanie kolacji.

Małe ognisko wystarczyło do upieczenia dwóch królików i trzech wiewiórek ziemnych. Posiłek nie był obfity, ale burczenie w pustych żołądkach ustało. Po drodze kilkakrotnie gasili pragnienie w górskich strumykach, lecz brak pożywienia zaczął dawać się im we znaki.

Po jedzeniu Raseri podszedł do krawędzi półki. Fosull i Vilken siedzieli z dala od niego i rozmawiali szeptem. Penz pokazywał bliźniakom sztuczki z liną. Tro i Sab przytulali się do siebie pod skalną ścianą.

Teyle wyssała szpik z kości i cisnęła ją w ogień. Conan przeżuwał ostatni kęs mięsa.

– Jeszcze nie miałam okazji podziękować ci za uwolnienie nas i uratowanie honoru mojej siostry – odezwała się olbrzymka.

– Nie ma o czym mówić.

– Wręcz przeciwnie. – Teyle wzdrygnęła się.

– Zimno ci?

– Trochę.

Conan przysunął się bliżej i otoczył dziewczynę ramieniem, na ile zdołał sięgnąć. Ulżyła jego bolącemu ciału i była niewiastą, więc przynajmniej mógł spróbować ją ogrzać.



– Mój ojciec pragnie twojej śmierci tak samo jak śmierci Dake'a – rzekła.

– Tak?

– Bardzo zależy mu na tym, by nikt nigdy nie odnalazł Jatte.

– Przecież ma napój sprowadzający zapomnienie, więc...?

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

Conan spojrział w stronę Raseriego.

Teyle zorientowała się, że powiedziała za dużo.

– Jest szamanem, więc oczywiście zna zioła, o których ja nie mam pojęcia – dorzuciła szybko. – No i dał słowo.

Jej lojalność wobec ojca była godna pochwały, ale Conana bynajmniej nie uspokoiło to pospieszne oświadczenie. Nie mógł zapomnieć, że Raseri z przyjemnością zamęczyły go na śmierć w imię swojej „filozofii naturalnej”. Na ile można ufać komuś takiemu? Co warte jest jego słowo? Wiara w dobre zamiary Teyle zaprowadziła Conana do klatki. Wprawdzie później uznał, że może polegać na olbrzymce, ale nie powiedziałby tego o Raserim.

Życie nauczyło Cymmerianina, że ludzie zbyt poważnie traktujący swe obowiązki potrafią być bardzo niebezpieczni.

Coś obudziło Conana z drzemki. Ogień dawno wygasł, resztki drewna żarzyły się tylko i lekko dymiły. Wśród skał panował nocny chłód. Wszyscy spali. Cymmerianin usiadł i rozejrzał się.

Niskie, ciężkie chmury przysłaniały większość gwiazd i księżyc. Powietrze stało w bezruchu.

Co przerwało barbarzyńcy sen...?

Daleko w dole, na szlaku, błysnęło nagle, pomarańczowe światło. Po chwili pojawiły się następne. Conan rozpoznał pochodnie. Grupa ludzi wolno pokonywała kolejne zakręty. Byli może godzinę drogi stąd, lecz nieprzerwanie pięli się do góry.

Cymmerianin potrząsnął Teyle.

– Co...?

– Nadchodzą nieproszeni goście. Zobacz.

Z tyłu usłyszał, jak inni zaczynają wstawać. Obudziła ich cicha rozmowa lub może także instynktowne przeczucia.

Penz przysunął się bliżej.

– Są albo bardzo odważni, albo bardzo głupi, żeby iść przez góry po ciemku tak niebezpieczną trasą.

Tro podeszła do krawędzi półki. Popatrzyła w ciemność i wróciła.  
– Są za daleko, żebym mogła dokładnie policzyć, ale jest ich co najmniej piętnastu, może więcej.

– Zatem w twojej pułapce zginęło niewiele – stwierdził Penz.

– Szkoda. Myślałem, że pójdzie lepiej – odrzekł Conan.

– I co teraz? – spytała Teyle.

– Zaczekamy.

– Może będziemy mieć szczęście i nas nie zauważą? – odezwała się Morja.

– Gdyby poszli dalej, wrócilibyśmy na dół i ukradli im konie – dodał jej brat.

– Nie – odparł Raseri. – Wybraliśmy to miejsce, by stoczyć walkę. Chyba powinniśmy dać im znać, gdzie jesteśmy. Co ty na to, Conanie?

Cymmerianin zgodził się z wodzem Jatte. – Nocą nie wdrapią się tutaj, to pewne. Będą musieli poczekać do świtu. Kiedy dojdą do ścieżki i przystaną, kolejny grad kamieni dobrze im zrobi.

Na skalnej półce leżało niewiele luźnych głazów. W dodatku, jedne były zbyt małe, inne zbyt duże, żeby spełniły swoje zadanie. Jednak wokół wałało się trochę odłamków wielkości pięści czy nawet głowy. Każdy z uciekinierów zebrał po kilka. Krzętały się jak najciszej, co nie było łatwe w ciemności.

– Na mój rozkaz rzucajcie kamienie, jak szybko potraficie. Celujcie w pochodnie, jeśli nie zobaczycie nic innego. Zostawcie trochę na rano.

Conan ścisnął w prawej dłoni odłamek niewiele większy od jego pięści. W lewej miał w pogotowiu drugi, mniejszy. Jeśli dopisze im szczęście, roztrzaskają kilka czaszek lub strącą ze szlaku trzech czy czterech ludzi. Liczy się każde osłabienie wroga.

Patrzyli na wspinający się ku nim pościg. Conan wiedział, że trzeba działać szybko. Nie przetrwają długiego oblężenia – nie wystarczy im żywności, a woda już jest na wyczerpaniu. Za dzień lub dwa wszystko musi się skończyć.

W ten czy inny sposób.

## 24

Żołnierz idący tuż przed Dakiem jęknął i nagle poleciał głową w dół. Drąc się na całe gardło, stoczył się ze zbocza. Na szlaku pozostała tylko pochodnia. Co się dzieje?! Co to za łoskot?

Mag raptem zdał sobie sprawę, że z góry spadają kamienie!

– Są nad nami! – wrzasnął. – Kryć się!

Łatwiej było wydać ten rozkaz, niż go wykonać. Z jednej strony zdradliwego szlaku wyrastała tylko naga, skalna ściana. Z drugiej opadała stroma pochyłość. Skok w dół groził zsunieniem się na dno przepaści i groźnym zranieniem lub śmiercią.

Najemnik za Dakiem wykrzyknął głośne przekleństwo i upadł z przetrąconą nogą. W świetle pochodni mag ujrzał nagą kość złamanej kończyny.

Mężczyźni niosący płonące żagwie pojęli w mig, że są dobrze widocznym celem. Cisnęli je daleko od siebie i wokół zapadła ciemność, co tylko wzmogło panikę.

– Ty durniu! – ryknął Capeya, gdy wpadł na niego jeden z ludzi, który rzucił się do ucieczki. – Każę cię wypatroszyć, poćwiartować i... hrrrr...

Głos uwiązał w krtani kupca. Capeya nie dokończył gróźb. Skala wielkości ludzkiej głowy roztrzaskała mu czaszkę niczym pięść skorupkę jajka.

W ten oto sposób Dake stracił bogatego patrona.

– Niech cię Set przeklnie! – wrzasnął mag w ciemność. Sięgnął do pasa i wyszarpnął z sakwy Flaszkę Błyskawic. – Zasłońcie oczy!

Wypowiedział dwa z trzech magicznych słów i odkorkował butelkę. Rzucił ją do góry, jak najwyżej mógł, i dokończył zaklęcie.

Conan był zadowolony, widząc kilka pochodni spadających ze zbocza. Pierwszy atak zakończył się powodzeniem. Kamień to dobra broń, jeśli umie się ją wykorzystać; na dużą odległość lepsza od miecza...

Wtem pośród krzyków rannych i przerażonych usłyszał jakby znajomy głos.

– Zasłońcie oczy! – dobiegło z dołu.

Czy to nie Dake? I czy Penz, Tro i Sab nie wspominali o zaklęciu, które oślepia?

Conan ledwo zdążył się odwrócić i zacisnąć powieki. Mimo to, jego źrenice poraził przeraźliwie jasny blask. Wokół zrobiło się biało. W oczach zawirowały mu czarne punkty.

Światło zgasło tak szybko, jak się pojawiło. Conan otworzył oczy. Widział dobrze, choć plamy jeszcze całkiem nie zniknęły.

Inni mieli mniej szczęścia.

– Na Zielonego Boga, straciłem wzroku! – wykrzyknął Fosull.

– Ja też! – zawtórował mu Vilken.

Wszyscy zostali mniej lub bardziej oślepieni. Jedni nie usłyszeli okrzyku, inni nie pojęli w porę, na co się zanosi. Tylko czteroręki widział równie dobrze jak Conan, bo dwiema dłońmi zdołał zakryć oczy.

Obaj cisnęli ostatnie kamienie i pospieszyli na pomoc towarzyszom. Bali się, żeby ktoś poruszając się na oślepie nie spadł z półki.

– Ani kroku! – zawołał Conan. – Ja i Sab zabierzemy was z krawędzi.

Dake zauważył, że grad kamieni ustał. Kiedy dwa ostatnie odłamki spadły daleko za nim, uświadomił sobie, że musiał oślepić atakujących. Utrata wzroku trwała zaledwie kilka minut – z pewnością za krótko, by zdołał zebrać ludzi i przypuścić szturm. Podejrzał, że gdyby nawet dokładnie znał pozycję zbiegów, nie byłoby łatwo dotrzeć tam i pochwycić drani. W każdym razie, nie po ciemku.

Czyjaś postać zamajaczyła na szlaku. Ktoś szedł w jego kierunku.

– Dake?

Kreg. Wyglądało na to, że jeśli którykolwiek z bogów czuwał dotąd nad tym półgłówkiem, jeszcze nie zrezygnował z opieki.

– To oni? – zapytał Kreg.

– Owszem. Chyba że króliki albo wiewiórki nabrały zwyczaju ciskania w ludzi kamieniami.

– Co zrobimy?

– Na razie nic. Wstrzymali atak. Wkrótce się rozwidni. Kiedy zaczniemy ich widzieć, zdecydujemy, co dalej.

– Aha...

O brzasku Dake wychylił się zza skały i spojrzął w górę.

Ze zbocza wystawała rozległa półka. Wyglądała jak dziób statku. Choć z dołu nie mógł nikogo dostrzec, postawiłby złotego solona przeciw miedziakowi, że to kryjówka zbiegów.

Dostanie się tam i pojmanie ich wydawało się piekielnie trudne. Do występu prowadziła bardzo wąska i stroma ścieżka usłana luźny-

mi, drobnymi kamykami. Pośliznięcie się na żwirze groziło fatalnym upadkiem. Dake nie miał ochoty na niebezpieczną wspinaczkę, zwłaszcza wśród lecących głązów.

Sprawy nie układały się po jego myśli. Chował w rękawie ostatniego asa, a wykorzystanie go wiązało się z dużym ryzykiem: było to jedno z kilku nie wypróbowanych jeszcze zaklęć. Wygrał je w kości od pewnego zrujnowanego czarodzieja z Zingary. Według zapewnień pechowego gracza, czar potrafił unieść nawet wołu na każdą wysokość, choćby do samego księżycy. Dake nie bardzo w to wierzył, ale dwa inne zaklęcia pochodzące z tego samego źródła działały jak należy. To właśnie jedno z nich dało mu władzę nad dziwolągami.

Nawet, jeśli nie został oszukany, sztuczka miała wadę – mógł się unieść tylko raz. Poprzedni właściciel zaklęcia twierdził bowiem, iż potrzeba do tego całej mocy magicznej drzemiącej w najbliższych złożach czarodziejskiej energii, a gdy się ją uwolni, spala się niczym ćma w płomieniu świecy.

Gdyby zdołał wlecieć w pobliże zbiegów, ponownie rzuciłby na nich zniewalające zaklęcie. Z drugiej strony, nie uśmiechało mu się wisieć w powietrzu jako cel dla kamieni i włócznie.

Nie, to na nic. Pomysł byłby dobry tylko wtedy, gdyby Dake mógł odwrócić ich uwagę, kiedy się wzniesie. Jeśli zajmą się czymś i nie zauważą latającego napastnika, nieświadomie wpadną w jego ręce. Inaczej szkoda marnować magii.

O ile czarodziej z Zingary nie kłamał, rzecz jasna.

Dake cofnął się i pod osłoną skały wydobył z sakwy magiczny przedmiot potrzebny do lewitacji. Był to mały ptak wyrzeźbiony w czarnym, twardym drewnie. Na piersi miał wryte runy wyzwalające moc. Mag przyjrzał się symbolom i przypomniał sobie ich treść. Skoro zaklęcie może unieść wołu, to z pewnością również jego wraz z dumnym asystentem. Wystarczy na chwilę odwrócić uwagę zbiegów.

W porządku. Tak robi.

Dake uśmiechnął się szeroko. Nim słońce dojdzie do najwyższego punktu nieba, będzie po wszystkim.

– Co widzisz? – zapytał Raseri.

Conan schował się za krawędź półki. Dwa kroki od niego poszybowała w górę strzała, ale opadła z powrotem pod własnym cięż-

żarem. Z tak znacznej odległości trafienie nie wyrządziłoby nikomu większej szkody niż ukłucie komara, jednak łucznicy wciąż strzelali.

– Większość siedzi w ukryciu – odpowiedział. – Teraz już nikt nie może zobaczyć naszego kamienia, więc nie warto ich marnować.

Chwilowe oślepienie minęło, co zresztą przepowiedział Penz, i wszyscy znów widzieli równie dobrze jak przedtem. Mimo to, Conan kazał kompanom trzymać się z daleka od skraju półki. Po co dawać tym na dole okazję do policzenia zbiegów?

– Myślisz, że zaatakują? – spytał Oren, którego wyraźnie podniecała ta perspektywa.

– Kto wie? – odrzekł Cymmerianin. – Na ich miejscu nie próbowałbym. Zaczekałbym i wziął nas głodem. Tyle że nie wiedzą, czy mamy dość wody i pożywienia, a ich zapasy też mogą się wyczerpać.

– Zatem czekamy, he? – odezwał się Fosull. – Wcale mi się to nie podoba.

– Ani mnie – przyznał Conan. – Ale czekanie jest niekiedy najlepszym wyjściem. Pozwala uniknąć błędu, natomiast przeciwnik może w tym czasie zrobić fałszywy krok.

– Jak długo...? – zaczęła Teyle i nagle urwała. Rozległ się dźwięk, jakby coś wilgotnego plasnęło o skałę. Potem tych odgłosów było coraz więcej. Deszcz ropuch!

Mogły sobie być iluzją, ale kiedy spadały, robiły wrażenie prawdziwych. Jedna wylądowała Conanowi na karku. Strząsnął ją szybko. Na Croma, co Dake'owi da ta dziecinada?

Poniżej, dziewięciu mężczyzn zdolnych do walki popatrzyło na maga, jakby stracił rozum.

– Chcesz, panie, żebyśmy wdrapali się tą ścieżynką na górę?! Pod gradem kamieni?! Co za dumny pomysł! – powiedział jeden.

– Bez wątpienia głupi – podchwycił drugi. – Czemu nie mieliśmy rozłożyć się tu obozem i poczekać? Przecie tamci nie będą tkwić na skałe wiecznie.

– Nie mam zamiaru czekać – oświadczył Dake. – Rozpoczynam atak. Patrzcie!

Mężczyźni zadarli głowy. Niebo nad szczytem wzniesiona pościemniało i w dół poleciały jakieś pecyny. Jedna spadła między zdumionych strażników.

– Atakujesz ich ropuchami, panie?

– W rzeczy samej. A na górę poprowadzi was demon. Przyglądajcie się!

Mag wypowiedział zaklęcie i przywołał czerwonego potwora.

Na widok zjawy najemnicy cofnęli się przerażeni i poczęli mamrotać imiona swych bogów.

– Skoro możesz wysłać tam coś podobnego... – przemówił w końcu jeden – to po co ci my?

Dake nie mógł odmówić mu słuszności, ale nie miał czasu na wyjaśnienia.

– Mam swoje powody.

– Być może, przyjacielu, ale nasz pan nie żyje. A nie przypominam sobie, by przekazał tobie dowództwo nad strażą. Nawet z twoim tresowanym demonem taki atak to samobójstwo!

Dake zdumiał się. Od kiedy ci durnie tak się znają na taktyce? Przedtem wydawali się mniej rozzgnięci. Nieważne. Zaatakują, czy im się to podoba, czy nie. Celowo zebrali ich razem, by zaklęcie nakazujące posłuszeństwo dosięgło wszystkich. Jeszcze nigdy nie próbował zniewolić dziewięciu jednocześnie, ale dopóki stoją stłoczeni, powinno się udać.

Zaczął szybko wypowiadać magiczne słowa, uważając, żeby się nie pomylić.

– Hej, a to co? – odezwał się trwożliwie jeden z wojaków. – Co się dzie...?

Nie dokończył. Natomiast Dake zdążył dopowiedzieć zaklęcie do końca i cała dziewiątka znalazła się we władaniu czaru. – Cicho, durnie!

– Ropuchy przestały spadać! – zawołał z daleka Kreg.

Mag lekceważąco machnął ręką.

– Nieważne.

Dał znak i demon począł wlaźić na górę. Był tylko iluzją, więc nie przeszkadzała mu stromizna. W istocie, wyglądał przerażająco, lecz ci na półce wiedzieli, czym naprawdę jest – niegroźną zjawą. Nie szkodzi.

– Ruszajcie za nim i schwytajcie zbiegów! Już! – rozkazał Dake.

Wbrew swojej woli dziewięciu mężczyzn rozpoczęło niebezpieczną wspinaczkę.

– Nadchodzi czerwony demon – uprzedził Penz.

– Musimy się go obawiać? – zapytał Fosull.

– Nie, ojczec. To tylko iluzja.

– Po co Dake go wysłał? – zastanowił się głośno Conan. – Przecież wie, że znamy tę sztuczkę.

– Może ma osłaniać tych, co idą za nim – podpowiedział Penz. – Patrzcie.

Wszyscy podeszli do krawędzi i spojrzeli w dół. Dziewięciu ludzi wspinało się gęsiego ścieżką.

– Przygotujcie kamienie – polecił Conan.

– Tędy! – rozkazał Kregowi Dake. – Prędej!

– Co zrobimy?

Obaj pobiegli szlakiem za najbliższy zakręt.

– Odwróć się i schyl grzbiet, żebym mógł na ciebie wsiąść – powiedział mag.

Asystent rozdziawił usta ze zdumienia, ale posłuchał. Dake włożył mu na plecy z drewnianym ptakiem w zaciśniętej dłoni. Opasał ramieniem pierś Krega i ścisnął go kolanami, by nie spaść.

– Nic nie rozumiem.

– Zaraz będziemy na górze.

– Myślisz, że dam radę cię wnieść?

– Zamilcz, głupcze! Magia nas uniesie. Jak oderwiemy się od ziemi, wyciągnij ręce i trzymaj się zbrocza. Uważaj, żeby nas nie zobaczyli. Chcę się do nich podkraść.

– Aha...

Dake wypowiedział słowa zaklęcia zapisanego runami, kierując czarodziejską energią na Krega. Przez chwilę nic się nie działo.

– Udało się! – wykrzyknął nagle asystent.

– Rzecz jasna, tępaku! Przecież mówiłem.

Wbrew własnym słowom, mag wcale nie był pewien, czy zaklęcie zadziała. Ze zdumieniem poczuł, że nogi Krega odrywają się od ziemi i obaj unoszą się niczym bąbelki powietrza w kuflu piwa.

– Trzymaj się tuż przy zbroczu!

Asystent posłusznie chwycił się palcami skały jak nurek pływający wzdłuż dna stawu.

Zatem stary czarownik nie kłamał. Cudom nie ma końca!

Kamienie miotane muskularnym ramieniem Cymmerianina zmusiły czterech atakujących do odwrotu. Pozostali uchylali się przed rzutami jego towarzyszy.



– Czy to wszyscy? – spytał Fosull, biorąc zamach. Skalny odłamek poleciał niezbyt daleko, odbił się od zbocza i nie wyrządził krzywdy żadnemu z pięciu mężczyzn.

– Chyba tak – odrzekł Raseri.

– Nie widzę Dake ani Krega – zauważył Conan.

– Może nocą zaczęli wdrapywać się z innej strony – podsunęła Teyle.

– Nie sądzę.

– Nie zaryzykowałiby – powiedział Penz.

– Ci żołnierze muszą być bardzo odważni albo bardzo głupi – stwierdził Raseri. Jego kamień właśnie trafił jednego w pierś i pechowiec stoczył się w dół.

– Albo zniewoleni zaklęciem – mruknęła Tro.

Dake nie wiedział, jak długo magia utrzyma ich w powietrzu. Miał tylko nadzieję, że, zdąży zaskoczyć zbiegów. Pocieszał się myślą, że nie jest zbyt wysoko nad zboczem i w razie upadku wylądowałby miękko na Kregu.

Wzniesli się powyżej poziomu skalnej półki i zobaczyli uciekinierów rzucających kamieniami w atakujących. Teraz trzeba było lecieć niemal poziomo, by dotrzeć do celu.

– Ostrożnie, ostrożnie...

Poniżej, czerwony demon wdrapał się na krawędź występu i stał całkiem bezużyteczny. Conan i reszta ignorowali go zupełnie. Przechodzili nawet przez niego, nie mówiąc o kamieniach przelatujących na wylot przez zjawę. Tuziny ropuch podskakiwały jeszcze bez potrzeby. Wkrótce obie iluzje miały zniknąć.

– Tam. Kieruj się na tamten wielki głaz na tylnym skraju półki.

Kreg wykonał rozkaz. Gdy zbliżyli się do skalnego bloku, blondyn uchwycił się go mocno. Dake zeskoczył z pleców wiernego sługi. Uwolniony od ciężaru asystent omal nie odleciał w przestrzeń. Zacisnął dłonie na skale i zamachał nogami w powietrzu.

– Hej! Na pomoc!

– Cicho, durniu! – syknął mag.

– Ale... jakbym nic nie ważył!

– Poczekaj chwilę. Złapię tamtych i wrócę do ciebie.

– Ale... ale...

– Powiedziałem, zamknij gębę!

Dake skradał się szybko do dziwołagów i przekłętego barbarzyńcy. Cała grupka zgromadziła się na krawędzi półki i była zajęta atakowaniem wspinających się ludzi. Jeszcze kilka kroków i jego ofiary znów zniewoli magiczna moc...

Chyba szósty zmysł ostrzegł Conana przed niebezpieczeństwem. Cymmerianin odwrócił się i zobaczył za plecami Dake'a.

– Z tyłu, za nami! – krzyknął. – Rozdzielcie się!

Jednocześnie odskoczył w bok, by znaleźć się jak najdalej od innych.

Dake podchodził coraz bliżej. Mamrotał szybko jakieś niezrozumiałe słowa. Grupka próbowała rozbiec się w różne strony. Przerażony Oren chwycił pierwszy lepszy kamyk i z całej siły cisnął w maga.

Dake wypowiedział ostatnie słowa zaklęcia i niewidzialna sieć opadła na dziwołagi. Nie dosięgła tylko Conana.

– Nie ruszać się! – rozkazał mag tym, których zdołał uwięzić. Zamarli posłusznie jak żywe posągi.

Na jego nieszczęście rozkaz nie powstrzymał nadlatującego kamienia. Mały lecz ostry kawałek skały ugodził go w usta. Zgruchotał dwa przednie zęby i rozciął wargi.

Dake skrzywił się i otarł krew. Nieważne. Chłopak odpowie mu za to. Później. Teraz trzeba rzucić czar na Conana. Niech skoczy z półki na pewną śmierć!

Mag ruszył ku swej ostatniej ofierze. Cymmerianin dobył miecza i począł się cofać. Nadaremnie. Dake po raz drugi zaczął wygłaszać tajemną formułę.

Przy czwartym słowie pojął nagle, że nie jest w stanie go wymówić! Ślinił się, pluł krwią i resztkami zębów, ale tylko coś seplenił szczerbatymi ustami. Wszystko na nic!

Conan przygotował się na spotkanie ze swym bogiem, ale zamierzał to uczynić wymachując bronią. Może zdąży zadać szybki cios, zanim czar zadziała. Wziął głęboki oddech, uniósł ramię i z okrzykiem rzucił się naprzód.

Dake wpadł w panikę. Uskoczył przed ostrą stalą i wrzasnął do jeńców. Chciał im rozkazać: „Brać go! Zabić!”, ale wyszło z tego:

– Pać ko! Apić!

Nikt się nie poruszył.

– Aaaaa! – wydarł się mag.

Cymmerianin zrozumiał, że dzieje się coś dziwnego. Nie mógł się już zatrzymać i poleciał przed siebie. Nawet, gdyby zaklęcie zadziało, z rozpędu wpadłby na Dake'a. Tymczasem mag zamiast go unieruchomić, uciekał przed nim!

Conan znalazł się na skraju półki. Omal nie stracił równowagi i ratując się, wypuścił miecz. Broń spadła z krawędzi i utkwiała kilka kroków niżej.

Odwrócił się twarzą do przeciwnika.

Dake wyszarpnął zza pasa długi sztylet i począł się cofać.

Cymmerianin był zaskoczony. Dlaczego czar nie działa na niego? Przecież Dake jest wystarczająco blisko. Po co sięgnął po broń, skoro ma na swoje usługi magię?

Conan uśmiechnął się. Odpowiedź mogła być tylko jedna: z tą magią jest coś nie tak!

– Straciłeś moc, łowco niewolników?

Mag cofał się dalej.

Cymmerianin rozpostarł ramiona, pochylił się i powoli nacierał.

Dake nagle skoczył na niego ze sztyletem wycelowanym w serce.

Conan zrobił unik i trzasnął okrutnika w ramię. Maga odrzuciło na bok, ale zdołał się zamachnąć. Koniec ostrza przeciął Conanowi skórę na piersi.

Pięść Cymmerianina trafiła Dake'a w żołądek. Magowi zaparło dech, plunął krwią i upuścił broń. Nogi ugięły się pod nim.

Conan nie pozwolił mu upaść. Pochwycił go i unióś nad głowę. Zrobił trzy kroki w stronę krawędzi półki...

– Neee! – zawył szczerbaty Dake. – Neee!

Cymmerianin naprężył potężne mięśnie, ugiął ramiona i kolana, po czym cisnął ciemżyciela w dół.

– Aaaa...!

Ciało długo spadało, zanim trzasnęło o płaską skałę. Krzyk ustał niczym ucięty nożem. Trup Dake'a stoczył się ze zbocza, odbił się od szlaku i zniknął z widoku.

Czterej najemnicy stojący jeszcze na stromej pochyłości zadarli głowy. Nagle musieli sobie przypomnieć, że mają gdzieś pilniejszą sprawę, bo odwrócili się i zbiegli ścieżką na łeb na szyję. Wypadli na szlak i nie zwalniając popędzili przed siebie.

Conan odwrócił się. Towarzysze podchodzili, by mu pogratulować. Wraz ze śmiercią Dake'a czar przestał działać i odzyskali wolność.

– Na pomoc!

Cymmerianin obejrzał się. W miejscu, gdzie półka wyrastała ze zbocza, unosił się w powietrzu Kreg.

Penz ruszył w tamtym kierunku, okręcając nad głową linę.

Blondyn wleciał wyżej niżym liść nad żarem ogniska.

Wilkołak rzucił lasso. Pętla opasała ramiona Krega, lecz ten szarpnął ją zbyt pośpiesznie. Zsunęła się i zacisnęła na jego szyi.

Asystent zakaszłał. Dusił się. Uchwycił jednak sznur i nieco rozluźnił splot.

Wiatr znosił Krega poza krawędź półki. Penz zapierał się nogami i napręzał linę, lecz sam omal nie uniósł się w powietrze. Conan rzucił się na pomoc. Chwycił sznur i zaczął ciągnąć, ale wymagało to wielkiego wysiłku.

– Sprowadźcie mnie na dół! – wrzeszczał jasnowłoso!

Conan i Penz ciągnęli ze wszystkich sił, lecz efekt był mizerny. Kreg znalazł się wysoko nad najbardziej stromą częścią zbocza.

– Raseri, pomóż nam! – zawołał Conan.

Jatte podbiegł do kompanów, ale w tym momencie czarodziejska energia utrzymująca Krega w górze wyczerpała się. Człowiek przypominający ptaka na uwięzi zamienił się nagle w kowadło na końcu sznura. Zamachał rękami i runął w dół. Puszczając pętlę na szyi, popełnił błąd, lecz przy tej szybkości spadania i tak nie miał szans. Cymmerianin i Penz zdołali utrzymać linę, choć może dla Krega byłoby lepiej, gdyby zrezygnowali.

Gruby sznur naprężył się. Usłyszeli nieprzyjemny trzask. Spojrzeli na siebie. Reszta wychyliła się za krawędź półki. Kreg wisiał w dole niczym na szubienicy.

Twarz Penza wykrzywił wilczy uśmiech.

## XXV

Ci, którzy najdłużej byli więźniami Dake’a, pierwsi chcieli się upewnić, czy w istocie nie żyje. Conan dotarł na miejsce, gdy Penz uważnie oglądał kilka rzeczy osobistych zabranych trupowi.

– Oprócz wozu i ukrytego w nim sejfu z monetami, niewiele zyskał na cudzej krzywdzie – zauważył Sab.

– Teraz już się niczego nie dorobi – parsknęła Tro. – Mam nadzieję, że jego ofiary staną mu na drodze przez Szare Krainy do Gehanny.

– Jakie macie plany? – zapytał Conan. – Nareszcie jesteście wolni.

Tro, Sab i Penz wymienili spojrzenia.

– Chyba powinniśmy wrócić i zabrać jego wóz – powiedział Penz. – Jemu już nie będzie potrzebny i chyba nikt nie odmówi nam prawa do pojazdu. Pojechalibyśmy tam, gdzie nasz wygląd nie byłby niczym niecodziennym. Może przyłączysz się do nas, przyjacielu? Cześć wozu należy się tobie.

– Nie, dzięki. Wolę pójść własną drogą. Zabierajcie wóz i monety Dake’a. Macie moje błogosławieństwo. – Conan spojrział w górę. Ze zbocza schodziła czwórka Jatte i para Vargów. – Myślicie, że istnieje miejsce, które chcecie znaleźć?

Wilkołak, kocica i czteroręki wzruszyli ramionami.

Penz popatrzył na Conana.

– Kto wie? Powiadają, że na Morzu Zachodnim, u wybrzeży Czarnych Królestw, jest wyspa, gdzie zgodnie żyją wszystkie wybryki natury. Może warto się przekonać, czy to prawda? Za pieniądze Dake’a wyruszymy w podróż, najmiemy nawet strażę, jeśli zajdzie potrzeba. Dziwołagów pod ochroną zbrojnych nikt nie będzie niepokoił.

Jatte i Vargowie dołączyli do reszty.

– Czy on naprawdę nie żyje? – zapytał Vilken.

– Bez wątpienia.

– Całe szczęście.

– Zakończyliśmy naszą wspólną sprawę – powiedział Conan.

– Nie całkiem – przypomniał Raseri.

Cymmerianin spojrział na olbrzyma.

– Ty i twoi towarzysze wiecie, jak znaleźć Jatte – wyjaśnił wielkolud.

– I Vargów – dodał Fosull.

– Kiedy zejdziemy w doliny, przygotuję napój zapomnienia – ciągnął Raseri. – Wypijecie go i będziecie mogli odejść.

Conan zerknął na Penza, Tro i Saba. Nie zaprotestowali. On był mniej skłonny pogodzić się z utratą pamięci. Ale cóż...

– Zgoda. Zatem wracajmy tam, skąd zaczęliśmy wspinaczkę.

Olbrzym wyszczerzył w uśmiechu białe, mocne zęby.

Raseri znalazł wszystko w zaroślach niedaleko miejsca, gdzie przywiązano konie kupca, które dawno zniknęły. Zebrał korzeń *chu*,

liście krzewu *hemin* i cierpkie, białe łodygi chwastu *pok*. Połknięcie nawet jednej z tych roślin groziło śmiercią, napój ze wszystkich trzech powodował natychmiastowy zgon. Mały łyk powalał wołu. Wódz Jatte zamierzał nakłonić swe przyszłe ofiary do wypicia pełnych kubków.

Wrócił do ogniska, gdzie reszta piekła króliki i uśmiechnął się. Uważał, że żaden z tych małych ludzi czy Vargów nie dorównuje mu sprytem.

Conan patrzył, jak Vilken i Oren popisują się przed sobą. Varg demonstrował wprawę w posługiwaniu się włócznią, Jatte w rzutach kamieniami. Zadziwiające, że tak szybko zawarli pokój. Kto wie, gdyby nie wodzowie, może potrafiliby żyć w zgodzie?

Kiedy Raseri zbliżył się do ognia, Cymmerianin podszedł do Penza. Wilkołak siedział w kucki i ogryzał nogę pieczonego królika.

– Nauczyłeś się od Dake’a jakiejś sztuczki magicznej? – zapytał Conan.

Penz otarł tłuste wargi wierzchem dłoni.

– Owszem. Wprawdzie nie potrafię wywołać deszczu ropuch ani wezwać demona i nie umiem nikogo zniewolić ani też nie zdobyłem sztuki latania. Ale wiem, jak użyć zielony proszek. Cymmerianin przyjrzał się Penzowi badawczo. Wilkołak wyszczerzył zęby. – Ja też nie ufam olbrzymowi.

Conan klepnął go w ramię.

– To dobrze.

Raseri zagotował płyn w płaskim hełmie jednego z poległych najemników. Po godzinie uznał, że wywar dostatecznie wystygł i rozlał go do czterech małych, metalowych kubków zabranych zabitym żołnierzom. W prowizorycznym garnku pozostała jeszcze połowa ciemnej cieczy.

Penz wziął napój dla siebie i trójki przyjaciół. Kiedy odwrócił się plecami do olbrzyma, potajemnie wsypał odrobinę zielonego proszku do każdej porcji.

Gdy tylko podał kubki Conanowi, Sabowi i Tro, Raseri zawołał: – Wypijcie i zapomnijcie!

Cała czwórka uniosła naczynia. Conan popatrzył na wodza olbrzymów.

– Czemu się wahacie? – zapytał Raseri. – Czyż nie dałem wam słowa, że to nieszkodliwe? Zapomnicie jedynie, gdzie mieszkają Jatte.

– Zgoda, tak powiedziałaś – przyznał Cymmerianin i zerknął do kubka. Mętna ciecz poczęła musować i po chwili zrobiła się przezroczysta niczym woda. Dostrzegł przez nią dno metalowego naczynia.

Teyle schyliła się, chwyciła pusty kubek i zanurzyła w hełmie.

– Ja też wypiję, ojczu. Chcę im pokazać, że mówiłeś prawdę.

– Nie! – krzyknął Raseri i wyrwał jej naczynie.

– Czyżbyś się obawiał, że córka napije się tego, co ma nam zaszkodzić? – spytał Conan.

Olbrzym groźnie popatrzył na Cymmerianina, potem przeniósł wzrok na resztę.

– Conan pyta w imieniu nas wszystkich – powiedziała Tro.

Wściekłość wykrzywiła twarz wielkoluda. Zdawało się, że wódz Jatte rzuci się na nich lub przynajmniej wrzaśnie. Opanował się jednak.

– Nie, nie obawiam się tego. Wolałbym zachować własne wspomnienia, ale trudno. Patrzcie!

Chwycił kubek i wychylił duszkiem całą zawartość.

Fosull podbiegł do ogniska, złapał puste naczynie i napełnił cieczą.

– Nikt nie zawstydzi Varga. – Wypił wszystko prawie tak szybko jak Raseri.

– Wstrętne – wzdrygnął się. – Ale teraz wasza kolej, pozabagienni! Umowa to umowa!

Conan popatrzył na przyjaciół i skinął głową. Wypili.

Raseri odwrócił się i zwymiotował gwałtownie.

– Co się stało? – zaniepokoił się Fosull. – Co to znaczy?

Jatte opróżnił żołądek i spojrzał na resztę.

– Ojczu...?

– To trucizna – powiedział Conan.

– Ojczu!

– Zgadza się. Podejrzałem, że będą chcieli, żebym wypił ten wywar, więc przedtem połknąłem olej z pnączy *brill*. Pokrył moje wnętrzności warstwą ochronną, by nie wchłonęły trucizny. Ale dla nich jest już za późno. Zatruty napój krąży w ich organizmach i będą martwi za kilka uderzeń serca. Tajemnica o istnieniu Jatte nie wyjdzie na jaw.

Zdawało się, że zielona skóra Fosulla przybrała po trzykroć bledszy odcień. Opadł na kolana i zacharczał. Był mniejszy od Raseriego, więc trucizna działała na niego szybciej.

– Otrułeś mnie?! – wybełkotał. – Swojego sojusznika?!

– Nie udawaj głupszego, niż na to wyglądasz, Vargu – odparł wódz Jatte. – Jesteś tylko podłym zwierzakiem. Zabiłbyś mnie przy pierwszej okazji.

Fosull uśmiechnął się słabo.

– Masz rację, Jatte. Ale nie zasnę na wieki samotnie. – To mówiąc, cisnął włócznię.

Raseri uskoczył i dzida tylko drasnęła go w ramię. Przycisnął dłoń do skaleczenia, by zatamować krwawienie.

– Znów się mylisz, Vargu, choć nie całkiem. Ci mali ludzie umrą razem z tobą. Dotrzymają ci towarzystwa.

Vilken upuścił swoją włócznię i podbiegł do ojca. Kiedy go chwycił, Fosull głośno liczył.

–... trzy... cztery... pięć...

– Co on robi?! – spytała Teyle.

–... osiem... dziewięć... dziesięć!

– Trucizna padła mu na mózg – orzekł Raseri.

– O nie – zaprzeczył Fosull, szczerząc zęby w ostatnim uśmiechu. – Chciałem się tylko upewnić, czy nie usuniesz trucizny, zanim zacznie działać.

– Co?!

– A tak. W twojej ranie jest sok z jagód *glit*. Do zobaczenia w piekle, Jatte!

Raseri oderwał dłoń od ramienia i zobaczył z przerażeniem, że miejsce zadraśnięcia poczerniało. Nogi ugięły się pod nim i ciężko usiadł na ziemi.

– Umrę, ale uratowałem tajemnicę Jatte! Wszyscy wypiliście truciznę i zaraz dołączycie do mnie!

Teyle uklękła i przytuliła szamana.

– Ojczy!

Conan pokręcił głową.

– Nie, Raseri. Twój podstęp się nie udał. Wypiliśmy zwykłą wodę. Penz wykorzystał jedną z magicznych sztuczek Dake'a i w ten sposób nas ocalił.

Wódz Jatte w panice wytrzeszczył oczy.

Fosull opadł na twarz i zakończył życie.

Po chwili Raseri poszedł w jego ślady.



– Przykro mi, że tak to się skończyło – powiedział Conan do Teyle. Stali obok wielkiego stosu, na którym płonęły zwłoki obu wodzów. Wysokie płomienie rozświetlały zapadający zmierzch.

– Sam sięgnął na siebie nieszczęście – odrzekła.

– Co zamierzasz?

– Jestem teraz wodzem Jatte – odpowiedziała. – Muszę wrócić i zająć się moim ludem.

– A co z nami?

– Wiem, że nie macie wobec nas złych zamiarów. Możecie odejść.

– Co będzie z Vargami?

– Może ja i Vilken zawrzemy rozejm. Zbyt wielu naszych zginęło niepotrzebnie. Czas położyć temu kres.

Cymmerianin skinął głową.

– A ty, Conanie? – spytała Teyle.

– Podążę do Shadizaru. Przebyłem długą i krętą drogę, ale chyba w końcu tam dotrę.

– Życzę ci szczęścia.

– Dzięki.

Lecz gdy Teyle podeszła bliżej do stosu, Conan zaczął się zastanawiać nad celem dalszej wędrówki. Po tylu przygodach, które przeżył w ostatnich latach i miesiącach, bycie złodziejem wydało mu się nagle... po prostu nudne.